

MIŁOSZ KŁĘCZEK:

JESTEM
WOJOWNIKIEM

PROROCTWA CZY OSZUSTWA?

NIETRAFIŁE ZAPOWIEDZI
NAUKOWCÓW I MEDIÓW

PROF. ZYBERTOWICZ:

O NIEBEZPIECZNYM
UŚCISKU BIG TECHU

ZA NIMI TYLKO OKOPY.
JAK ŻYJĄ PRZYFRONTOWE
UKRAIŃSKIE MIASTA?

SZCZERA ROZMOWA
O KULISACH
DZIENNIKARSKICH
BOJÓW

SIECI

NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE

Nr 3 (529) 2023
16–22 stycznia 2023

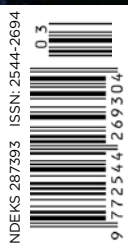
CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS:

JACEK SASIN OSTRZEGA:

PLAN PO TO WIELKA GRABIEŻ POLSKI

WICEPREMIER UJAWNIA,
JAK PiS CHCE
TO ZABLOKOWAĆ.
I JAK WYGRA
KOLEJNĄ KADENCJĘ





**Przedłużamy
świąteczną promocję**

Na start

6

**miesięcy TV
bez opłat**

polsat box 

Wybierz swoje wszystko

Promocja dla nowych Klientów przy umowach z okresem podstawowym na 24 miesiące. „Na start 6 miesięcy TV bez opłat” dotyczy wykupionej przez Klienta oferty. „Bez opłat” nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera oraz opłat za internet. Serwis Disney+ nie jest dostępny na dekodernach. Dostawcą serwisu Disney+ jest The Walt Disney Company (Benelux) BV. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl. LaLiga Santander w ELEVEN SPORTS. „Nie martw się, kochanie”. © 2022 Warner Bros. Wszelkie prawa zastrzeżone. Oferta ważna na dzień 9.01.2023 r.



Grabowski na premiera!

Wracam do myśli, od której rozpocząłem. Ta opozycja nie jest zdolna do rządzenia i jesienią przerznie koncertowo. Nie można się jednak tylko biernie temu przyglądać. Trzeba robić swoje. Konsekwentnie i konkretnie.

Prof. Bogusław Grabowski już raz był wymieniany jako kandydat na premiera. Miało to miejsce w 2000 r., gdy trzeszczała koalicja Akcji Wyborczej Solidarność i Unii Wolności. Wówczas nic z tego nie wyszło, Jerzy Buzek był szefem rządu do wyborów, stojąc na czele gabinetu mniejszościowego.

Teraz – uważam – należy wrócić do tego pomysłu. Prof. Grabowski powinien być kandydatem opozycji, przede wszystkim Platformy Obywatelskiej, na szefa rządu. To byłoby uczciwe, to dobrze przysłużyłoby się naszej demokracji. Nikt niczego by nie udawał, każda ze stron zasadniczego polskiego sporu mówiłaby to, co naprawdę myśli.

Prof. Grabowski to zresztą chyba chce nam wszystkim powiedzieć. Opozycjo, nie udawaj, mów jasno. Że jesteś za rezygnacją ze złotego i przyjęciem euro. Że jesteś za podwyższeniem wieku emerytalnego. Że chcesz likwidacji większości świadczeń społecznych. Wreszcie, że chcesz sprywatyzować (oddąć w obce ręce) rodowe srebro, czyli te spółki skarbu państwa, które ocalały z wcześniejszych rzezi.

A także, że chcesz zdławienia inflacji kosztem wzrostu gospodarczego, kreując wysokie bezrobocie, kolejną falę emigracyjną i gwałtowne zubożenie wielkich grup społecznych. Będzie jasność, każdy będzie sobą, nikt niczego nie będzie udawał. Polacy zasługują na jasny, czytelny wybór.

Wierzę, że prof. Grabowski nie uchyli się przed tym wyzwaniem. Nie powinien. Szkoda, by te złote myśli, które wypowiada, marnowały się jako „opinia eksperta”. Tym bardziej że przecież mówi to, co liderzy PO rzeczywiście planują.

Jacek Karnowski

Zmiany nie będzie

Pisałem niedawno o pewnej fali, którą wytwarza opozycja. Na niej chciałaby popłynąć aż do wyborczego zwycięstwa jesienią. Pewna górka, nawet jeśli faktycznie jest zauważalna, niebawem się skończy. Bo nie ma w tym żadnych konkretów. To wszystko opozycyjny pic.

Zjednoczona Prawica musi mieć świadomość jednego. To, że ma naprzeciwko siebie opozycję niezdolną do rządzenia, nie oznacza, że wszystko jest już jasne i nic nie należy robić. Owszem, uważam – i będę to powtarzał przy każdej nadarzającej się okazji – że jesienią będziemy świadkami totalnej klęski opozycji, ale to nie oznacza rozstrzygnięcia już teraz, tylko szansę, z której obecna koalicja rządząca może skorzystać.

PiS wygra, jeśli będzie poruszał się w rzeczywistości konkretnych. Zauważmy, że powrót Donalda Tuska do polskiej polityki i odrobienie pewnej straty przez Platformę Obywatelską dokonały się bez merytorycznej dyskusji. Doszliśmy do pewnego *status quo*: PiS jest pierwsze, PO druga, różnica jest znaczna, czasem nieco się zmniejsza. Obecne sondaże w zasadzie odzwierciedlają stan posiadania obu największych ugrupowań.

Żeby jednak wygrać wybory, trzeba czegoś ekstra. Jakiegoś planu, który porwie wyborców, jakiegoś nieszablonowego pomysłu. Polityka anty-PiS to za mało. Jest dosyć atrakcyjna, bo zawsze wygodnie jest rozsiąść się w fotelu i pokazywać placem, co nie działa pod rządami Zjednoczonej Prawicy. Ale teraz oczekivalibyśmy jakiegś recepty na nasze troski.

Tego opozycja się boi. I słusznie. Bo gdy pojawiają się jakiegokolwiek pomysły ludzi związanych z Platformą Obywatelską, na horyzoncie już widać katastrofę. Przypomnijmy,

że prof. Bogusław Grabowski to były członek Rady Polityki Pieniężnej przy ówczesnym premierze Donaldzie Tusku. Ekonomista zablysnął w wywiadzie dla Radia Zet całkowitym odkryciem kart. 500 plus tylko dla najbiedniejszych, 13. i 14. emerytura to nie emerytura, wiek emerytalny w górę, a w ogóle wszystko w kraju (nawet sektory strategiczne, w tym zbrojeniowe) należy sprywatyzować.

Taki jest prawdziwy plan opozycji, nic więc dziwnego, że jak najdłużej chcą go trzymać w cieniu. Zasłaniać mgłą emocjonalnych wystąpień i potokiem słów, które nic nie znaczą. Temu ma służyć akcja #3konkrety zainicjowana przez posłanki KO Marzenę Okłę-Drewnowicz, Izabelę Leszczynę i Kamilę Gasiuk-Pihowicz. Drodzy państwo, to, że nazwie się coś konkretem, wcale nie musi oznaczać, że tym czymś jest. W tym przypadku jest nawet wręcz przeciwnie. Wymienione przeze mnie anielice intelektu najwyraźniej w świecie kradną znaczenie tego słowa. W podsumowaniu spotkań zatytułowanych #3konkrety czytamy np.: „Udało nam się wspólnie wypracować wiele ciekawych i konkretnych pomysłów do wprowadzenia po wygranych wyborach”.

Konkret, prawda?

Marcin Wikło




33

**Historia
czy matematyka?**
Konrad Kołodziejski


44

**Euro w portfelu
zabolało Chorwatów**
Goran Andrijanić


59

**Nieuniknione
powstanie**
Artur Jagnieża

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 ROZMOWA Z KONIEM**
Krzysztof Feusette
- 9 I KTO MIAŁ RACJĘ?**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 GŁUPKOWATE WPADKI
TUSKOWEJ GROMADKI**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 CZY JESTEŚMY SKAZANI
NA ULEGŁOŚĆ?**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA KATARZYNY
SUPEŁ-ZABOKLICKIEJ**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 MARZENIE O WOLNOŚCI**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 19 WTEDY SIĘ TO WSZYSTKO ZACZĘŁO**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 20 Z JACKIEM SASINEM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowsky

KRAJ

- 26 NAJSPOKOJNIEJSZY RZĄD III RP**
Stanisław Janicki
- 28 Z MIŁOSZEM KŁECKIEM**
rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło
- 33 HISTORIA CZY MATEMATYKA?**
Konrad Kołodziejski

OPINIE

- 36 PROROCY NASZYCH CZASÓW**
Dariusz Matuszak
- 39 Z PROF. ANDRZEJEM ZYBERTOWICZEM**
rozmawia Maciej Walaszczyk

ŚWIAT

- 42 HARRY I MEGAN, CZYLI KULT
OTWARTOŚCI**
Aleksandra Rybińska
- 44 EURO W PORTFELU
ZABOLAŁO CHORWATÓW**
Goran Andrijanić
- 46 OSTRY SKRĘT NA SŁOWACJI**
Grzegorz Górny

- 48 DŁUŻEJ PRACOWAĆ, WIĘCEJ PŁAĆ**
Jan Rokita

WOJNA ROSJI Z UKRAINĄ

- 51 UKRAIŃCY CHCĄ DELEGALIZACJI
CERKWI ZWIĄZANEJ Z MOSKWĄ**
Marek Budzisz
- 54 SEKRET ŻYCIA W PRZYFRONTOWYCH
MIASTACH**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 56 MOSKIEWSKA OPOWIEŚĆ O UKRAINIE**
Piotr Gontarczyk

HISTORIA

- 59 NIEUNIKNIONE POWSTANIE**
Artur Jagnieża

SIECI KULTURY

- 63 MĘSKIE GRANIE**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 66 DIAMENCIK Z MAMY**
Robert Tekieli
- 67 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 68 POLECA**
Łukasz Adamski

KUCHNIA/PODRÓŻE

- 72 PYSZNE, BO POLSKIE**
Dorota Łosiewicz
- 74 MOJE SZLAKI: SEBASTIAN SKOCZEŃ**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 75 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 76 SPOŁECZEŃSTWO Z KLASĄ**
Wojciech Reszczyński
- 77 AKADEMIA CHAOSU**
Aleksander Nalaskowski
- 78 WALKA O ŻYCIE**
Jan Pospieszalski
- 79 OGÓREK SENATORA BUREGO**
Jerzy Jachowicz
- 80 PRAWDA W OCZY KOLE**
Ryszard Makowski
- 81 W KORESPONDENCJI**
Leszek Długosz
- 82 WYPĘDZENI Z SIEBIE**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie



NARODOWY BANK POLSKI INFORMUJE:

Już w lutym do sprzedaży trafi banknot kolekcjonerski z wizerunkiem Mikołaja Kopernika, który został jednym z patronów 2023 r.



Prof. Adam Glapiński, Prezes NBP, został uhonorowany nagrodą Giganci Polska Press 2022 w kategorii „Bezpieczeństwo finansowe” za wybitne zarządzanie bankiem centralnym w czasach pandemii, wojny w Ukrainie i kryzysu energetycznego.

Warszawa, 11 grudnia 2022 r.

Międzynarodowa nagroda *Excellence in Currency* w kategorii „Najlepsza nowa moneta, zabezpieczenie lub rozwiązanie logistyczne”, została przyznana NBP za innowacyjną usługę zamiany monet w urządzeniach samoobsługowych.

„The Coin Conference”, Amsterdam, 18 października 2022 r.



Nagroda Strażnik Pamięci w kategorii „Instytucja” została przyznana NBP za Centrum Pieniądza NBP.

Warszawa, 7 listopada 2022 r.

Nagrody przyznane Narodowemu Bankowi Polskiemu

Sygnalista nadaaje

🔊 **Bronisław Komorowski** zabrał głos w sprawie polskich zabiegów o reparacje ze strony Niemiec za II wojnę światową. Zdaniem byłego prezydenta nasi sąsiedzi powinni „sfinansować jakieś wielkie dzieło w Polsce, które by było jakąś formą rekompensaty, zadośćuczynienia”. Co konkretnie? „Można różne rzeczy wymyślić, a może jakąś galerię sztuki, a może coś... no różne rzeczy” – mówił Komorowski, wymieniając także zbudowanie w centrum Berlina pomnika upamiętniającego zbrodnie na Polakach. „Można tego rodzaju symboliczne zadośćuczynienie używać” – podkreślił. Można, można, ale jeśli ktoś za tak nędzne paciorki chciałby zrezygnować z warty 1 bln 532 mld 170 mln dol. polskich roszczeń, popełniłby nie tyle błąd, ile polityczną zbrodnię.

🔊 Jak wynika z sondaży, niemal dwie trzecie Polaków jest przeciwnych przyjęciu euro przez Polskę. Zdaniem ekonomisty Bogusława Grabowskiego to wynik niewiedzy: „To podział polityczny. Przeciwno będzie więcej zwolenników PiS, którym się wmawia, jaka to jest katastrofa” – oświadczył Grabowski, zaznaczając: „Polacy mają swój rozum, ale się nie znają. Ja mam swój rozum, ale nie mam zielonego pojęcia o uprawach w rolnictwie albo hodowli trzody chlewnej. I wcale to źle o mnie nie świadczy”. On sam jest za wprowadzeniem w Polsce euro, bo przyniosłoby ogromne korzyści, w tym lepsze perspektywy dla długookresowego wzrostu. Przykładów krajów na dorobku, którym euro przyniosło korzyści, nie wskazał. Nie ma się co dziwić: to zbiór pusty.

🔊 Prof. Grabowski przekonywał także, że polskie przedsiębiorstwa powinny się sprywatyzować, a Orlen roz-

bić i wpuścić zagraniczne podmioty. Gospodarka – przekonywał – musi być oparta na prywatnych podmiotach działających na rynku konkurencyjnym, a nie państwowych, upolitycznionych, działających w warunkach monopolu. Dopytywany, które firmy zostawiłby w rękach państwa, wskazał, że tylko najbardziej strategiczne. Dodał, że wydłużenie wieku emerytalnego jest nieuniknione i trzeba ograniczyć programy socjalne, bo Polski na nie nie stać. „Nie widzę powodu, żeby w długim okresie jakiegokolwiek były. Nawet firmy zbrojeniowe w Stanach Zjednoczonych są prywatne. Lotniska, wiadukty i autostrady” – podkreślił Grabowski. Ten człowiek powinien zostać kandydatem KO na premiera. W końcu mówi to, co oni myślą naprawdę.

🔊 Szef ośrodka badawczego IBRIS Marcin Duma w rozmowie z portalem Gazeta.pl: „Istnieje mocne przeświadczenie po stronie opozycyjnej, że wszystko musi się zawalić, nie ma cudów i wystarczy poczekać, aż trup PiS sam spłynie rzeką. »Jesteśmy na skraju przepaści, to się zaraz rozleci«. I jakiej części elektoratu opozycyjnego to odpowiada. Jeśli zaś weźmiemy większość społeczeństwa, to na nich mocne straszenie już nie działa. Bo w 2022 r. przeżywali masę lęków, które się nie zmateriaływały”. Duma podkreśla, że nie nastąpił zapowiadany koniec świata, bo „jednak węgiel jest, gaz też jest. [...] Obawy były zbyt mocno nakręcone przez media, nie ziściły się i teraz nie chcemy do tego wracać”. Może więc się okazać, że jesienią wyborczą rzeką spłynie trup opozycji. Są tacy, którzy są tego wręcz pewni.

🔊 Rosnące prawdopodobieństwo jesiennej sukcesu PiS niepokoi ak-

Władysław Kosiniak-Kamysz
alarmuje
w sprawie
dzietności.

„WYMIERAMY!

W 2022 r. w Polsce urodziło się o blisko 143 tys. osób mniej, niż zmarło. Dane są bezlitosne – liczba urodzeń spada w dramatycznym tempie. W ciągu ostatnich siedmiu lat ubyło nas 0,5 mln! To katastrofa demograficzna, której propaganda PiS niczym nie przykryje!” – napisał lider PSL. Troska słuszną, zasadną, ale szkoda, że pomija istotę sprawy, czyli fatalne zmiany kulturowe, forsowane przez politycznych przyjaciół ludowców z KO i Lewicy. Bez zmiany społecznego nastawienia w sferze wartości, bez pozytywnego wizerunku dzieci, niestety, nie będzie.

tywistów i działaczy opozycji, którzy sądzą, że „general Zima” wykończy obóz Jarosława Kaczyńskiego. Gdy stało się jasne, że wygrana bitwa o węgiel i tanią energię PiS raczej wzmocni, szukają spiskowych wyjaśnień zmieniających się nastrojów. „Za jeden wpis osoby mającej ponad 10 tys. obserwujących [w mediach społecznościowych], który mówi, że PiS wygra wybory albo opozycja je przegra (dlaczego, pozostawiają inwencji autora) PiS płaci 10 tys. zł. Za jeden wpis! Im chodzi o demobilizację!” – przekonuje **Roman Giertych**. Giertychowi PiS raczej nie płaci, ale patrząc na jego aktywność, powinien. Proces egzotykcji opozycji to rzecz dla obozu rządzącego bezcenna.

 Dziennikarz Wirtualnej Polski Michał Wróblewski: „Rząd mimo wielu potknięć węgiel ostatecznie dowieź. Co więcej, zima dla PiS okazuje się wyjątkowo łaskawa. Dziś właściwie nikt o brakach węgla i innych surowcach opałowych nie mówi, a i sam Tusk na zamkniętym spotkaniu z dziennikarzami w grudniu przyznał, że sprawa węgla nie będzie aż tak ważna. Słowem: zaprzeczył własnym przewidywaniom z września ub.r.”. Nie pierwszy ani nie ostatni raz. Opinie Tuska starzeją się szybciej niż śnieg w epoce globalnego ocieplenia.

 Zdaniem Marcina Dumy, by wygrać, PiS musi znaleźć „mocną oś podziału”. Na razie, ocenia badacz, trwającej poszukiwania. Partia rządząca ma jednak w ręku cenny atut: lidera opozycji. „PiS ma zidentyfikowaną postać, która pozwala wzbudzać wątpliwości w jakiejś części wyborców opozycyjnych i tą postacią jest Donald Tusk. Pewne złe elementy jego wizerunku są tak mocno ugruntowane, że nie ma takiej mocy, żeby je zmienić. Ci wyborcy opozycji nie zaczną z powodu niechęci do Tuska głosować na PiS, ale być może po prostu nie pójdą” – mówi Duma. Ten element przeważa: mimo naszych wad narodowych naród nie odda Polski komuś takiemu jak lider PO. Nie teraz, gdy wszystko jest więcej niż jasne.

 Dziennikarka stacji TVN dopytywała rzecznika PiS Rafała Bochenka o kwestię, o której opozycja mówi już od dwóch tygodni, czyli o ceny paliw na stacjach Orlen. Przy tej okazji doszło do zabawnej wymiany zdań między rzecznikiem PiS a dziennikarką TVN. „Telewizja TVN tutaj się rozegrała nagle” – zażartował rzecznik PiS, nawiązując do pytania o marże na stacjach Orlen. „Nie rozedrgałam się, absolutnie. Ja się nie zgadzam naprawdę” – odpowiedziała dziennikarka TVN. „Telewizja opozycyjna TVN, bardzo proszę” – zakończył Bochenek, przechodząc do meritum. Rzeczywiście, status najważniejszej prywatnej stacji telewizyjnej i jej re-

lacji z partiami opozycyjnymi jest niejasny: nie wiadomo, czy jest czegoś funkcją i kto kogo posiada.

 Redaktor Tomasz Lis zaproponował opozycji plan działania po ewentualnej wygranej w wyborach. „Po pogonieniu PiS państwo powinno powołać instytucję i fundusz do naprawiania krzywd wyrażonych ludziom przez reżim. A nowy prezydent powinien ustanowić medal dla tych, którzy walczyli o demokrację i praworządność” – przekonuje były redaktor naczelny „Newsweeka”. To byłby piękny widok: redaktorzy mediów opozycyjnych wypinają piersi, do których nowy prezydent – np. Rafał Trzaskowski – przypina order za walkę z antypostępową, nacjonalistyczną reakcją. W wielu przypadkach byłaby to kontynuacja starej, rodzinnej tradycji, sięgającej połowy lat 40. ub.w.

 Europoseł i współprzewodniczący Lewicy **Robert Biedroń** błysnął zdumiewającą analizą geopolityczną. „W tych trudnych czasach PiS nie zrobił nic, aby ustrzec nas przed niebezpieczeństwem” – przekonywał, rzucając absurdalne słowa w najpoważniejszej sprawie naszych czasów. Stwierdził przy tym, że Unia Europejska jest częściej atakowana niż Moskwa. Padły też słowa, które naprawdę zdumiewają: „Wydaje mi się, że ofiary w Przewodowie to także wina ministra Błaszczaka. Doprowadziliście do tego, że Polacy giną w tej wojnie. To była rakietą, którą dało się zestrzelić”. Bardzo nam przykro, ale to są bardzo nie-mądre słowa. W sumie kolejny argument, by nie powierzać naszego bezpieczeństwa ani Biedroniowi, ani ludziom mu podobnym. W złych czasach niedojrzałość przynosi śmierć.

 Prezes NBP Adam Glapiński: „Są teraz głównymi ekspertami od demokracji. Komuniści. Kto jest głównym ekspertem, także od banku, stóp procentowych, Glapińskiego, w tej stacji telewizyjnej, co nadaje całą dobę? Leszek Miller. Jeden z najwyższych funkcjonariuszy komunistycznych w Polsce. I on naucza, jak powinna demokracja funkcjonować, kto lepiej spełnia jej kryteria [...] Nasza delegacja parlamentarna w UE w tej części wybieranej przez tę stronę, dla której to nie ma znaczenia, to są dawni I sekretarze komunistycznej partii z wyższych polskich uczelni”. I wreszcie: „Oni nie są żadnymi ekspertami od niczego. Oni są ekspertami od niewolnictwa Polski, od poddawania Polski rabunkowi, podległości, dyktatowi. Oni będą służyć każdej władzy. Jak w UE zaczną rządzić – hipotetycznie – jacyś nacjonalistyczni katolicy, to oni będą nacjonalistycznymi katolikami. Jak protestanci, to byłiby protestantami, a jak muzułmanie, to muzułmanami. Będą służyć każdej władzy, żeby się wysoko ulokować i wygodnie żyć”. Celne słowa. Dobrze, że padły.

Rozmowa z koniem



KRZYSZTOF FEUSETTE

Donald: Halo?

Roman: Hasło?

Donald: – Zwierzę domowe, hodowlane, występujące nad Wisłą, proszę podać odgłos...

Roman: Piotr Pietrzyk, Rzeszów.

Donald: Pan mnie źle zrozumiał, nie mówię, żeby pan podał „nazwisko”, tylko „nad Wisłą”...

Roman: Oczywiście, że... krowa.

Donald: Krowa... też... Ale nam chodzi o konia!

Roman: W takim razie słucham.

Donald: Patataj, patataj... Czy my naprawdę musimy tak się wygłupiać? Nie może być prościej? Hasło: „masło”, odzew: „modrzew”?

Roman: Za proste. Ktoś mógłby się podszyć pod pana przewodniczącego, a ja bym go wtajemniczył niechcący w takie sprawy, że lepiej nie myśleć, bo można zemdleć ze strachu. Nie możemy sobie pozwolić na żadną wpadkę przed wyborami.

Donald: Cieszę się, że o tym wspominasz, bo mam pytanie zasadnicze: czy ty jesteś pewien, że myśmy dobrze zrobili, składając pozew przeciw TVP?

Roman: A co mieliśmy zrobić? Czekać, aż powyciągają kolejne cytaty? A wie pan przewodniczący lepiej niż ja, że czego by nie dotknęli, tam zdanie dzisiejsze nie pokrywa się z wcześniejszym ni w ząb.

A my im wysyłamy uderzenie wyprzedzające: mają zamknąć paszce raz na zawsze. Będą polykać własne języki i błagać, żeby ich Waleśa z okna wyrzucił. No, żeby ja musiał się we Włoszech ukrywać, bo prokurator chce mnie na przesłuchanie wzywać? Przecież gdybym nie odłożył siana na czarną godzinę, tobym zbierał suchy chleb dla konia! Dosyć tego! Dorzniemy watahy, spalimy szarańczę, wypatroszymy, zdelegalizujemy, zamknijemy w kampusach dla młodzieży, to ich Nitras opiliuje z wszystkiego. Już lepszy byłby dla nich sznur zimowy i gałąź pod ciężarem zgięta...

Donald: Romuś, wyluzuj, błagam cię. Żyjesz żądzą zemsty i przez to masz kłapki na oczach. Tobie już piana z pyska leci, a ile jeszcze do mety?

Roman: Ja mam końskie zdrowie i pokonam wszystkie przeszkody. Musieliśmy zareagować na tego „Naszego człowieka w Warszawie”, bo to już nie Niemcy nazywali pana przewodniczącego „naszym człowiekiem w Warszawie”, ale Moskwa! Putinowskie media!

Donald: Znalazł się, rusofob za dwa ruble. A kto za Ławrowem powtarzał, że Polska planuje rozbiór Ukrainy?

Roman: Radek mi tak powiedział.

Donald: Aha. Thank You.

Roman: Tym bardziej trzeba tę łatkę promoskiewską z Platformy zerwać, jak plaster. A już tamte słowa, że pan też „móg-

lby nazwać Władimira Putina naszym człowiekiem w Moskwie”, albo że „chcemy przyjaźni z Rosją taką, jaka ona jest” – to, umówmy się, są wypowiedzi, które nigdy nie padły. Wyrwane, zmanipulowane, zmontowane, prywatne i nic nieznaczące. Zalecam całkowity reset w internecie, a jak ktoś

zacznie szperać, to za hakerstwo antypaństwowe – do paki...

Donald: Romuś, ty ciągle jesteś zbyt narwany. Galopujesz, pod nogi nie patrzysz, przecież za chwilę ktoś pomyśli, że żaden z ciebie mecenas, a zwykły zamordysta i bolszewik.

Roman: A co mnie ludzkie myśli obchodzą? Jak ktoś na głos powie, to mu się gębę zamknie jedną decyzją administracyjną. Majątek można będzie skonfiskować już na podstawie tego, że nie wiadomo, na kogo rodzina głosowała.

Donald: Pieśń przyszlności.

Roman: Nieprawda. Wystarczy, że pan przewodniczący wygra wybory, ja wracam na ojczyznę lono i nikt już o panu przewodniczącym filmów dokumentalnych kręcić nie będzie. Wyłącznie fabularne. Już widzę te tytuły w europejskich kinach, bo przecież wszystko, co nasze, Brukseli oddamy: „Kolejny

powrót człowieka zwanego Koniem”, „Spaleni Słońcem Peru”. „Pod słońcem Tuskanii”, „Chłopcy z platformy”, „Adwokat Donalda”...

Donald: Prrr, szalony! Ależ ciebie do cyrku ciągnie. To teraz słuchaj: wiesz, co nam przyniósł pozew przeciw TVP? Tysiące ludzi rzuciło się do internetu to oglądać!

Roman: Nie trzeba było tytułu podawać. Od razu mówiłem, żeby nie bawić się w konkrety, tylko zakazać wszystkiego. Nic, ani słowa, koniec, cisza. Niech nawet nazwiska pana przewodniczącego nie ośmielił się wymawiać.

Donald: A jak się ośmielił?

Roman: To ja już mam pozwy gotowe. Na górze trzeba tylko nazwisko skazanego wpisać i won z kraju. Nie podoba się europejska wolność słowa, to do Łukaszenki.

Donald: A on ich potem przyśle z powrotem.

Roman: Przecież PiS mur zbudował. Sami na siebie wyrok wydali.

Donald: Genialne.

Roman: To, jak? Może do Senatu?

Donald: Ale co?

Roman: Bym poszedł.

Donald: A czy ja Kaligula jestem, żeby z izby refleksji stadinę robić? No, koń by się uśmiał...

Roman: Słucham? Aha! I-ha-ha! I-ha-ha!

To miało być niewykonalne. Od tygodni politycy opozycji powtarzali jeden przez drugiego, że nie da się przekazać Ukrainie systemów obrony przeciwlotniczej Patriot. Bo nie należy do NATO, bo szkolenie żołnierzy z obsługi trwa miesiącami itd., itp. I co? Znowu muszą połknąć własny język.

Pod koniec listopada Mariusz Błaszczak, minister obrony narodowej, proponował, by Patrioty, które Niemcy chcieli udostępnić Polsce, przekazać Ukrainie. „To pozwoli uchronić Ukrainę przed kolejnymi ofiarami i black-outem i zwiększy bezpieczeństwo naszej wschodniej granicy” – mówił minister.

Wówczas w odpowiedzi na ten pomysł minister Lambrecht oświadczyła, że oferowane Polsce zestawy Patriot są częścią zintegrowanej obrony powietrznej NATO i są przeznaczone do użytku na terytorium państw paktu. A pomysł ministra Błaszczaka wywołał w Polsce kolejną antyrządową histerię. „Błaszczak robi wszystko, by Niemcy nie przysłali do Polski systemów Patriot. Na Wschodzie wojna, a ten urządza gierki wokół tak potrzebnej nam pomocy... Tu potrzeba prostej decyzji” – pisał Marcin Kierwiński z KO. „To nie jest szlachetny gest, nie da się przekazać tych baterii szybko Ukrainie. One wymagają kilkusetosobowej załogi, szkolenia, które trwa od pół roku do roku. W innym przypadku to wysłanie baterii wraz z załogami, czyli żołnierzami. Oznaczałoby to udział żołnierzy NATO w wojnie. Poza tym to niewłaściwe, gdy próbujemy decydować o cudzym sprzęcie. Jak my byśmy się poczułi, gdybyśmy przekazali komuś nasz wojskowy sprzęt, a ten ktoś zaproponowałby przesłać go gdzieś indziej?” – mówił Tomasz Siemoniak, były szef MON, polityk PO w wywiadzie z „GW”. „Przekazanie Patriotów Ukrainie nie wchodzi w grę. Przeszkolenie żołnierzy z obsługi Patriotów to ok. dziewięć miesięcy. Przez ten czas wyrzutnie nie będą mogły chronić ukraińskiego nieba. W Polsce Patrioty byłyby od pierwszego dnia obsługiwane przez wojsko NATO-wskie. Pojawienie się żołnierzy NATO na wojnie na Ukra-

I kto miał rację?

To piękna sytuacja, gdy polityk opozycji potrafi przyznać, że obecny rząd jest profetyczny



inie nie wchodzi jednak w grę. Oczywiście jeśli chcemy uniknąć III wojny światowej” – pisał na portalu Olsztyn.com.pl Marcin Kulasek, sekretarz generalny Nowej Lewicy. „Pan Błaszczak w najgorszym możliwym stylu próbuje rozgrywać dobrą wolę Niemców i nadzieję Ukraińców. Jedni i drudzy to sąsiedzi i sojusznicy, a nie pionki na wielkiej szachownicy PiS” – komentował Marek Belka, były premier i były szef Narodowego Banku Polskiego.

To oczywiście tylko niektóre z komentarzy krytykujących pomysł polskiego rządu, by systemy obrony przeciwlotniczej Patriot przekazać Ukrainie. Dziś sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Rządy

USA i Niemiec we wspólnym oświadczeniu ogłosiły, że na Ukrainę trafi m.in. niemiecka bateria systemu obrony powietrznej Patriot. Stało się to m.in. dzięki zabiegom Polski.

„Miarą skutecznej polityki są konkrety, formułowanie koncepcji i ich skuteczna realizacja. Polska od miesięcy zabiega o to, żeby nowoczesny sprzęt wojskowy trafił na Ukrainę” – komentował premier Mateusz Morawiecki.

Co na to opozycja? Przynajmniej niektórzy potrafili przyznać się do błędu. Ryszard Wilczyński z KO w programie „Minęła 20” tak odpowiedział na pytanie, czy pomysł, by przekazać systemy Patriot Ukrainie, był dobry: „W świetle zdarzeń, które zaistniały, to była propozycja, o której można powiedzieć, że była profetyczna. Oczywiście nie było żadnych przesłanek, które mówiły, że do czegoś takiego dojdzie. Dopiero rzeczywiście wizyta w USA prezydenta Zełenskiego pokazała, że to jest możliwe”.

To piękna sytuacja, gdy polityk opozycji potrafi przyznać, że obecny rząd jest profetyczny, bo chyba miarą dobrego polityka jest umiejętna ocena sytuacji i wybieganie w przyszłość. Wygląda na to, że politycy opozycji tego nie potrafią. Profetą był także śp. prezydent Lech Kaczyński, gdy w 2008 r. wypowiadał te słowa w Tbilisi: „I my też wiemy świetnie, że dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później może i czas na mój kraj, na Polskę”. Szkoda, że Europa tak późno te słowa zrozumiała i doceniła.

Dorota Losiewicz



Najsłynniejszemu na świecie psychologowi klinicznemu grozi utrata licencji zawodowej. Jaki jest powód tego, że Jordan Peterson, którego konto w trzech mediach społecznościowych śledzi 15 mln ludzi na całym świecie, został skierowany przez Kolegium Psychologów w Ontario na przymusową reedukację, czyli obowiązkowy kurs komunikacji, za który musi na dodatek słono zapłacić?

Otóż Peterson odważył się skrytykować premiera Justina Trudeau i byłego szefa jego sztabu Geralda Buttsa, zażartować z premier Nowej Zelandii Jacindy Ardern, podważyć sensowność działań policji w Ottawie oraz przedstawiać publicznie poglądy niezgodne ze stanowiskiem rządu. Chociaż wyrażał swoje zdanie podczas audycji, które nie miały nic wspólnego z jego praktyką kliniczną, wspomniane kolegium uznało, iż kompromituje on swoimi wypowiedziami profesję psychologa. Oskarżono go m.in. o szerzenie dezinformacji, seksizm, transfobię i negowanie zmian klimatycznych, a także skierowano na przymusowy kurs, grożąc w przeciwnym razie odebraniem prawa do wykonywania zawodu.

Peterson odpowiedział, że nie zamierza podporządkowywać się żądaniom kolegium, nazywając je represją polityczną. Napisał też list otwarty do premiera Justina Trudeau, w którym obwiniał go o promowanie polityki prowadzącej do ideologicznej tyranii. Jak zauważył w swoim piśmie, Kanada stała się krajem, w którym krytyka władzy urasta do rangi przestępstwa zwalczanego przez rządowych komisarzy za pomocą donosów i pomówień.

Studiując przypadek Petersona, można by pomyśleć, że mamy do czynienia z reżimem totalitarnym, a nie demokracją liberalną. A może warto by jednak sięgnąć do klasycznej pozycji Jacoba Talmona o demokracji totalitarnej?

Grzegorz Górny



Dwie panie ministrzynie

Kancelarz Niemiec Olaf Scholz nie ma szczęścia do kobiet – twierdzą media za Odrą. Chodzi oczywiście o szefową MSW Nancy Faeser (z prawej) i minister obrony Christine Lambrecht (z lewej). Obie to partyjne towarzyszkis kanclerza, które zdaniem krytyków nie radzą sobie ze swoimi obowiązkami. Lambrecht ma złą prasę, a chadecka opozycja domaga się jej dymisji. Szefowa MON nie zna się na obronności i unika spotkań z wojskowymi. Zasłynęła za to m.in. tym, że zabrała syna helikopterem Bundeswehry na urlop na wyspie Sylt, a od spotkania ze swoim brytyjskim odpowiednikiem wolała wizytę u fryzjera. Tymczasem Bundeswehrze wciąż brakuje broni i amunicji. Wisienką na torcie było jej orędzie noworoczne, wygłoszone na tle stalinowskich budynków w okolicach Alexanderplatz w Berlinie oraz głośniejszych fajerwerków, podczas którego stwierdziła, że wojna na Ukrainie była dla niej „okazją do poznania wielu ciekawych ludzi”. Scholz nagrania opublikowanego na Instagramie nie chciał komentować, za to zrobił to szef CDU Friedrich Merz, twierdząc, że każda kolejna godzina sprawowania urzędu przez panią Lambrecht osłabia autorytet kanclerza.

Lambrecht i Faeser się zresztą przyjaźnią i kolejnym faux pas minister obrony było wystawienie kandydatury szefowej MSW na premiera Hesji (wybory odbędą się na jesieni) bez uzgodnienia tego z kanclerzem. Lambrecht nie czuje się bowiem sama zbyt komfortowo w roli szefowej MON i wolałaby przejąć resort spraw wewnętrznych, gdzie Faeser także nie wykazała się niczym szczególnym. Podczas gdy w medialnej akcji udaremniła domniemany pucz Obywateli Rzeszy, to nie poradziła sobie z zamieszkami wywołanymi przez migrantów w noc sylwestrową w Berlinie, podczas których rannych zostało kilkudziesięciu policjantów i strażaków.

Po zamieszkach zatrzymano ponad 100 osób. Ale kary są zbyt łagodne, a nakazy deportacji nie są wykonywane. Sama Faeser zresztą złożyła coś w rodzaju deklaracji kapitulacji. Wyznała, że „są w Niemczech młodzi mężczyźni o korzeniach migracyjnych, którzy gardzą naszym państwem, dopuszczają się aktów przemocy” i „nie docierają do nich programy edukacyjne ani integracyjne”. Co zamierza w związku z tym zrobić, nie powiedziała. Die Linke i Zieloni zarzucili jej z tej okazji, że wznieca rasistowskie resentymenty, a chadecy brak uczciwości wobec „palącego, społecznego problemu niezintegrowanych imigrantów”. Sprawą zajmie się w najbliższym czasie Bundestag.

Olaf Scholz tymczasem zapowiedział, że co najmniej na razie nie planuje rekonstrukcji rządu. Złośliwcy twierdzą, że wspiera obie panie, bowiem ich potknięcia odwracają uwagę od jego własnych niedociągnięć. W końcu to on odpowiada za brak realizacji tzw. Zeitenwende (zmiany epokowej) w niemieckiej polityce oraz zbyt powolne dostawy broni na Ukrainę.

Aleksandra Rybińska



Meksyk

Syndykaty zbrodni

Ovidio Guzmán – syn narkotykowego potentata Joaquína Guzmána, szerzej znanego jako El Chapo – został aresztowany 5 stycznia w miejscowości Culiacán. Widzowie Netfliksa znają jego historię z serialu „Narcos: Meksyk”. W odwecie na zatrzymanie swojego szefa kartel ze stanu Sinaloa zablokował drogi, podpalał samochody, a jego członkowie zaatakowali nawet lokalne lotnisko. Starcia z policją wkrótce rozprzestrzeniły się na cały stan. Ta manifestacja siły kartelu sprawiła, że sąd nie zgodził się na ekstradycję Ovidio do Stanów Zjednoczonych.

Guzmán specjalizuje się w produkcji fentanylu, syntetycznego narkotyku wytwarzanego ze sprowadzanych z Chin chemikaliów. Jest 100 razy silniejszy od morfiny i uzależnia znacznie szybciej niż heroína, zbierając śmiertelne żniwo w USA. Produkcja i przemyt narkotyków do Stanów Zjednoczonych są najbardziej dochodową, ale nie jedyną formą działalności karteli. Zajmują się one także nielegalnym handlem bronią, handlem żywym towarem, porwaniami i praniem brudnych pieniędzy. W ostatnich latach przejęły również kontrolę nad wieloma plantacjami awokado, a także nad dystrybucją wody. Gangi zdominowały północ kraju przy granicy z USA, gdzie *de facto* sprawują władzę. Mafie kontrolują tam drogi i pobierają haracze od firm, brutalnie zwalczając konkurencję i walcząc z policją.

Wojnę mafii wypowiedział w 2006 r. prezydent Felipe Calderón, angażując w nią wojsko i zmilitaryzowaną policję. Obecny

prezydent, Andrés Manuel López Obrador, kontynuuje ten kurs, skupiając się na walce z korupcją, która trawi wymiar sprawiedliwości i prokuraturę wywodzące się z czasów dominacji Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej.

Przez dziesięciolecia w okresie autorytarnych rządów PRI na narkobiznes przymykano oko, w zamian za co kartele powstrzymywały się od przemocy. Jednak wieloletnia milcząca zgoda na działalność karteli sprawiła, że zyskały one na sile. Nieustannie rosnący popyt na narkotyki w Stanach Zjednoczonych oraz rozbić w latach 90. kartelu z kolumbijskiego Medellín, sprawiły, że wzmocnione ogromnymi zyskami gangi przestępcze zaczęły dążyć do podporządkowania sobie instytucji państwowych. W ciągu ostatnich 30 lat kartele przeobraziły się w potężne organizacje porównywalne do transnarodowych korporacji. Odpowiedzią władz była brutalizacja wojny z narkobiznesem, która choć nie ma końca, to cieszy się poparciem społeczeństwa.

Zatrzymanie Ovidio Guzmána miało być dowodem, że władze kontrolują sytuację. Zwłaszcza że doszło do niego na kilka dni przed szczytem przywódców Ameryki Północnej z udziałem prezydenta Bidena. W ocenie ekspertów rząd meksykański chciał w ten sposób pokazać swojemu sąsiadowi z północy, że panuje nad bezpieczeństwem w kraju. Jednak zaciekle walki, które wkrótce potem wybuchły, podają w wątpliwość zapewnienia rządu.

Maciej Walaszczyk

Czarnogóra

Promoskiwski kurs zatrzymany



Miodrag Lekić (na zdj.), lider proserbskiej i prorosyjskiej partii Demos, który pod koniec ub.r. otrzymał misję sformowania nowego rządu, poinformował o niepowodzeniu swoich starań, co oznacza, że Czarnogórę czekają najprawdopodobniej przedterminowe wybory.

Mogą one rozwiązać trwający od kilku miesięcy kryzys polityczny, który rozpoczął się w sierpniu ub.r., gdy gabinet Dritana Abazovića otrzymał wotum nieufności. Zawiązana wówczas koalicja 20 partii, które połączyły się w trzy bloki polityczne, składająca się zarówno z sił prozachodnich, jak i proserbskich, zaproponowała kandydaturę Lekicia, byłego ministra spraw zagranicznych. Tego konglomeratu sił politycznych nie połączył wspólny program, lecz opór wobec urzędującego prezydenta Milo Đukanovića z Demokratycznej Partii Socjalistów. Đukanović najpierw, zgodnie z konstytucją, zablokował kandydaturę Lekicia, ale potem, nie chcąc łamać ustawy zasadniczej, powierzył mu misję tworzenia nowego gabinetu. W odpowiedzi nowa koalicja pozbawiła prezydenta prawa do wpływania na wybór rządu.

Te działania wywołały masowe protesty przed budynkiem parlamentu, a jednocześnie sprowokowały niezwykle twarde oświadczenie przedstawicieli UE i USA, którzy zagrozili, że mandat nowego rządu może nie zostać uznany przez społeczność międzynarodową. Komentatorzy zaczęli mówić o zwrocie geostrategicznym Czarnogóry i możliwości przyłączenia się tego państwa, będącego członkiem NATO, do bloku prorosyjskiego.

Ostatecznie o niepowodzeniu misji Lekicia miały przesądzić nadmiernie rozbudowane apetyty jego formacji, która chciała mieć aż 10 z 20 tek w nowym gabinecie. Pozostali koalicjanci uznali, że taki podział ministerstw da faktyczną większość Demosowi, bo w sytuacjach konfliktowych rozstrzygający byłby głos premiera. Jednak liderzy formacji Lekicia są zdania, że prawdziwym powodem rozpadu koalicji była presja Zachodu, który obawiał się reorientacji Czarnogóry.

Marek Budzisz

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Głupkowate wpadki Tuskowej gromadki

Buzująca agresją Tuskowa opozycja niemal codziennie zalicza głupkowate wpadki, z których można się uśmieć po pachy, a nawet pozrywać boki, jeżeli ktoś ma jeszcze niezerwane.

Po światłej decyzji Komisariatu Europejskiego, nakazującego podnieść VAT na benzynę do 23 proc., łapserdaki zacierali rączki, że ceny na stacjach skoczą w górę i będzie można grillować rząd, co przełoży się na słupki poparcia. Ale Orlen okazał się cwańszy. Dużo wcześniej wykonał buchalteryjny manewr pozwalający na stabilizację cen w dłuższym okresie. No i co, pacholki Gazpromu i Nord Streamu? Tylko szloch wam został, wypłakiwany w niemieckich mediach.

Straszenie zimą też im nie wyszło. Okrutny mróz miał skuć lodem cały kraj z powodu braku węgla. Jak na razie spora część rodaków jest raczej przegrzana i wzdycha do sniegu, bo narciańskie ferie blisko. Klimat tuskoidom nie sprzyja? Dziwne, bo kumple zarządzają w Brukseli tymi wszystkimi pieniędzmi z emisji, mają chody u Timmermansa. Nie załatwili?

Sztab antypolskiej sekty przędzie coraz cienie, bo musi przymknąć oczy na przekazanie walczącej Ukrainie systemów

Patriot i innych rodzajów uzbrojenia. Prezydent Biden zgodził się w tej sprawie z sugestią prezesa Kaczyńskiego, wicepremiera Błaszczaka i kanclerz Scholz otrzymał propozycję nie do odrzucenia, by siedział cicho. Dosłownie przed tygodniem słuchaliśmy „ich ludzi w Warszawie”, że NATO nigdy się nie zgodzi. I co? Znowu głupia wpadka. I to w światowej skali.

W sumie – nie powinni w ogóle się odzywać, jak Petru w Sześciu Króli. Jedynie w sprawach programu wyborczego społeczeństwo oczekuje wyraźnej deklaracji. Ale powiedzmy szczerze, skoro opozycjoniści mają program zakładający zniszczenie Polski, niezręcznie o tym rozpowiadać przed wyborami. Wpadli we własną pułapkę. Jak to ujęła któraś z umysłowych gwiazd tej formacji: mają program, ale ujawnia go po wyborach. Gdyby ujawnili wcześniej, konkurenci by ukradli. Naprawdę obśmiałem się jak norka. Co za chytra strategia! Do dnia wyborów, w pogoni za władzą wykonują niejedno salto mortale! Śmiechu będzie co niemiara! Wesołego roku wyborczego życzy kominiarz!



**Jan
Pietrzak**

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Czemu Franciszek zelżył Benedykta?

Śmierć Benedykta XVI może okazać się niesłychane znaczącym wydarzeniem w historii Kościoła, które znacznie więcej opowie nam o kondycji naszej wiary, niż przypuszczamy. Przede wszystkim chodzi o jedynego dotąd byłego papieża pogrzebanego za życia jego następcy. Ale ważniejsze jest, że to jest jedyny papież, którego pochowano w tak niegodny sposób. Bez odpowiedniej żałoby w Watykanie (nawet kilka niekatolickich państw postąpiło inaczej, opuszczając państwowe flagi do połowy, czego – co jest tyle oburzające, co szokujące – w Stolicy Apostolskiej nie doświadczyliśmy).

Opisał to na portalu wPolityce.pl Grzegorz Górny, więc nie ma co powtarzać szczegółów. Pytanie brzmi: o co chodzi? Dlaczego obecny gospodarz Stolicy Świętej okazał się tak prostacki i małostkowy, że *de facto* zelżył swojego poprzednika?

Najprostsza odpowiedź brzmiałaby trywialnie: skoro Benedykt XVI, czerpiący siłę ze swojej głębokiej teologii i z tradycji swojego świętego predecesora Jana Pawła II, był wielkim duchownym, to gdy jego następca nie ma tego typu przymiotów, to musiał pomniejszyć legendę i dzieło poprzednika. Takie małe ludzkie zawiści.

To na pewno prawdziwe wyjaśnienia, ale niewystarczające. Otóż Franciszek najwyraźniej nie tylko czuje się mniej warty, ale też osobiście gardzi swoim poprzednikiem i jego dorobkiem.

Oraz całym dziedzictwem papieżstwa, katolicyzmu i chrześcijaństwa.

F1 to człowiek, który wypowiedział taką kwestię: „Jeżeli ktoś ma skłonności homoseksualne i chce być blisko Pana, kim jestem ja, by go osądzać”. Jeśli Ojciec Święty uważa, że nie jest osobą, która ma prawo krytycznie osądzać zachowanie perwertów, to jesteśmy bliscy końca świata wszelkich wartości. Bo któż inny może powiedzieć, że tych seksualnych dziwaków pochłonie piekielny ogień? Na pewno nie Unia Europejska.

Placę, jęczę i wzdycham. Obserwuję też, że Franciszek ma kardynałów, którzy wybiorą jego następcę, wybiorą jemu podobnego, równie marnego kandydata, a odrzucą tych, którzy woleliby powrócić do wielkiej tradycji Kościoła.

Liczmy jeszcze na Ducha Świętego, ale kiedy papież odrzuca jego posłanie, to trudno mieć wielkie nadzieje.

W powyższym tekście unikałem ostrych słów, które same się narzucały po skandalu w czasie pogrzebu Benedykta XVI. Starałem się być dyplomatyczny i delikatny. Jeśli nie wyszło – przepraszam.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

BRONISŁAW WILDSTEIN

Czy jesteśmy skazani na uległość?

Prezzydent Duda zagroził wetem wobec ustawy o SN, czym doprowadził do zdjęcia jej z sejmowej wokandy. Inicjatywa, którą odnotowałem z uznaniem, przesłoniła weto prezydenckie w sprawie nowelizacji prawa oświatowego, zwanego „lex Czarnek”.

Określenie to, które bezmyślnie powtarzają również zwolennicy obecnej władzy, jest jedną z technik jej dyskredytacji. Uchwalane przez nią prawa są nazywane prawami pisowskimi, ewentualnie od nazwisk szefów resortów, podobnie są określane instytucje, *vide*: Trybunał Przylębskiej, pisowscy sędziowie itp. Celem tej strategii jest zakwestionowanie legalności państwa, które jest nazywane pisowskim i porównywane z PRL, mimo że obecna władza ma wyjątkowo mocny, demokratyczny mandat.

Nie będę rozpisывał się o skądiną oczywiście niszczących konsekwencjach tej strategii dla państwa i demokracji.

Dziś chciałbym zastanowić się nad prezydenckim wetem wobec ustawy oświatowej. Zdumiało mnie ono, a jeszcze bardziej jego uzasadnienie. Prezydent stwierdził, że chodzi o uniknięcie tarć i awantur. Ponieważ awantury prowokują przeciwnicy obecnej władzy, jest to zachęta, by eskalowali swoje działania. W ten sposób dobrze zorganizowana i wspierana przez wpływy środowiska mniejszość może narzucać większości dogodne dla siebie rozwiązania. Dzieje się tak na Zachodzie, co jest nazywane liberalną demokracją, acz z demokracją ma niewiele wspólnego.

Prawo oświatowe proponowane przez ministra Czarnka, przeinaczane i ośmieszane przez lewicowo-liberalne ośrodki, sprowadza się do większej kontroli rodziców nad placówkami oświatowymi i uniemożliwieniu indoktrynacji dzieci. Obecnie, gdy mamy do czynienia z ofensywą tego typu na całym Zachodzie, a więc i w Polsce, jest ono wręcz niezbędne.

Zastanawiając się, o co chodzi, przypomniałem sobie wypowiedź sprzed paru miesięcy ambasadora USA w Polsce Marka Brzezinskiego, który raczył zauważyć: „Od kiedy zacząłem tu swoją misję, widzę naprawdę wysiłek ze strony prezydenta Dudy, by osiągnąć konsensus z naszym stanowiskiem w kwestii koncepcji dla TVN24 i TVN7, w sprawie zawetowania ustawy oświatowej, która bardzo nas niepokoiła, skierowania do Sejmu projektu ustawy likwidującej Izbę Dyscyplinarną i innych posunąć”.

Czy polski ambasador w Waszyngtonie nie powinien iść w jego ślady? Czy nie powinien wyrazić zaniepokojenia ideologicznym rewizjonizmem historycznym w szkolnictwie tudzież na uczelniach USA, który przybiera barbarzyńskie formy (niszczenie pomników amerykańskich bohaterów), a także budzącym obawy

aktywizmem sędziów w tamtym kraju? Czy nie trzeba skłonić prezydenta Bidena, by poczynił wysiłki na rzecz konsensusu z polskim stanowiskiem w tej sprawie?

Słyszę już śmiech totalnej opozycji, która politykę utożsamia z lokajską postawą wobec możnych tego świata. Skoro ich personalne kariery są możliwe wyłącznie w takim układzie, a innych kryteriów nie znają – trudno się im dziwić. No, ale obecna władza miała prowadzić podmiotową politykę...

W żadnym wypadku nie utożsamiam działań Dudy z zabiegami Tuska *et consortes*. Rozumiem także, że polityka jest sztuką możliwego, a więc że silnemu realnie zawsze wolno więcej, ale nie znaczy to, że musimy iść na ustępstwa, które nie są konieczne.

Wspieranie przez Bidena Ukrainy i Polski nie zależy od jego sympatii do polskiego prezydenta czy premiera, ale od głęboko pojętego interesu Stanów Zjednoczonych. Wycofanie się ze wsparcia naszego sąsiada oznaczałoby załamanie się globalnej roli USA. Pomyśl, że pomoc dla Ukrainy i Polski ze strony Ameryki będzie dozowana zależnie od posłuszeństwa naszych rządów w partykularnych kwestiach, oznaczałoby uznanie, że krajem tym rządzą idioci, a to – mimo wystąpień jego rozmaitych dyplomatów – jest nieprawdziwe.

To, że różne lobby, którym sprzyja prezydent USA, podłączają się pod wielką grę i chcą przy okazji załatwiać swoje interesy, jest naturalne. Niesmaczne jest, że oficjalnie wspiera je ambasador Waszyngtonu, ale nie powinno nas to specjalnie dziwić ani przede wszystkim wpływać na nasze postawy. W polityce uczucia są pochodną interesów i nie ma powodu zaspokajać amerykańskich oczekiwań, które są dla nas niekorzystne, jeśli nie jesteśmy do tego absolutnie zmuszeni. Naturalnie ze strony dyplomatów w rodzaju Brzezinskiego będziemy słyszeli, że łamanie polskiego prawa o mediach czy podkładanie się lobby LGBT+ jest warunkiem wsparcia ze strony Waszyngtonu, ale stanowi to wyłącznie taktyczną grę. Tragiczne wydarzenia za naszą wschodnią granicą otwierają dla nas dziejową szansę. Jeśli uznamy, że sprowadza się ona wyłącznie do wypełniania amerykańskich poleceń – zmnurujemy ją. Pisałem już o tym.

Swoją drogą imperialna arogancja, którą w Polsce prezentują Amerykanie i która kosztowała ich już dużo gdzie indziej, choćby w Ameryce Łacińskiej, wydaje się nieuleczalna i raz jeszcze dowodzi, że ludzie nie uczą się niczego z historii.

A powinni. 



Walizka Katarzyny Supel-Zaboklickiej

dziennikarki Salve NET

Najczęstsze podróże to zdecydowanie trasa Warszawa – Węgrów. Choć zupełnie przez przypadek urodziłam się w stolicy, to wychowałam się w Węgrowie, z którym się utożsamiam i wiąże mnie lokalny patriotyzm. Druga trasa, którą polubiliśmy z całą rodziną, to Warszawa – Gdańsk. Od jakiegoś czasu nie wyobrażamy sobie, żeby co kilka miesięcy nie pojechać do Gdańska. A tam obowiązkowy spacer plażą, odwiedzić Sopotu i Gdyni (plaża Orłowo i klif). Jeżeli chodzi o zagraniczne kierunki, to całą paczką zwiedziliśmy Hiszpanię, Grecję, Sycylię, Chorwację, Wyspy Zielonego Przylądka i kilka innych miejsc. Ich wybór dostosowujemy do wieku dzieci. Im starsze, tym podróże są dłuższe, bardziej wymagające i mniej zorganizowane, tzn. nie korzystamy z biur podróży. Nasza pierwsza wizyta w Medjugorje miała miejsce przy okazji pobytu w Chorwacji.

Córka, mimo że wtedy była mała, uparła się, że wspólnie ze mną wejdzie na górę i pomodli się pod krzyżem. Duże wrażenie zrobiła na nas Sycylia ze względu na sanktuarium św. Rozalii i jej historii, w której uratowała Palermo od zarazy.

WĘGRÓW

...i jego okolice są naprawdę piękne. Zajmują stałe miejsce w sercu naszej rodziny. Ponieważ jestem lokalną patriotką, jestem na bieżąco, co się dzieje w Węgrowie: kto w nim rządzi, czy pojawił się jakiś nowy ksiądz w parafii, czy park w Węgrowie jest wyremontowany itp.



OLÓWKI

Nasza Helenka rok temu trafiła do szpitala i na czas jej dwutygodniowego pobytu zabrałam dla córki ołówki, blok i specjalny szkiecownik do nauki rysowania. Choć nigdy nie potrafiłam rysować, tam złapałam plastycznego bakcyła. Gdy mam więcej wolnego czasu, czyli w wakacje, zabieram coś do szkicowania.



SZPILKI

Moja ogromna słabość. Mam ich bardzo dużo, bo w każdym kolorze! Stawiam na polskie marki, z czego jestem dumna.



Fot. Andrzej Wiktor



OPASKI

To kolejna moja odzieżowa słabość w wielobarwnym nakładzie. Kiedyś podkradłam córce, teraz ona „pożycza” moje.



LEKTURY

Podczas urlopu przestrzegam zasady trzech książek. Po pierwsze, zawsze wybieram biografie, w 99 proc. himalaistów – jak ich nazywam – „lodowych wojowników”, które robią na mnie piorunujące wrażenie. Tą pasją zaraził mnie mój tata, który fascynuje się górami i odkrył przede mną Bieszczady. Druga książka to musi być klasyka przez duże K, np. „Duma i uprzedzenie”, „Trzech muszkieterów”, „Małe

kobietki”. Trzecia książka należy do kategorii „lekka, łatwa i przyjemna”. Zazwyczaj kupuję na lotnisku i... zostawiam tam, gdzie podróżujemy.

NOTES

Ten akurat sztuka nówka, nieśmigana. Robię bardzo dużo notatek – przygotowując się do wywiadów – zwłaszcza na małych karteczkach, które rozsiewam po kieszeniach, kurtkach i plecakach. Po kilku latach potrafię znaleźć taką „myśl” i być bardzo mile zaskoczona jej głębią.



SERCE

Z klocków autorstwa mojego syna. Lego to ogromna słabość całej rodziny. Może dlatego, że gdy byłem dzieckiem, to nie były osiągalne. Gdy nasze dzieci podrosły na tyle, żeby bawić się klockami, ja i mąż zaczęliśmy korzystać z tego faktu, ponieważ sami później je składamy.



BIŻUTERIA

Drobna, subtelna, z niewielkim błyskiem. W większości są to prezenty od bliskich.



ŚWIĘTY OBRAZEK

Bardzo dużo osób zabiera w podróż różaniec, ja mam święte obrazki. Ten ma charakter sentymalny, bo jest związany ze śmiercią mojej babci, która odeszła jakiś czas temu. Słabość do tych maleńkich dewocyjnych druków mam po mojej prababci Stanisławie, która w każdym modlitewniku miała bardzo dużo takich obrazków.



ŚW. ANTONI

Dużo obrazków w mojej kolekcji jest przywiezionych przez moich przyjaciół z podróży. Św. Antoni od rzeczy zagubionych jest moim ulubionym. Wystawiam go często na ciężkie próby, bo często gubię różne przedmioty.



SALVE NET

Dla telewizji diecezji warszawsko-praskiej nagrywam cykl, który nazywa się „Studio świadectw”. To są spotkania z ludźmi, którzy przeżyli głębokie nawrócenie lub których cechuje cicha wierność. Ci ostatni to osoby systematycznie i codzienną pracą budujące swoją wiarę. Wszystkie te spotkania są dla mnie jak podróże, bo uświadamiają mi, jak mało jeszcze wiem i jak małą jest moja wiara...



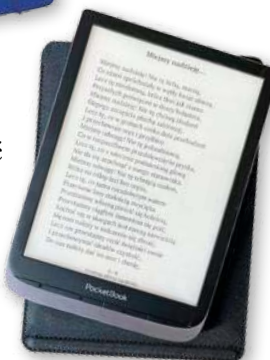
ZAPACH

XS Paco Rabanne już nie jest produkowany, ale w związku z tym, że jestem niezwykle sentymalna, flakony skupuję na różnego rodzaju aukcjach internetowych. Używam ich od 18. urodzin, gdy dostałam je w prezencie od rodziców.



CZYTNIK KSIĄŻEK

Prezent od męża, który powiedział, że jeżeli przyniosę do domu kolejny egzemplarz książki, to skończy się tak, że zamieszkamy u naszych sąsiadów, ponieważ strop w mieszkaniu nam się zawali. Na 100 proc. będę korzystać z tego wynalazku, choć nie pachnie papierem.



Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**

OGNIEM NA WPROST

Modlitwa z suplementem



Trwa obrona Soledaru. Ruski na moment pisania tego tekstu zajął więcej niż połowę tego 10-tys. miasteczka, co potwierdzają amerykańskie satelity. Znajduje się w nim kopalnia soli z siecią podziemnych korytarzy, których łączna długość sięga ok. 200 km. Tam Ukraińcy skutecznie się bronią, wykorzystując kopalniane tunele do chytrego przemieszczania się. Po pierwszym potężnym uderzeniu Moskali, które zmusiło Ukraińców do odwrotu z niektórych pozycji w tym mieście i pozwoliło im dojść do centrum, ruskie natarcie wyhamowało, a Ukraińcom udało się odzyskać trochę terenu. W ubiegły poniedziałek znów Rosjanie uderzyli z przewagą pięć do jednego. Ponownie wyparli Ukraińców z części Soledaru i do wieczora złapali kontrolę ogniwą głównej drogi zaopatrzenia ukraińskich oddziałów. W nocy żołnierze 49. brygady SZU opanowali jednak sytuację, nie dopuszczając do najgorszego. Soledar to pierwsza linia obrony Tryzubów, a za nią są następne. Kacap atakuje bandyterką wypuszczoną z więzień, zwaną umownie Grupą Wagnera. Moskiewska krew leje się strumieniami, a postęp niewielki. Tak trzymać, Kozacy!

Towarzystwo od „łysego w czapce” – tak Ukraińcy nazywają kucharza Putina Prigożyna, szefa wagnerowców, właśnie pochowało „kumpla spod celi”. Zaliczył kulkę w Soledarze. Zrobili mu pogrzeb

z wojskowymi honorami. Trumnę nieśli „wojskowi” (czytaj urki, czyli reprezentanci kacapskiej subkultury łagrowej), a mowy pożegnalne (zapewne grypsery) wygłosili żyjące jeszcze bandziory weterani. Siergiej Mołodcow, bo tak nazywał się zmarły 46-latek, trafił do wagnerowców prosto z pudła. Kacap przed wyrokiem mieszkał wraz ze swoją konkubiną i matką. Pił jak świnia. Któregoś wieczoru nawalony rzucił się z pięściami na rodzicielkę. Uderzeniami złamał jej szczękę, ramię, roztrzaskał twarz i głowę. Na rozprawie wyparł się winy, argumentując, że ofiara sama przypadkowo upadła. Dostał pajdę, ale wyciągnął go Prigożyn. Długo na szczęście nie powalczył, bo trafiła go ukraińska kula. Jest jeszcze sprawiedliwość na tym świecie.

Wrosyjskim internecie krąży modlitwa z suplementem. Oto treść modlitwy: „Boże... Zmiłuj się i zbaw nas, grzeszników. Chroń nasze miasta przygraniczne Biełgorod, Kursk, Briańsk, Rostów oraz przyległe miasta i osiedla przed bombardowaniem i ostrzałem. Ratuj i zachowaj naszych wojowników, którzy bezinteresownie, bez snu i odpoczynku, w nierównych i trudnych walkach bronią naszej ojczyzny”. Teraz suplement do modłów: „Proszę, jeśli macie wiele kontaktów, wyślijcie prośbę o modlitwę na dzisiejszy dzień i noc. Potrzebna jest modlitwa (choćby kilka ukłonnów) za wojowników Antoniusza (on

jest dowódcą), wojownika Walerego i wojowników z nimi. Ponoszą wielkie straty. **WOJSKO POLSKIE NA NICH W TEJ CHWILI ATAKUJE**”. Jedno jest pewne – jak Moskal pisze, że walczy z Polakami, to znaczy, że dostaje od Tryzubów solidny łomot.

Wkońcu wyszła prawda o sylwestrze w okupowanej przez Rosjan Makijiwce. Tuż przed godziną zero podjechała ciężarówka Tryzubów obwieszona lampkami jak na świątecznej reklamie coca-coli (nakręcili film z tego wydarzenia – do obejrzenia w sieci). Z szoferki wyszedł żołnierz w hełmie ozdobionym czerwoną czapką Mikołaja. Niczym prezenter telewizyjny zapowiedział występ. Pojazd był ozdobiony świątecznymi żaróweczkami, wieloprowadnicową wyrzutnią typu HIMARS. Punktualnie o północy poszła salwa. Ogień, świst i warkocze dymu, a „prezenter” w czapeczce Mikołaja podniósł ręce, jakby chciał pokazać bicepsy. Efekt sylwestrowej salwy był straszliwy. Zginęło grubo ponad 400 Rosjan – mobików (świeżo zmobilizowanych) zgromadzonych w szkole z magazynem amunicji w piwnicach. Okazało się, że dowódca spędził wszystkich mobików z okolicy, nakazując im, żeby w budynku wysłuchali noworocznego przemówienia Władimira Władimirowicza Putina. No to wysłuchali. Do tej pory wyskrobują ich szczątki z gruzów.

Andrzej Rafał Potocki

Marzenie o wolności

Powstanie styczniowe było najdłużej trwającym polskim zrywem niepodległościowym, dokonany w imię idei Rzeczypospolitej Trojga Narodów – Polski, Litwy i Rusi, symbolizowanym przez trójdzielną tarczę herbową pieczęci powstania styczniowego przedstawiającą na górnych polach Orła i Pogoń, a na dole św. Michała, patrona Ukrainy. Idea walki o „wolność całość i niepodległość Ojczyzny naszej” nie stała w sprzeczności z poszanowaniem odrębności Królestwa Polskiego, Litwy (Wielkiego Księstwa Litewskiego składającego się z dzisiejszej Litwy i Białorusi) i Rusi (Ukrainy). Powstanie 1863 r. wyróżniało się licznym zaangażowaniem duchownych i manifestacją patriotyzmu ściśle połączoną z jednoznaczną deklaracją wiary katolickiej.

Bezpośrednią przyczyną wybuchu był narastający rosyjski terror i wcielanie do carskiej armii polskich obywateli. Nadzieję powodzenia planów insurekcyjnych niosło doświadczenie Włochów, dla których odrodzenia i zjednoczenia ówczesna koniunktura polityczna Europy okazała się sprzyjająca. Powstanie zostało ogłoszone w Warszawie manifestem z 22 stycznia 1863 r. wydanym przez Tymczasowy Rząd Narodowy. Jego postulatami było bezwarunkowe uwłaszczenie chłopów oraz walka z Rosją o niepodległość, demokratyczną Polskę w granicach przedrozbiorowych. 1 lutego 1863 r. powstanie wybuchło w byłym Wielkim Księstwie Litewskim. Już 8 lutego Rosja i Prusy zawarły konwencję o wzajemnej pomocy w zwalczaniu polskich powstańców. W kwietniu i maju powstanie sięgnęło okolic Dyneburga i Witebska oraz guberni kijowskiej i wołyńskiej. Tym samym objęło swoim zasięgiem Królestwo Polskie oraz ziemie zabrane – Litwę, Białoruś i część Ukrainy. Trzeba podkreślić, że od sierpnia 1862 r., obok Komitetu Centralnego Narodowego w Warszawie, w Kijowie istniał Komitet Prowincjonalny na Rusi, organizujący powstanie na prawobrzeżnej Ukrainie, w województwach kijowskim, podolskim i wołyńskim. W maju 1863 r. przekształcił się on w Rząd Tymczasowy na Rusi. Latem 1862 r. utworzono w Wilnie Komitet Prowincjonalny Litewski z Konstantym Kalinowskim na czele.

10 lat temu, w 2013 r., na Białorusi odbyły się oficjalne obchody wybuchu powstania styczniowego, a także konferencja jemu poświęcona. Językami roboczymi był polski, rosyjski, białoruski i ukraiński. W 2017 r. w Wilnie po obsunięciu się zbocza Góry Giedymina odkryto szczątki bohaterów powstania styczniowego. Wśród zidentyfikowanych ofiar rosyjskiego mordu rozpoznano Wincentego Konstantego Kalinowskiego, który przez historyków jest uważany za najważniejszą postać powstania na Litwie, a przez środowiska niepodległościowe na Białorusi jest czczony jako bohater narodowy. Drugim odznaczonym w Wilnie bohaterem był gen. Zygmunt Sierakowski, rozpoznany dzięki obrączce z wygrawerowaną datą ślubu i imionami małżonków. Polski szlachcic, władający sześcioma językami, żołnierz karnych batalionów armii carskiej i organizator powstania na Żmudzi, którego oddział liczył 2,5 tys. ochot-



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

ników, został stracony przez powieszenie w Wilnie (27 czerwca 1863 r.).

Pogrzeb bohaterów powstania styczniowego w 2019 r., w którym uczestniczyli prezydenci Polski i Litwy oraz wicepremier Białorusi, był wydarzeniem przypominającym o wiążącym nasze narody wspólnym dziedzictwie historycznym. Powstanie styczniowe było dowodem na głęboko zakorzenione poczucie podmiotowości narodów ciemionych przez Rosję. W szeregach powstańców znalazło się 100 tys. osób. Stoczono ponad 1,2 tys. bitew i potyczek. Zginęło 20 tys. osób, a ok. 40 tys. zostało zesłanych w głąb Rosji. 10 tys. osób zmuszono do emigracji. Fala represji po powstaniu nie zgasła jednak niepodległościowego ducha. Polacy zabrali się za pracę u podstaw, a przede wszystkim ruszyli z kagankiem oświaty do chłopstwa. Po odzyskaniu niepodległości nowe pokolenie patriotów zasililo szeregi wojska polskiego i czynnie angażowało się w dobro wspólne Rzeczypospolitej. Marszałek Józef Piłsudski, nazywając siebie pogrobowcem powstania, wyrażał przekonanie, że „na progu nowoczesnego życia społecznego stoją wydarzenia 1863 r.”

REKLAMA

Kalejdoskop historyczny

Marcin Bąk
poniedziałek, godz. 20.00

Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

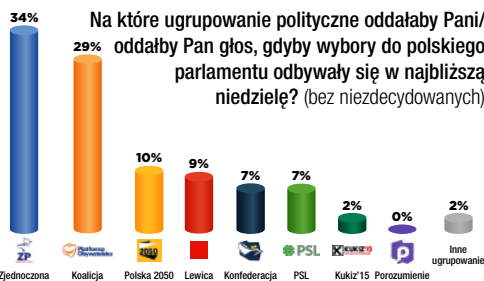
3/0123/F

Rysują Mr Donk & dr Fish

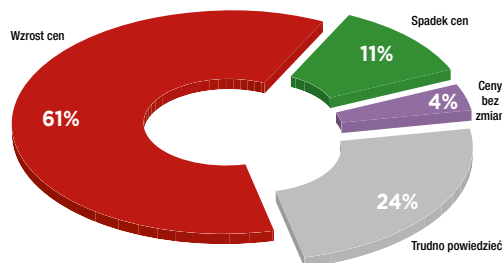


pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

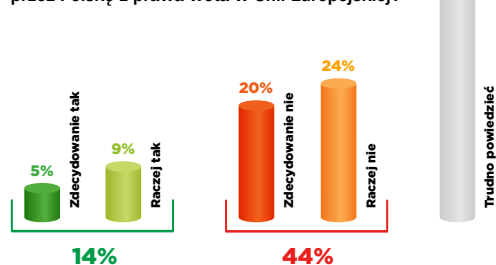
nasz sondaż



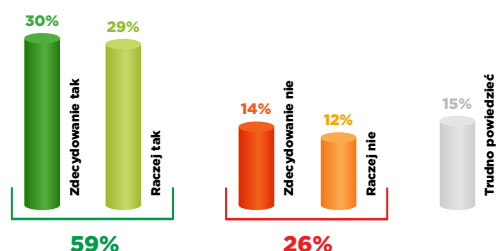
Jaki wpływ na ceny produktów i usług miałyby według Pani/Pana rezygnacja ze złotego i wprowadzenie Euro w Polsce?



Czy popartłaby Pani/popartłby Pan rezygnację przez Polskę z prawa weta w Unii Europejskiej?



Czy w tym roku zamierza Pani/Pan przekazać pieniądze na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy Jurka Owsiaaka?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1056.

Zakres czasowy badania 6-9 stycznia 2023 r.

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.

PREZES: ROMUALD ORZEŁ

UL. LEGIONÓW 126-128,

81-472 GDYNIA

REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTYBUCJA: MARIOLA BARCOWSKA,

MARIOLA.BARCOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:

MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),

ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,

LIDIA SŁOWIKOWSKA-SŁOMIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA

PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN

FOTOEDYCJA: ANNA ŁABECKA, ANIA ŁABECKA@FRATRIA.PL,

ÓBRÓBKĄ ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:

TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32

PRENUMERATA@FRATRIA.PL

REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE

WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:

91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,

W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO

WYSŁĘKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:

ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA

E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE

WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,

TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWITLIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:

PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ

Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:

22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE

W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:

KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:

REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL

MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA

I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.

WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JEZYKI OBCE).

REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.

OŚWIADCZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU

POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.

BEZUMOWNĄ SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH

PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST

ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOTOGRAFACJA RUCH

PBC

WOLNY DUCH

FOT. NA OKŁADCE: A. WIKTOR Y. L. DŁUDEK, J. A. MACIEJEWSKI, W. OLSZAK, EASTNEWS, J. DOMINIŃSKI

REPORTER, F. RENTAN, TRAVEL, M. ANIA, A. ALEKSANDR, A. ANTONOWICH, SHUTTERSTOCK, MAT. PRASOWE

Przed dziesięcioma laty, 17 stycznia 2013 r. odeszła
opatrzona sakramentami świętymi

ŚP

Jadwiga Kaczyńska

moja i mojego Brata Lecha Mama.
31 grudnia 2022 r. minęła 96. rocznica Jej urodzin.

Była mądrą, dobrą Kobiętą, troskliwą Matką, niosła ze sobą i przekazywała innym piękną tradycję polskiej inteligencji, patriotyzmu, uczciwości, zaangażowania w sprawy innych, otwartości wobec ludzi bez względu na ich życiową pozycję, głębokiego przywiązania do rodziny i Kościoła.

Była dla swoich najbliższych, dla mojego Brata i dla mnie, nauczycielem i podporą. Pozostała nią mimo bardzo ciężkiej choroby także w ostatnim okresie życia, po smoleńskiej tragedii. Pozostawiła po sobie najlepszą pamięć i niemożliwą do zapelnienia pustkę.

Msza Święta w dziesiątą rocznicę Jej śmierci zostanie odprawiona
17 stycznia 2023 r. o godz. 19:00 w Bazylice Świętego Krzyża w Warszawie.

Syn Jarosław

Wtedy się to wszystko zaczęło

Jak wiadomo, historię piszą zwycięzcy, dlatego nie wiadomo jeszcze, kogo przyszłe pokolenia obwiniają za brukselsko-polski kryzys i ile czasu on potrwa. Smutną konstatacją całego tego ponurego serialu jest to, że wciąż duże możliwości ma w Polsce tzw. partia zewnętrznazna, czyli obóz, który od dekad zmienia marynarki i partyjne emblematy, ale pozostaje wierny zagranicy, nawet kosztem własnego kraju.

Nie jest jednak tak, że nic się nie zmienia, bo im dalej od PRL, tym bardziej kolejne pokolenia odcinają się „pedagogiki wstydu” i odrzucają kompleksy, które wpajano przez pokolenia. Przeważająca większość młodych Polaków czuje się tak samo Europejczykami jak ich rówieśnicy w innych krajach na naszym kontynencie. Świat polityki, a szczególnie jego opozycyjna część, jest w tej sferze jeszcze mocno do tyłu, ale to prędzej czy później się zmieni, bo prostu starsi politycy, w których krwi płyną te kompleksy wobec zagranicy, będą w naturalny sposób z polityki odchodzić. I nie chodzi tutaj nawet o wiek, bo np. Jarosław Kaczyński, który do młodych polityków nie należy, nigdy nie przejawiał jakiegś potrzeby przypodobania się światu zewnętrznemu, był swoim poglą-

dom wierny i ta wytrwałość przyniosła skutek nie tylko w postaci zdobycia władzy, ale zmiany tożsamościowej w Polsce, którą – jeśli chodzi o sposób patrzenia na świat – ciężko będzie cofnąć.

To, co jest wciąż bagażem naszej wspólnoty, to uznanie przez część uczestników debaty publicznej wśród polityków, dziennikarzy i ekspertów, że nasze krajowe konflikty należy rozwiązywać z zagranicą. Trochę to wynika z kompleksów, ale też z bezradności. Gdy w 2016 r. Donald Tusk jako przewodniczący Rady Europejskiej w trakcie debaty Parlamentu Europejskiej w Strasburgu ogłosił, że w pełni popiera decyzję KE o wszczęciu procedury przeciwko Polsce, być może był przekonany, że to tylko środek do celu, którym byłby – już za moment, już za chwilę – powrót do władzy w naszym kraju. Okazało się, że tak jawne poparcie antypolskich działań odebrano jako zielone światło do dalszej eskalacji, która będzie miała poparcie opozycji. I tego historia Tusku nie zapomni.

Autor jest szefem portalu tvp.info



**Samuel
Pereira**

Plan PO to wielka

W istocie na stole leżą dwie propozycje: nasza i Tuska

*Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z **Jackiem Sasinem**,
wicepremierem, ministrem aktywów państwowych, politykiem Prawa i Sprawiedliwości*

Rozmawiamy u progu roku, w którym rozstrzygnie się, kto będzie rządził Polską. Jaki macie plan na najbliższe miesiące?

Jacek Sasin: Plan jest prosty: wygrać wybory i rządzić dalej z korzyścią dla wszystkich Polaków i państwa polskiego.

To cel. Pytamy, jak konkretnie zamierzacie to zrobić?

Wszystkiego powiedzieć oczywiście nie mogę, bo przecież i nasi konkurenci czytają tygodnik „Sieci”. Ale te podstawowe punkty wyglądają następująco. Po pierwsze, pełna mobilizacja, wszystkie ręce na pokład, bezpośrednie dotarcie do Polaków. Po drugie, wyciszenie sporów wewnętrznych, zamknięcie tematów, które dzielą, skupienie się na tych najważniejszych elementach łączących nasz obóz i na pozytywnym programie. Podkreślanie naszej wiarygodności. Po trzecie wreszcie – pokazanie prawdziwego oblicza opozycji. Ona się bardzo łatwo przebiera, zakłada różne maski, udaje kogoś innego, próbuje znowu

nabrać Polaków. Naszym zadaniem jest więc ostrzeżenie wyborców przed tym, co naprawdę oznaczałby powrót tych ludzi do władzy.

Sztab wyborczy już pracuje?

Tak. Składa się z najwyższej klasy profesjonalistów, nie tylko ludzi sprawdzonych w poprzednich kampaniach, lecz także nowych. Mamy świetnego rzecznika partii Rafała Bochenka, który jest pełen energii, a jednocześnie ma doświadczenie, bo był już rzecznikiem rządu. Zaplecze na okres kampanii jest więc już niemal gotowe. Zadanie też jest jasne: przebić się przez te wszystkie bańki medialne i manipulacje rozpowszechniane przez opozycję i opozycyjne media, pokazać atrakcyjność programu, a także skuteczność. W skrócie: wzmocnić poparcie.

Bez zmiany twarzy? Rekonstrukcji?

Tu dotykamy wątku, którego wielu analityków czy naszych konkurentów nie rozumie. Zapominają, że wybory to nie jest konkurs piękności. Prawo

i Sprawiedliwość na co dzień może nie jest formacją celebrytów, nie wygralibyśmy pewnie talent show. Publice się nie podlizujemy ani nie robimy salt. Wyborcy wiedzą jednak, że dotrzemy słowa, robimy konieczną robotę. Bierzymy się za bary z problemami i jesteśmy w tym skuteczni. I to na co dzień w tym tak medialnym świecie działa czasem przeciw nam. Gdy jednak przychodzi do podjęcia decyzji o przyszłości własnej i kraju, to nasza solidna, umiarkowana propozycja, bezpieczeństwo i rozwój, które oferujemy, okazują się bardziej atrakcyjne.

Tym razem naprzeciwko stoi Donald Tusk. To coś zmienia?

To wyostreza wybór, który stoi przed Polakami. W istocie na stole leżą dwie propozycje: nasza i Tuska. Skuteczność rządów po 2015 r. i to, co było przedtem, plus rozpętanie wojny kulturowej i groźby, że wsadzą wszystkich do więzienia oraz – jak mówił pan Siemoniak – że wyślą silnych ludzi i wyrzucą tych, co nie od nich. Lu-



grabież

dzie rozumieją, jak wielkim ryzykiem byłby taki wybór. W istocie to skok na główkę do pustego basenu. Ostatnio zresztą ten brak wody w tym basenie programowym zaczyna być coraz bardziej widoczny dla wszystkich.

Co ma pan premier na myśli?

Wypowiedzi pana Bogusława Grabowskiego, ekonomisty – eksperta mocno kojarzonego z Platformą Obywatelską. Jasno wyłożył prawdziwy, szokujący program tej ekipy: wyprzedanie i oddanie w obce ręce wszystkiego, co dziś nasze wspólne, czyli państwowe. Oddanie nie tylko spółek z udziałem skarbu państwa, co już byłoby tragedią, lecz także lotnisk, autostrad, kolei, portów... Infrastruktury!

Przekonują, że w USA też są prywatne i dobrze to działa.

W USA sytuacja wygląda inaczej niż u nas. Tam dostępny jest własny, narodowy, wielki kapitał. Stany Zjednoczone nie leżą między Niemcami a Rosją. W naszych warunkach to oznacza po prostu wyzbycie się wszelkiego wpływu na własny kraj, sprowadzenie Polaków do roli nędzarzy. Nie ma u nas kapitału zdolnego przejąć nawet części z kilkuset spółek skarbu państwa, w tym kilkudziesięciu dużych,

strategicznych firm. Nie mówiąc o infrastrukturze wartą biliony złotych. Ten kapitał przyszedłby więc z Niemiec lub Rosji. Byłaby to kolejna, po latach 90. i po latach 2007–2015, wyprzedaż majątku narodowego, wielka grabież. To jasny plan, mówił też o tym swego czasu Jan Vincent-Rostowski.

Stosunkowo niedawno, w maju 2021 r., stwierdził: „Sądzę, że jak upadnie PiS, to trzeba będzie wyciągnąć wnioski z tego, co stało się w spółkach skarbu państwa, i je sprywatyzować”.

To pokazuje, że słowa pana Grabowskiego nie są żadnym wybrykiem eksperta, to prawdziwy program opozycji. Państwo ma stać się nocnym stróżem, a i to tylko w ograniczonym zakresie, bo wojsko też likwidowali, a mafie paliwowe, VAT-owskie i inne okradają nas na setki miliardów złotych. Plan PO to wielka grabież Polski.

To będzie w kampanii ważny wątek?

Tak uważam. Tu nie odpuszcimy. Polacy mają prawo wiedzieć, co będą oznaczały ponowne rządy Donalda Tuska. Plan opozycji oznacza dla Polaków nędzę i pozbawienie majątku narodowego.

Opozycja próbuje wywołać w Polakach zawróż, bo rzekomo w spółkach pełno PiS-owskich koleś, którzy zarabiają miliony.

Uporządkujmy to. Po pierwsze, kto ma realizować w spółkach skarbu państwa politykę państwa? Ci, którzy się z nią nie zgadzają? Może panowie Petru, Rostowski, Grabowski? Zwolennicy wyprzedaży? Przecież to absurd. Po drugie, najlepszym miernikiem skuteczności niech będą działania w czasie pandemii czy teraz, w czasie tak bezprecedensowego kryzysu. No i wyniki. Przecież to sama opozycja i jej media zarzucają nam, że zyski są za wysokie! To jak to w końcu jest – umiemy zarządzać czy nie umiemy?

A zarobki?

Są zdecydowanie mniejsze niż w sektorze prywatnym przy podobnym poziomie odpowiedzialności. I radykalnie mniejsze, niż to było w czasach rządów PO-PSL. Przerwaliśmy wszystkie bulwersujące kominy zarobków, nadużycia czy sytuacje wątpliwe. Mimo inflacji nie waloryzujemy wynagrodzeń. Co mamy zrobić więcej? Kiedy ujawnia się jakaś patologia, dwory czy marnowanie pieniędzy, natychmiast reagujemy – i to zdecydowanie. Wszyscy menedżerowie

pracujący w spółkach skarbu państwa wiedzą, że żadnych świętych krów nie ma i nie będzie, że każdy jest zobowiązany do pokory i ciężkiej pracy. Najczęściej to rozumieją, bo to doskonali fachowcy.

Tusk ostatnio dołożył kolejny zarzut: oszustwo, bo doszedł 23-proc. podatek, a cena nie wzrosła. Czyli wcześniej placiliśmy za dużo.

To kolejny absurd. A sprawa jest prosta: opozycja miała gotowy plan ataku, że ceny paliw wzrosły. Zepsuliśmy im go i stąd taka wściekłość. Im chodzi wyłącznie o tematy do medialnych ataków. Dobro Polaków jest dla nich na ostatnim miejscu. Podobnie jest w sprawie fuzji Orlenu z Lotosem.

Padają mocne słowa o wielkiej aferze, o sprzedaży Lotosu za bezcen.

Nie Lotosu, tylko 30 proc. Rafinerii Gdańskiej, co Komisja Europejska postawiła jako warunek fuzji. Zarzut ten stawiają ludzie, którzy chcieli sprzedać nie 30 proc. rafinerii, ale całość Lotosu, i nie Saudi Aramco, który jest poważnym partnerem zwiększającym bezpieczeństwo energetyczne Polski, ale Rosjanom. To pokazuje całkowitą obłudę opozycji. Proszę wszystkich, by nie dali się nabrać na tę propagandę. Fuzja Orlenu z Lotosem i ogólnie budowa koncernu multienerygetycznego znacząco zwiększa bezpieczeństwo energetyczne Polski.

O to znowu wojny idą.

W dzisiejszym świecie dostęp do surowców energetycznych to główny ból głowy zarządzających gospodarkami. Duży koncern pozwala amortyzować ryzyka. Rok temu przeżywaliśmy skokowy, chwilami 1000-proc. wzrost cen gazu, co w kilkanaście dni postawiło kwitnące PGNiG na skraj bankructwa. Bez interwencji ze strony państwa skończyłoby się to katastrofą. Obecnie, gdy ten operator jest częścią Grupy Orlen, takie ryzyka są mniejsze. Dywersyfikacja działalności pozwala je ograniczyć – straty ponoszone w jednym segmencie można odrobić w innych.

Jak pan ocenia prezesa PKN Orlen Daniela Obajtka, jednego z najbrutalniej atakowanych ludzi w Polsce?

Bardzo go cenię. Od ponad trzech lat pracujemy z sobą bezpośrednio. To prawda, narzuca sobie i współpracownikom ogromne tempo pracy, ale ma ogromną determinację osiągania niezwykle ambitnych celów. Zresztą mam jako minister aktywów państwowych szczęście do takich ludzi. Podobnie skutecznym menedżerem jest prezes

Całkiem niedawno sąd skazał prezesa naszej partii Jarosława Kaczyńskiego *de facto* na finansową ruinę. A oni dalej plotą te bzdury o rzekomej dyktaturze i nawet im przez myśl nie przejdzie, że granica śmiechu została przekroczona

Polskiej Grupy Energetycznej Wojciech Dąbrowski. Jego praca skupia – pewnie na szczęście dla niego – mniej uwagi mediów, ale wyniki ma również rewelacyjne. Ostatnim przykładem jest choćby odzyskanie PKP Energetyki.

Opozycja gra turbopopulistycznie, odwołuje się do skutków inflacji, wojny. Odwołuje się do zrozumiałej w tej sytuacji niepewności, zmęczenia, frustracji. Umiecie na to odpowiedzieć?

To, że skutki barbarzyńskiej napaści Rosji na Ukrainę dotknęły również Polaków, jest chyba oczywiste. Nikt w rządzie nie zaprzecza, że ceny wzrosły, pojawiła się niepewność, kłopoty w rynku energii. Na to nałożyły się skutki pandemii. A jednak – nawet przy tak gigantycznych kryzysach, które przyszły z zewnątrz – porównanie dzisiejszej jakości życia Polaków z tym, co było przed naszymi rządami,

wypada zdecydowanie na plus. Rekordowo niskie bezrobocie, zdecydowanie wyższe emerytury, wsparcie dla rodzin, radykalnie wyższa płaca minimalna, inwestycje także w regionach oddalonych od Warszawy, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach. Ta pozytywna zmiana jest ogromna. Przekierowaliśmy tam wielki strumień pieniędzy.

Czy rząd da radę utrzymać wsparcie trzymające w ryzach ceny energii?

Chyba widać, że jesteśmy tu zdecydowani, choć są to kolejne dziesiątki miliardów złotych. Ale ten wysiłek jest konieczny. Gdy mówimy o podwyżkach gazu czy prądu, możemy z dumą powiedzieć, że mimo ogromnego wzrostu cen surowców koszty odczuwane przez obywateli są minimalne. To jeden z najhojniejszych programów wsparcia w obszarze energetyki w Europie. To pomoc dla indywidualnych odbiorców, rodzin, a także przedsiębiorców.

No i węgiel. Gdy rozmawialiśmy w sierpniu ub.r. i pan zapewniał, że węgiel dotrze, mało kto wierzył.

A dziś widać już, że wspólnym wysiłkiem bardzo wielu osób oraz właśnie spółek skarbu państwa się udało. To była gigantyczna operacja, wymagała pokonania wielu problemów, od pozyskania surowca, udrożnienia portów, przez sortowanie, po dystrybucję. W efekcie jednak węgiel jest w realnej cenie 1 tys. zł dla ludzi. W składach komercyjnych był – przypominać – po 4 tys. zł.

Liczycie na wdzięczność wyborców?

Liczymy na wnioski wyciągnięte przez mądrych Polaków. Kiedy słucham opozycji czy opozycyjnych mediów, często mam wrażenie, że oni mają ludzi za idiotów. Jakby uznali, że mogą Polakom wszystko wmówić i sprzedać każdą tandetę. Nie tylko zresztą w wymiarze gospodarczym. Całkiem niedawno sąd skazał prezesa naszej partii Jarosława Kaczyńskiego *de facto* na finansową ruinę. A oni dalej plotą te bzdury o rzekomej dyktaturze i nawet im przez myśl nie przejdzie, że granica śmiechu została przekroczona.

Opozycja i jej media rysują zupełnie inny obraz. Wszystko podobno rozstrzygnięte, wystarczy podzielić stanowiska. Ostrząż więc noże i siedzą na brzegu rzeki w oczekiwaniu, aż trup Prawa i Sprawiedliwości sam spłynie.

To prawda, siedzą i nic nie robią, czekając, aż władza sama im wpadnie. I mogą tak posiedzieć jeszcze długo. Poprosiłem swoich współpracowników o analizę sondaży na kilka miesięcy przed wyborami parlamentarnymi w 2015 i 2019 r. Żadne nie dawały nam pewności zwycięstwa, a wiele skazywało na klęskę. Teraz wygląda to tak samo.

Ile trzeba w pana ocenie, by samodzielnie rządzić?

Właściwa odpowiedź: trzeba dać z siebie wszystko i zabiegać o każdy głos. Przypomnę, że w 2015 r. wygraliśmy, otrzymując 37,5 proc. głosów. To był cud, rozkład głosów, który raczej się nie powtórzy. Zresztą nie zamierzamy na niego liczyć, za to zrobić wszystko, by uzyskać trzecią kadencję. Wszystkie racjonalne argumenty są po naszej stronie. Gdy spojrzymy na to, gdzie znajdowała się Polska, kiedy obejmowaliśmy władzę, jaka była sytuacja Polaków, perspektywy dla młodych, jak rząd reagował na kryzysy, to widać, że nasze rządy są dobre dla kraju. Do tego dochodzi potężne zagrożenie ze Wschodu.

Ono nie skończy się wraz z końcem wojny na Ukrainie czy zamrożeniem konfliktu?

Musimy mieć świadomość, że objawiło nam się w pełni zagrożenie, z którym będziemy musieli sobie radzić nawet przez dekady. Z dużym zdumieniem czytam czasem, że Rosja praktycznie już przegrała. To nieprawda. Poniosła porażki, ale nadal jest groźna. Dzięki bohaterkiej postawie Ukraińców i pomocy także z Polski nie było blitzkriegu, ale Putin nie zrezygnował z planu zagarnięcia Ukrainy. W Rosji trwa mobilizacja. Także skutki gospodarcze wojny mogą się objawić z nową siłą. Polacy muszą rozumieć powagę sytuacji i odpowiedzieć sobie na kluczowe pytanie.

Jak ono brzmi?

Kto w obliczu tych niebezpieczeństw skuteczniej zabezpieczy naszą ojczyznę i Polaków? Czy opozycja, która była admiratorem Putina, popełniła fundamentalne błędy w ocenie zagrożenia, wyszydzała ostrzeżenia śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, jest w stanie to zrobić?

Pan był wtedy wiceszefem Kancelarii Prezydenta.

Z tej racji byłem też świadkiem historycznego wystąpienia śp. prezydenta, który 1 września 2009 r. na Wester-

Przerwanie procesu zbrojeń byłoby zbrodnią na polskim bezpieczeństwie. Ceną może być narodowa tragedia

platte ostrzegał świat przed ryzykiem powrotu demonów XX w. Powiedział to w twarz kanclerz Angeli Merkel i Władimirowi Putinowi, bo rozumiał, jak niebezpieczny sojusz zawiazali. Musimy pamiętać o tym męstwie prezydenta. Gdy inni tchórzliwie udawali, że nie widzą zagrożeń, bo bali się latek rusofobów, on niewzruszenie stał na straży interesu narodowego Polski, prawdy, bezpieczeństwa całego regionu. Słusznie świat dziś przyznaje, że popełnił straszliwy błąd, lekceważąc te ostrzeżenia.

Dziś Tusk podaje do sądu Telewizję Polską za – jak to ujęto w pozwie – sugerowanie, że jego polityka jako premiera była prorosyjska, na kontrze do ostrzegającego przed tym kierunkiem śp. Lecha Kaczyńskiego. Jeśli za to mają skazywać, to nas też powinni. Wszyscy to przecież widzieliśmy.

Oni chyba wierzą, że wszystko można zapudrować, relatywizować, że przeszłość da się wygumkować. To próba oszukania Polaków, bez-

czelna i cyniczna, czego szczytem jest przypisywanie mojemu środowisku politycznemu, obozowi premiera Jarosława Kaczyńskiego, rzekomej prorosyjskości. Nam, którzy straciliśmy najbliższych w Smoleńsku, którzy przestrzegaliśmy przed Rosją wtedy, gdy Tuska ogłaszano człowiekiem Moskwy w Warszawie! Ale choć przeszłość jest ważna, to najważniejsza jest przyszłość. Z tamtych wydarzeń płynie bowiem w mojej ocenie ważny dla Polaków wniosek, kto jest w stanie zapewnić bezpieczeństwo w skrajnie trudnych czasach. Kto nie będzie związał armii i zapewni bezpieczeństwo.

Tusk związał, ale czy będzie znowu związał?

Czy to nie z jego szeroko pojętego zaplecza padają zapowiedzi wypowiedzenia z takim trudem budowanych kontraktów na uzbrojenie polskiej armii? Czy to nie oni, gdy ślemy pomoc na Ukrainę, mówią, że z pomocą warto poczekać na Niemcy? Przecież rząd Tuska likwidował jednostki wojskowe na wschodzie, zakładając najwyraźniej, że w przypadku ataku ze strony Rosji tereny do Wisły będą okupowane. Dziś wiemy, co to oznacza. Byłem w Buczy. To bogata podkijowska miejscowość. Każdy, kto uważa, że Polska nie musi się zbroić, albo jest przeciw temu, bo to może i jego kosztować, powinien tam pojechać. To ważna lekcja.

I jak powiedział prezes Jarosław Kaczyński, lepiej być zadłużonym niż okupowanym?

Otóż to, to też lekcja z polskiej historii, z okresu II RP i tego, co zdarzyło się po niemiecko-sowieckiej napaści. Nic nie ma wartości, żaden narodowy dorobek, gdy traci się niepodległość. Każdy Polak patrzący na Ukrainę rozumie dziś, że nasz wysiłek militarny, zbrojeniowy musi zakładać najgorsze scenariusze. Najlepszy scenariusz to Wojsko Polskie tak silne, że rosyjski agresor zastanowi się wielokrotnie, zanim nas zaatakuje. Przerwanie procesu zbrojeń byłoby zbrodnią na polskim bezpieczeństwie. Ceną może być narodowa tragedia.

Nasuwą się myśl, że ogromnie dużo będzie zależało od tych wyborów.

Nie mam żadnych wątpliwości, że będą to wybory najważniejsze po 1989 r. W 2023 r. zdecydujesz się wiele spraw fundamentalnych dla przyszłości Polski. Jesteśmy w momencie przełomowym, rozstrzygnie się los gospodarki Polski. Silna, konkurencyjna gospodarka z silnym komponentem polskiej własności, z wrażliwym społecznie państwem czy neoliberalna kolonia, gdzie głównym atutem są niskie płace pracowników? Zdecyduje się nasza zdolność do odparcia agresji rosyjskiej. Rozstrzygnie się też to, czy obronimy suwerenność przed tymi trendami na Zachodzie, które chcą budować niemieckie superpaństwo.

Niemieccy politycy znów kładą na stole propozycję rezygnacji z weta. Co by to oznaczało?

Że we wszystkich najważniejszych sprawach decydują o nas inni, przede wszystkim w Berlinie. Jeśli ktoś wierzy, że będą to robili w naszym interesie, to podziwiam naiwność. Chyba nawet Tusk w to nie wierzy. Miałem ostatnio okazję słuchać relacji z ważnych negocjacji w sprawach energetycznych w Brukseli, gdzie przewodniczący co chwilę ogłaszał przerwę, bo konsultował decyzje z Berlinem. Wydaje się, że nawet Francuzi zaczynają mieć tego dość. Jeśli do tego dołożymy walutę euro, której wprowadzenia opozycja też chce, to perspektywa staje się ponura. Musimy to powstrzymać. Polacy muszą to powstrzymać.

Już dziś Niemcy, przez Brukselę, wykręcają nam ręce, choćby w sprawie KPO. W Sejmie trwają prace nad nowelizacją ustaw sądowych, zgodnie z założeniami wynegocjowanymi z Brukselą. Czy pan premier ma tu jakiś dylemat?

Oczywiście, że mam dylemat. Z jednej strony mamy mglistą wizję, a nawet – powiedziałabym – uludę pozyskania pieniędzy z KPO. To ważne środki, warto zabiegów, szukania porozumienia. Ale jestem też przekonany, że my sobie bez tych pieniędzy poradzimy. To nie jest tak, że bez nich się coś zawali, rozsypie.

Pada tu argument, że to byłby – właściwie już jest – dobry sygnał dla rynków finansowych.

Oczywiście, że tak. Choć dzisiaj napięcie związane z wojną opada, sytuacja się ogólnie uspokaja. Najważniejsze obawy dotyczą trybu, w jakim Bruksela z nami rozmawia. Bezrefleksyjne, automatyczne przyjmowanie projektów w Sejmie, w tonie pewnego dyktatu, budzi jednak duże wątpliwości. Kolejny element to obawa, czy nie wywoła to anarchii w polskich sądach. Już dziś nie

Wybory to nie konkurs piękności. Nie wygralibyśmy pewnie talent show. Publice się nie podlizujemy. Wyborcy wiedzą jednak, że dotrzemy słowa, robimy konieczną robotę. Bierzemy się za bary z problemami i jesteśmy w tym skuteczni

jest tam najlepiej, ale jednak kwestionowanie statusu sędziego może przynieść zupełną anarchizację. Rozumiem tutaj obawy pana prezydenta, bo to może doprowadzić do kwestionowania konstytucyjnych uprawnień prezydenta. Dostrzegam więc tu różne konteksty.

Jak pan zagłosuje?

Z przekonaniem, że to próba zamknięcia tematu i że nie musi się udać, ale jak się nie uda, końca świata nie będzie. Plusem na pewno jest zdjęcie argumentu, że rzekomo to my blokujemy pieniądze. Jeśli nie uda się znaleźć kompromisu, jasne staną się też intencje.

Nie uważa pan, że bez KPO nie da się wygrać wyborów?

Nie należę do tych, którzy tak uważają. Jak również do tych, którzy sądzą, że dalej idące ustępstwa przekonają Brukselę. Oceniam, że zamysł tam jest polityczny:

obalić nasz rząd. I to decyduje. Zrobią wszystko, by pomóc opozycji. A konkretnie Donaldowi Tuskowi, który wesprze chociaż plan budowy superpaństwa niemieckiego. My w tym przeszkadzamy. Właściwie jeśli się przyjrzeć dokładnie, jesteśmy tu główną przeszkodą. Bez nas będą mieć autostradę.

Dlatego przysłali tu Tuska? Z takim zadaniem?

Odpowiem tak: on jest gwarantem realizacji niemieckiego planu. I oni to wiedzą. I nasz obóz też to wie, musi Polaków przed tym przestrzegać.

Ten obóz pójdzie do wyborów zjednoczony? Z rządem w tym kształcie?

Najważniejsze dla Polaków jest to, że naszym przywódcą jest prezes Jarosław Kaczyński i jego głównym celem jest teraz obrona Polski oraz wygranie wyborów tak, by móc rządzić trzecią kadencję. Poza liderem ten obóz ma wiele twarzy, gromadzi osoby o różnej wrażliwości. I to dobrze. Solidarna Polska też się mieści pod tym wielkim namiotem. A że czasem podkreślają różnice, to politycznie zrozumiałe. Podchodzę do tego ze spokojem.

Na koniec zapytamy o zmiany w Kodeksie wyborczym, zwiększającym poważnie liczbę komisji wyborczych na terenach wiejskich. Czy tu chodzi o jakiś zabieg mający zwiększyć poparcie dla Prawa i Sprawiedliwości?

Zamysł jest prosty i wynika z naszej zasadniczej linii w polityce wewnętrznej: stworzenia wszystkim takich samych szans. Dlaczego starsza osoba w mieście ma do lokalu wyborczego kilkaset metrów, a na wsi często wiele kilometrów? To nie jest w porządku, a rażąco niższa frekwencja na tych terenach jest tego dowodem. Na tej zmianie mogą zresztą zyskać różne partie. Powtarzam: Zjednoczona Prawica przystąpi do tych wyborów z pokorą, ale zmobilizowana i zdeteminowana jak nigdy. Wygramy uczciwie, przestrzegając wszelkich reguł demokracji. Do takiej samej postawy wzywam też naszych konkurentów.

PGE Polska Grupa Energetyczna powiększy się o PKP Energetyka



Wzmacniamy bezpieczeństwo
energetyczne Polski.





Najspokojniejszy rząd III RP

Opowieści opozycji o upadku rządu PiS czy tylko o jego permanentnym kryzysie to kompletna fikcja



STANISŁAW JANECKI

Opozycja w Polsce praktycznie codziennie ogłasza koniec Prawa i Sprawiedliwości oraz upadek rządu tej formacji. A spory toczone na politycznym zapleczu gabinetu przedstawia jak wojnę, która wkrótce przyniesie apokalipsę. Nigdy w III RP miało nie być tak dramatycznych okoliczności funkcjonowania rządów Beaty Szydło, a szczególnie Mateusza Morawieckiego.

Gdyby brnąć na poważnie byłego polityka PiS Michała Kamińskiego (w 2012 r. udzielił wywiadu swojemu koledze z TVN, Andrzejowi Morozowskiemu, i obaj nazwali to wydarzenie „końcem PiS”), to par-

tia Jarosława Kaczyńskiego nie powinna istnieć już od dekady. Musiałaby zatem zniknąć, zanim w 2015 r. doszła do władzy. A tymczasem rządzi już ósmy rok, a stworzona przez nią Zjednoczona Prawica (ZP) w 2019 r. pobiła rekord III RP, jeśli chodzi o poparcie dla jednego ugrupowania (43,59 proc., czyli ponad 8 mln głosów, przy najlepszym wyniku Platformy Obywatelskiej – 41,51 proc., czyli 6,7 mln głosów w wyborach z 2007 r.). Jako pierwsza i jedyna formacja po 1989 r. ma szansę rządzić trzecią kadencję z rządu.

Gdyby, tak jak chce obecna opozycja, wszystko to, co dzieje się w koalicyjnej ZP było niebywałą sensacją czy wręcz patologią, nie obroniono by nawet jednego wotum nieufności dla rządu czy poszczególnych ministrów, a obroniono wszystkie, w tym dwa dotyczące całego rządu (z kwietnia i grudnia 2017 r.).

Wszystko wskazuje na to, że rządy PiS (Zjednoczonej Prawicy) trwające

nieprzerwanie od 16 listopada 2015 r. to obiektywnie najspokojniejsza, najmniej zagrożona rozpadem i najmniej podatna na wstrząsy wskutek działań opozycji formacja u władzy po 1989 r. Skala problemów wewnątrz ZP oraz między rządami Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego a prezydentem Andrzejem Dudą jest nieporównywalna z tym, co było wcześniej. Za wyjątkiem prezydentury Bronisława Komorowskiego w latach 2010–2015, która nie miała żadnego własnego charakteru i najwyraźniej była przejściowa. Ta przejściowość była widoczna zarówno wtedy, gdy Bronisław Komorowski sprawował jako marszałek Sejmu funkcję głowy państwa, jak i po jego wyborze na prezydenta (w drugiej turze) 4 lipca 2010 r.

WSTRZĄSY I KRYZYSY

Prezydent Lech Wałęsa ingerował we wszystkie rządy za swojej prezydentury

(Jana Krzysztofa Bieleckiego, Hanny Suchockiej, Waldemara Pawlaka, Józefa Oleksego), a z rządem Jana Olszewskiego prowadził regularną wojnę, doprowadzając do jego obalenia („nocna zmiana” 4 czerwca 1992 r.). Uzurpował sobie nawet prawo pełnej kontroli nad MSZ, MON i MSW, naciągając ustawę konstytucyjną z 17 października 1992 r. Aleksander Kwaśniewski obalił rząd Leszka Millera (2 maja 2004 r.) i powołał mniejszościowy gabinet Marka Belki. Na tym tle relacje rządów Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego z prezydentem Andrzejem Dudą wydają się wyjątkowo spokojne, a głowa państwa wcale nie podporządkowuje się polityce rządu i partii rządzącej, jak opowiada o tym opozycja.

Pierwsze rządy III RP były albo nie trwałe i zbudowane na egzotycznych i efemerycznych koalicjach, albo targane wewnętrznymi konfliktami, jak gabinety Tadeusza Mazowieckiego, Jana Krzysztofa Bieleckiego, mniejszościowy od początku rząd Jana Olszewskiego, oparty o siedmiopartyjny układ, chwiejny rząd Hanny Suchockiej czy rozbijane od wewnątrz gabinety Waldemara Pawlaka, Józefa Oleksego, Włodzimierza Cimoszewicza, Jerzego Buzka, Donalda Tuska i Ewy Kopacz.

To, co się obecnie dzieje w koalicji rządzącej, to nie żadna patologia ani sensacja, tylko normalność wynikająca z koalicyjnego charakteru gabinetu. Wcześniejsze koalicyjne rządy toczyły zimne i gorące wojny wewnętrzne, najczęściej działał się to jednak pod dywanem. Ale skutki tych wojen były widoczne nawet w ważnych momentach historycznych. Choćby 1 maja 2004 r., gdy w Dublinie Polska stawała się członkiem Unii Europejskiej. Szefowie państw, zaproszeni goście oraz liczni obserwatorzy i przedstawiciele mediów mogli się przyglądać żenującej rywalizacji między prezydentem Kwaśniewskim a premierem Millerem o to, kto ma wciągać polską flagę na maszt (ostatecznie wciągali ją obaj).

Wskutek konfliktów wewnętrznych 6 czerwca 2000 r. Unia Wolności opuściła koalicję z Akcją Wyborczą Solidarności i przez kilkanaście miesięcy rząd Jerzego Buzka istniał jako mniejszościowy. 3 marca 2003 r. z rządu Leszka Millera (SLD-PSL) „za wywoływanie konfliktów” zostali odwołani ministrowie z Pol-

skiego Stronnictwa Ludowego i gabinet też stał się mniejszościowy. Mniejszościowy od początku był pierwszy rząd Marka Belki (SLD-UP) powołany na życzenie Aleksandra Kwaśniewskiego 2 maja 2004 r. Po decyzji Sejmu z 5 maja 2005 r. o nieskracaniu kadencji następnego dnia premier Marek Belka wraz z rządem podał się do dymisji, jednak prezydent Kwaśniewski nie przyjął jej. W sierpniu 2005 r., w związku z odejściem premiera Marka Belki z SLD i jego wsparciem dla Partii Demokratycznej, sojusz wycofał poparcie dla „swojego” rządu, a ten 19 października 2005 r. podał się do dymisji.

Platforma Obywatelska na wyraźne życzenie, a nawet wedle instrukcji przewodniczącego Donalda Tuska (co ujawnił Jan Rokita) już na etapie tworzenia koalicji z Prawem i Sprawiedliwością jeszcze przed wyborami w 2005 r. robiła wszystko, żeby nie doszło do wspólnego rządu. Żeby partii Jarosława Kaczyńskiego pozostała tylko możliwość rządzenia z Samoobroną i Ligą Polskich Rodzin, a to miało oznaczać szybkie kolejne wybory. *De facto* nie były wcale tak szybkie, gdyż nastąpiły dopiero po dwóch latach rządów i po ewidentnej dywersji mniejszych uczestników rządzącej koalicji.

DRAMAT NA ZEWNĄTRZ, SPOKÓJ WENWĄTRZ

Rządy PO-PSL w latach 2007–2015 przetrwały tylko dlatego, że Donald Tusk bezwzględnie rozprawiał się z przeciwnikami we własnej partii (Andrzejem Olechowskim, Maciejem Płażyńskim, Zytą Gilowską, Pawłem Piskorskim, Janem Rokitą), a koalicjanta z PSL zastraszał bądź starał się wpływać na kształt władz (np. wtedy, gdy Janusz Piechociński zastąpił Waldemara Pawlaka na funkcji prezesa stronnictwa). Przed 2015 r. wcale nie było spokojnych rządów Donalda Tuska i przez rok Ewy Kopacz. Nawet wtedy te gabinety nie były w stanie podejmować żadnych istotnych decyzji. Układ z PSL trwał właściwie tylko dlatego, że rząd miał do zrealizowania przygotowanie Polski do mistrzostw Europy (wspólnie z Ukrainą) w piłce nożnej. To było jedyne spoivo dwóch gabinetów Donalda Tuska, a po mistrzostwach zaczął się już „zjazd” rządzącego układu, który nie miał

żadnego istotnego celu do zrealizowania. Z kolei gabinet Ewy Kopacz w ostatnim roku rządów PO-PSL był kompletną prowizorką i próbą zarządzania tym, co zostało po „ucieczce” premiera Donalda Tuska do Brukseli, żeby tam objąć załatwioną mu przez ówczesną kanclerz Niemiec Angelę Merkel funkcję przewodniczącego Rady Europejskiej. I przez ten ostatni rok rządów PO-PSL wszystko się waliło i paliło, a na zapleczu rządu walczyły z sobą przynajmniej trzy frakcje w Platformie Obywatelskiej. Od momentu zagwarantowania sobie przez Donalda Tuska posady w Brukseli koalicja PO-PSL rządziła już tylko w ten sposób, żeby przetrwać do wyborów, nie podejmując żadnych istotnych czy choćby ryzykownych decyzji. Była to więc polityczna vegetacja, odbierająca Polsce szansę rozwoju.

Kryzysy wywoływane w ZP przez Jarosława Gowina w latach 2019–2021, skądinąd do 9 września 2013 r. polityka PO i uczestnika wewnętrznych wojen w tej partii, wydają się drobiazgiem wobec tego, co działo się we wcześniejszych koalicjach rządzących. Tym bardziej że spory Gowina z partią Jarosława Kaczyńskiego toczyły się przy odsłoniętej kurtynie i nigdy faktycznie nie było groźby rozpadu koalicji rządzącej. Gdy nie dało się już z Gowinem współpracować, większa część posłów „jego” Porozumienia pozostała w koalicji, a potem płynnie ta formacja została zastąpiona przez Partię Republikańską Adama Bielana.

Stabilność rządów ZP, szczególnie od 2020 r., jest tym bardziej godna podkreślenia, że żaden wcześniejszy gabinet nie funkcjonował w czasie pandemii, zapobiegania jej skutkom (kosztowało to ogromną sumę 240 mld zł) oraz ich pokonywania. Żaden wcześniejszy rząd nie działał w warunkach wojny u polskich granic (pomoc Ukrainie i Ukraincom w Polsce sięgnęła 40 mld zł na koniec 2022 r.). Żaden wcześniejszy rząd nie działał w czasie inflacji (sięgającej 18 proc.) i spowolnienia gospodarczego będących skutkami wojny i polityki Rosji Putina. Nawet w takich dramatycznych warunkach obecny rząd i jego polityczne zaplecze działają dużo spokojniej i zgodniej, niż funkcjonowały wcześniejsze gabinety, niemierzące się z wojną tuż za naszą granicą i zdrowotną apokalipsą. ▀

Jestem wojownikiem

O starciach z politykami na antenie i sejmowych korytarzach, przydatności sztuk walki w pracy w newsach oraz szczuciu przez kolegów dziennikarzy z reporterem sejmowym TVP **Miłoszem Kłeczkiem** rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło

Znów dużo się o tobie mówi. A to z powodu senatora Jacka Burego z Polski 2050, który w twoim programie obraził cię, rozkwasił na stole ogórka i wyszedł ze studia. Żałujesz, że tak się skończyło, czy jest to dla ciebie powód do jakiejś satysfakcji?

Miłosz Kłeczko: Satysfakcji nie ma. Senator Bury jest postacią niestabilną. Nigdy nie wiemy, czym nas zaskoczy. To, co się stało ostatnio, to w mojej ocenie echo programu „Strefa starcia” z listopada. Pytałem go wówczas o importowane przez jego firmę rosyjskie ogórki. To było dla niego bardzo niewygodne. Przeprosił za ten biznes, powiedział, ile na nim zarobił, ale mina mu mocno zrzedła. Podejrzewam, że czekał na moment, w którym mógłby mi się w jakiś sposób odgryźć.

Skąd taka agresja?

To była naturalna konsekwencja tego, co od dłuższego czasu widzimy u części polskiej klasy politycznej, czyli postępującej prymitywizacji. Jeśli jest pewna pustka programowa, czymś trzeba ją zapłacić i tu pojawia się agresja. Mamy więc ataki personalne, przemoc werbalną i niewerbalną. Liderzy poszczególnych partii wręcz dają do tego zielone światło.

Coś zwiastowało ten happening? Senator zachowywał się przed programem inaczej niż zwykle?

Nic na to nie wskazywało. To był dzień jak co dzień. Podejrzewam, że pan senator nie chciał zakończyć programu w taki sposób, ale nie wytrzymał, gdy wróciłem do kwestii jego biznesu. Od miesiąca trwa brutalna inwazja Rosji, tyle tysięcy

ludzi jest bestialsko mordowanych, demokratyczny świat wprowadza kolejne sankcje, a polski parlamentarzysta jak gdyby nigdy nic importuje ogóreczki z kraju Putina, zrywając tę umowę dopiero w listopadzie. Ta wulgarność była chyba próbą odreagowania frustracji.

Nie masz sobie nic do zarzucenia? To nie było prowokowanie parlamentarzysty?

Politycy muszą być przygotowani na to, że wszelkie błędy, które popełniają – a to był ogromny błąd – są przez dziennikarzy przypominane. Ale w żadnym przypadku to nie może kończyć się taką agresją. Bo to są standardy rosyjskie, białoruskie – tam dochodzi do bijatyk w programach, opluwania się, wyzywania. W Polsce nigdy nie powinno być na to miejsca.

Co więc będzie dalej?

To jest dobre pytanie. Liczyłem na adekwatną reakcję przewodniczącego Polski 2050. Najpierw jej nie było. Po kilku dniach ku mojemu zaskoczeniu Szymon Hołownia stanął murem za swoim senatorem, mówiąc, że absolutnie go rozumie. Jego partia idzie więc drogą wytyczoną już dawno przez Platformę Obywatelską.

Dziś opowiadasz o tym wszystkim bardzo spokojnie. Ale widzieliśmy, że w studiu z sobą walczyłeś, by nie dać się ponieść emocjom. Jak się trzyma nerwy na wodzy, gdy polityk wyzywa cię od mend w programie na żywo?

To jest duży kanał telewizyjny, duży program publicystyczny, z dużą widownią, z wieloma gośćmi. Albo się jest na tyle

dojrzałym, by go prowadzić, albo nie. Od prowadzącego wymaga się, by trzymał w ryzach i program, i gości. Nawet jeśli jeden z nich wymyka się z cywilizowanych ram, to jednak trzeba mieć nerwy ze stali. Choć muszę przyznać, że w takiej chwili coś w środku pulsuje, ręka chodzi i masz ochotę odpowiedzieć pięknym za nadobne. Ale wtedy niczym bym się od senatora Burego nie różnił.

Gdyby nie wyszedł, dokończylibyście program?

Nie, wyprosiłbym go. W Telewizji Polskiej nie ma przyzwolenia na chamstwo.

Zostałeś publicznie znieważony przez parlamentarzystę. Widziały to setki tysięcy ludzi. Coś z tym dalej zrobisz?

Na pewno senator Bury nie będzie już moim gościem w żadnym programie. Czy będę go pozywał? Wystawił się na pośmiewisko, pokazał prawdziwą twarz. Opinia publiczna jednoznacznie krytycznie oceniła to zachowanie, a senator Bury przez długi czas będzie obiektem memów i niewybrednych żartów, co jest najgorszą formą kary za to zachowanie. Zresztą mam duże poczucie własnej wartości i ktoś tak niskich lotów nie robi na mnie większego wrażenia.

Coś byś mu powiedział na odchodne?

Radziłbym mu po prostu usunąć się w cień życia politycznego, bo skompromitował nie tylko siebie, ale przede wszystkim izbę wyższą parlamentu, którą reprezentuje. Nadwyżkę energii może wykorzystać w inny sposób. Np. na wspólnym treningu, na który oficjalnie zapraszam. Gwarantuję pot i lzy.



Trenowanie sztuk walki pomaga w zachowaniu chłodnej głowy w stresujących sytuacjach?

Na pewno daje poczucie pewności siebie, pomaga panować nad nerwami. To mój sposób na życie i coś, co rzeczywiście pomaga mi w pracy. Pracuję w newsach, gdzie jest ogromne tempo, nieustanne napięcie. Dzięki treningom mam gdzie wyładować energię i emocje z całego dnia. Trenuję od dziecka.

Najpierw było karate?

Tak, początki karate to Częstochowa i trenerzy pełni pasji – Mariusz Stepień i Maciej Marczak. Zacząłem, gdy miałem dziewięć lat. Około dwudziestki pojawiło się aikido, trochę boks, znów karate. Potem był GROM Combat System, który powołał mjr Jacek Kowalik, były szef szkolenia w jednostce GROM. Gdy robiłem z nim jakiś materiał, zostałem zaproszony na wspólny trening. Izostałem z nimi przez dwa lata. Teraz rozpocząłem przygodę z krav magą pod okiem fantastycznego trenera Jakuba Skrzypczaka. Tu mam wszystko, czego uczyłem się do tej pory – dużo boks, kick-boxingu, trochę pracy w parterze, a nie tylko w stojce. Ćwiczyłem też przy okazji aspekty mentalne – oddechy, medytacje, jogę, czyli uzupełnienie sztuki samoobrony.

Przydały ci się kiedyś te wszystkie umiejętności?

Tak. Nie miało to żadnego związku z pracą. Dwa, trzy lata temu na moją posesję wdarło się czterech mężczyzn. Najpierw jeden przeskoczył przez płot, nie widział, że jestem w pobliżu. Podbiegłem, on zaczął uciekać. Razem z tatą go złapaliśmy, obezwładniliśmy, założyłem mu dźwignię, unieruchomiłem. Gdy leżał na ziemi, zaczął wzy-

wać kolegów. Pojawiło się kolejnych trzech napastników, którzy – mówiąc ogólnie – zażądali wydania tego pacjenta. Nie chcieliśmy im odpuścić, bo podejrzewaliśmy, że to jakiś gang włamywaczy do domów jednorodzinnych. Zaatakowali nas, więc doszło do bijałki. Gdybym nie potrafił się bronić, nie wiem, czy bym z wami dziś rozmawiał. Nawet jeśli te wszystkie treningi miały mi się przydać tylko ten jeden



Fot. Andrzej Wilk

raz w życiu, to się cieszę, że ćwiczyłem. Z ich strony była potężna agresja. Kiedy pierwszy napastnik atakował mnie z przodu, drugi uderzył w potylicę, przewrócił. Kolejny dobiegł, zaczęli mnie z całej siły kopać po głowie, po żebrach. Wszystko zablokowałem. Udało się wstać. Było czterech na dwóch, ale poradziłem sobie.

Tata też jest biegły w sztukach walki?

Tak, też ćwiczę – karate, siłownia. To duży chłop, kiedyś ważył 135 kg. A więc mimo że ich było więcej, siły były wyrównane. W końcu uciekli. Pobiegliśmy po telefony, zadzwoniliśmy na policję. Błyskawicznie pojawiły się radiowozy i zaczęliśmy ich szukać po okolicy.

Czyli policjanci zareagowali nagle?

Lepiej, niż się spodziewałem. Obstawili drogi, po pół godzinie znaleźli napastników, skuli i przywieźli mnie, bym ich zidentyfikował. Zostali zawiezieni na komisariat, przesłuchani, prokuratura błyskawicznie dostała dokumenty i skierowała wniosek do sądu o tymczasowe aresztowanie. Jak się później dowiedziałem, ci bandyci mieli grubą kartotekę. To typ stadionowych chuliganów z rozbojami na koncie.

Recydywa, a więc sytuacja oczywista.

A mimo to sędzia odrzucił wniosek o areszt.

Senator Bury nie będzie już moim gościem w żadnym programie. Czy będę go pozywał? Wystawił się na pośmiewisko, pokazał prawdziwą twarz. Opinia publiczna jednoznacznie krytycznie oceniła to zachowanie, a senator Bury przez długi czas będzie obiektem memów, co jest najgorszą formą kary za to zachowanie

Dlaczego?

Usłyszałem potem od osoby znającej kulisy sprawy: „Panie Miłoszu, bo pan się naraził”. Pytam: „Komu?”. „Prowadził pan program »Kasta«, więc niech się pan nie dziwi, że sąd zwalnia gangusów, którzy pana napadli”.

Jak ta sprawa się zakończyła?

Trafiała do sądu. Jest w toku.

Wróćmy do twojej pracy. Jak jesteś traktowany przez polityków za kulisami?

Jakie masz relacje np. z posłami PO?

Relacje?! [śmiech] Nie mówimy sobie nawet „dzień dobry”. Odkąd zapadła polityczna decyzja – a wiem, że tak było –

o banowaniu redaktora Kleczka, to nie ma żadnych relacji. Gdy w lipcu 2021 r. Donald Tusk wrócił do polskiej polityki i doszło do tej naszej słynnej konfrontacji na sejmowym korytarzu, jego podkomendni dostali polecenie, by nie utrzymywać ze mną żadnych kontaktów medialnych. Pamiętacie, gdy z mojego programu „Woronicza 17” wyszedł Dariusz Jorński? Pan poseł przyszedł tylko po to, by powiedzieć, że demonstracyjnie wychodzi i więcej do mnie nie przyjdzie. Od tamtego czasu żaden polityk Platformy zaproszeń do moich programów nie przyjmuje, choć do TVP chodzą.

Może przekroczyłeś pewną linię, za którą masz ograniczone możliwości działania? Rafałowi Trzaskowskiemu każeś googlować, kim jesteś, szefa Nowoczesnej nazywasz miernotą, Donaldowi

Tuskowi mówisz, że myślałeś, iż reprezentuje wyższy poziom. Może jesteś za bardzo bezpośredni? Czy to nie jest coś, co po prostu przeszkadza ci w pracy?

Akcja budzi reakcję. To nie jest tak, że ja sam z siebie napisałem do posła Szlapy, że jest miernotą, lecz była to moja odpowiedź na jego nieeleganckie i kłamliwe uwagi na temat moich zarobków w TVP. Chociaż akurat z tego wpisu nie jestem zadowolony, mogłem sobie to odpuszczyć. Rafała Trzaskowskiego prosiłem o odpowiedź na zadawane pytania i zostałem potraktowany w sposób niezwykle arogancki. W zasadzie tylko dlatego, że reprezentuję

Telewizję Polską. Tusk zaś, unikając odpowiedzi, pozwalał sobie na uwagi na temat mojego wychowania. Konfrontacje z politykami Platformy nie były więc przeze mnie przygotowane. Zadaję pytania, często pewnie dla nich niewygodne. Ludzie chcieliby o pewnych sprawach usłyszeć, dowiedzieć się, dlaczego oni, kiedyś rządząc, podejmowali takie, a nie inne decyzje. Platforma zazwyczaj reaguje na takie pytania agresją, a ja na to po prostu dosadnie odpowiadam.

A inne partie opozycyjne?

Raczej nie mam takiego problemu, mimo że na antenie niekiedy wygląda to tak, jakbyśmy rozmawiali po raz ostatni. Są tacy politycy, którzy do moich programów przychodzą przygotowani nawet na ostrą wymianę zdań, na starcie. A po emisji potrafią podejść i powiedzieć wprost, jak np. poseł Andrzej Szejna z Lewicy, że lubią te konfrontacje ze mną.

Ale fama idzie taka, że wielu polityków opozycji nie chce przychodzić do twoich programów, a wicemarszałek Sejmu chciał nawet zakazania ci wstępu na teren parlamentu. Warto być tak ostrym?

Nie lubię chodzić na kompromisy. Jestem w Sejmie wystawiony na pierwszą linię frontu, podejmuję tematy trudne i niewygodne dla różnych środowisk politycznych. I akurat ten wniosek marszałka Piotra Zgorzelskiego uważam za próbę wyeliminowania mnie przynajmniej z galerii sejmowej. Może było tak, że on prowadził obrady, a ja mówiłem coś o PSL i on po prostu nie wytrzymał? Tak być nie powinno, tym bardziej że mówimy o partiach, które tak wiele krzyczą o pluralizmie, wolności słowa. Gdy zaś zdarza się krytyka wymierzona w nich, to błyskawicznie chcą eliminacji dziennikarza. Jestem jedynym stałym korespondentem sejmowym TVP, więc w naturalny sposób ta ich frustracja skupia się na mnie.

Czy rozumiesz ludzi, dla których twój sposób zadawania pytań jest zbyt nastawiony?

Czasem potrzeba naprawę dużej determinacji, by wymusić na polityku odpowiedź. Bywa, że rodzi to konflikty, ale tylko dlatego, że duża część klasy politycznej przez lata była przyzwyczajana do tego, że dziennikarze nie byli dociekliwi. Politycy uwielbiają uciekać od niewygodnych tematów. Ja wówczas reaguję natychmiast i nie pozwalam brnąć w sprawy zastępcze. Tak powinno

Odkąd zapadła polityczna decyzja – a wiem, że tak było – o banowaniu redaktora Kłeczka, to z posłami PO nie ma żadnych relacji. Pamiętacie, gdy z mojego programu „Woronicza 17” wyszedł Dariusz Joński? Pan poseł przyszedł tylko po to, by powiedzieć, że demonstracyjnie wychodzi i więcej do mnie nie przyjdzie

wyglądać dziennikarstwo. Długofalowo wyjścia są dwa: albo się ugnę i podporządkuję ich woli, albo będę robił swoje. Pierwszego nie biorę pod uwagę, bo uważam, że nasz widz ma prawo do rzetelnej informacji i uważam za słuszne to, co robię.

Dużo jest w twojej opowieści retoryki niemalże wojennej. Mówisz o sporze, konflikcie, wymuszaniu odpowiedzi. Jesteś w zawodzie od lat, zawsze taki byłeś, czy zradyzalizowałeś się na tym froncie?

Nie zmienilem się, dostosowuję się do otoczenia. Jeśli ktoś stara się odpowiadać na zadane przeze mnie pytania, konfliktu nie ma. Podam konkretny przykład. Nie znajdziecie programu, w którym doszłoby do jakiegoś ostrego starcia między mną a posłem Dariuszem Wiczorkiem z Lewicy. Jeśli mój

rozmówca nie skręca z tematu, nie ma powodu, by go dociskać.

Jesteś na tej wojnie ochotnikiem?

Tak. Gdy w 2016 r. przyszedłem do TVP, od razu powiedziałem, że chcę robić relacje na żywo i zajmować się polityką. To jest żywioł, energia, która mnie interesuje. Wcześniej przez wiele lat robiłem w telewizji dosłownie wszystko: tematy społeczne, gospodarcze, polityczne, sportowe. Chciałem wreszcie skupić się na polityce, bo jest to zgodne z moim wykształceniem. Jestem politologiem. W TVP więc w pełni realizuję się zawodowo. Robię to, co lubię, sprawia mi to dużo frajdy. Jestem wojownikiem, lubię się skonfrontować, sprawdzić.

Jak zapamiętałeś 16 grudnia 2016 r., czyli próbę puczu? Rozpoczęła się okupacja sali plenarnej Sejmu, a przed budynkiem doszło do zamieszek.

Spędziłem tutaj wówczas cały dzień i całą noc. Siedziałem na galerii sejmowej, było po północy, światła zgaszzone, ale byłem połączony z reżyserką i w każdym momencie byliśmy gotowi do wejścia na żywo. Politycy opozycji, którzy okupowali salę, nie wiedzieli, że jestem tuż nad nimi. Usłyszałem wtedy, o ile pamiętam, naradę Grzegorza Schetyny i Ryszarda Petru z posłami PO i Nowoczesnej. Planowali, że będą na zmianę wychodzić na zewnątrz i mobilizować tych zadymiarzy, którzy przyszli pod Sejm. Żeby nie odpuścili, bo to by oznaczało koniec puczu, który miał obalić ten zły PiS. Nagle nasze światła się zapalają i ja zaczynam mówić widzom, jaki jest pomysł opozycji na zamach stanu, że chcą podburzać tłum, że zachęcają, by działać agresywnie. Najpierw była cisza, a potem do nich dotarło, że mówię o ich planie. Zaczęły się sypać w moim kierunku niewybredne komentarze. Myślę, że niektórzy do dziś mi to pamiętają.

Czy w tym roku też się zgłosisz na kampus Rafała Trzaskowskiego?

[śmiejch] Gdy tylko producent zgłosił mój wniosek o akredytację, od razu było dla mnie jasne, że będzie odmowa.

Ale pewnie, że zgłoszę się jeszcze raz. Może tym razem wniosek przejdzie? [śmiech]

Jesteś jedyną osobą, której odmówiono wstępu. Jak myślisz – dlaczego?

Też się nad tym zastanawiam. Wydaje mi się, że o wiele mniejszym problemem dla polityków PO byłoby, gdyby udzielali krótkich, rzetelnych i precyzyjnych odpowiedzi na moje pytania, niż tego unikali. Zauważcie, że czasem, gdy na konferencji prasowej uda mi się dojść do głosu, to ona się przeciąga. Zadaję pytanie, dopytuję, drażę. Kolejka dziennikarzy się ustawia, słyszę pomruki niezadowolenia. Zdarza się tak, że pracownicy biura Platformy próbują mi nawet wyrwać mikrofon, tego często kamery nie pokazują. Tak zdarzyło się np. na konferencji Rafała Trzaskowskiego, na której pytałem panią prezydent Aleksandrę Dulkiewicz, jaki prezent w reklamówce opatrzonej logo miasta Gdańska wręczyła sędziemu Juszczyszynowi. Mogła po prostu odpowiedzieć, nie musiałbym dopytywać. A tak, skończyło się zabraniem mi mikrofonu. Gdy na konferencjach PiS zdarza się tak, że jest po trzech przedstawicieli jednej redakcji i każdy zadaje to samo – trochę przeformułowane – pytanie, to jest OK. A gdy ja dopytuję, to słyszę za plecami komentarze kolegów z branży: „Jak on może, co to za dziennikarstwo?!”.

Grono dziennikarzy sejmowych jest bardzo specyficzne. Jak się tutaj pracuje, będąc reporterem najbardziej znienawidzonym nie tylko przez polityków opozycji, ale też przez ten medialny salon?

Trzeba mieć odpowiednie cechy charakteru i predyspozycje, by robić to co ja. Przez lata było wielu chętnych, ale zrezygnowali. Chyba z powodu presji otoczenia, która jest odczuwalna na każdym kroku. Rzeczywiście, muszę przyznać, że jestem tu mało lubianą osobą. Znaczna część mediów, które mają w Sejmie swoją reprezentację, sprzyja opozycji. Nie są w stanie złego słowa powiedzieć o swoich faworytach, a z pasją atakują partię, która trzyma stery władzy. I my z sobą po prostu nie sympatyzujemy.



Czasem, gdy na konferencji prasowej uda mi się dojść do głosu, to ona się przeciąga. Zadaję pytanie, dopytuję, drażę. Kolejka dziennikarzy się ustawia, słyszę pomruki niezadowolenia. Zdarza się tak, że pracownicy biura PO próbują mi nawet wyrwać mikrofon

To prawda, że między dziennikarzami jest większa kosa niż między politykami?

Nie potrzebowałbym nawet palców jednej ręki, by wyliczyć dziennikarzy spoza mojej redakcji, z którymi tu rozmawiam. Jest wzajemna niechęć. Wróć do cech, które trzeba mieć do tej roboty. Jestem tu co dzień, czasem po kilkanaście godzin, oni lubią być z sobą, siedzą przy tym osławionym stoliku dziennikarskim, a ja nie. Trzeba charakteru, by umieć być poza tą grupą wzajemnej adoracji. Jeśli nie walisz razem z nimi w PiS, to zostaniesz wykluczony. Widziałem wielu dziennikarzy, którzy z tą grupą się

nie zgadzali, ale po jakimś czasie, nie chcąc być odseparowanym, dołączali do nich. Czasem nawet zmieniali poglądy, byle mieć temat do wspólnej rozmowy. Ja do tego grona nigdy nie aspirowałem, jestem typem samotnika, więc do niczego nie jest mi ono potrzebne.

Poza Sejmem też tak jest?

A to ciekawe. Jedną z tych osób z magicznego stolika spotkałem obok recepcji w siłowni. I słyszę: „Kłeczkę, też tu chodzisz? A ile kosztuje karnet, bo się chcę zapisać?”. Normalna rozmowa. Potem widzimy się w Sejmie, głowa podniesiona wysoko, nie widzi mnie. Żeby przypadkiem inni nie zobaczyli, że mamy jakikolwiek kontakt.

Czy po tym wszystkim, co zobaczyłeś z bliska w ostatnich kilku latach, widziałbyś się w polityce?

Przyjemniej jest mówić o polityce, przekazywać widzom newsy, obiektywnie opisywać otaczającą nas rzeczywistość i odkrywać mechanizmy podejmowanych przez polityków decyzji. Jako dziennikarz mam zagwarantowaną strefę prywatności, którą bardzo sobie cenię. Politycy muszą, a czasem lubią się odkrywać. Ja nie. Jestem na właściwym miejscu. Długo pracowałem na to, by tak właśnie było.

Edukacja nie jest zaprogramowana na wylapywanie talentów. Jeśli nawet tacy ludzie zostaną dostrzeżeni w szkołach, to szybko uciekną za granicę. Nie tylko z powodów finansowych, ale często także z powodu ograniczonych horyzontów otoczenia. Jakże jednak to otoczenie miałoby być inne, skoro jego wzorcem jest bezbarwny robotnik korporacji



Historia czy matematyka?



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Na początku roku w Wielkiej Brytanii rozgorzała publiczna debata na temat lekcji matematyki w szkołach. Wywołał ją brytyjski premier Rishi Sunak, który

zapowiedział, że wszyscy uczniowie powinni obowiązkowo uczyć się matematyki aż do 18. roku życia (dziś można skończyć naukę matematyki w wieku 16 lat). Zdaniem Sunaka taki jest wymóg współczesności, ponieważ nowoczesna gospodarka potrzebuje ludzi o umiejętnościach analitycznego myślenia. Matematyka przyda się też im w codziennym życiu, bo ułatwia racjonalne zarządzanie finansami.

Sunak do 2015 r. był bankierem, a potem – już jako polityk – odpowiadał

w rządzie Borisa Johnsona za finanse państwa. Dlatego nie dziwi jego słabość do rachunków. Brytyjczycy są jednak w tej sprawie podzieleni. Choć co do zasady nie podważa się idei wydłużenia obowiązkowej nauki matematyki, zwraca się uwagę, że pomysł może być niewykonalny z powodu braku wykwalifikowanych nauczycieli. Pojawiły się też głosy wskazujące, że nie ma sensu zmuszać uczniów, którzy są słabsi z nauk ścisłych do pogłębiania wiedzy matematycznej, bo utrudni to ich rozwój w tych dziedzinach, w których wykazują talent. Zatem zyski z takiej reformy mogą okazać się pozorne. Nie każdy ma matematyczny umysł – tłumaczy opozycji pomysłu Sunaka.

MYDŁO I POWIDŁO

Brytyjska debata przypomina nieco podobną dyskusję, którą przerabialiśmy kilkanaście lat temu w Polsce przy okazji przywrócenia w 2010 r. obowiązkowej

matematyki na maturze. Jest to w istocie debata o tym, jakim celem powinna służyć edukacja. Czy wszechstronnemu rozwojowi młodzieży, czy – przeciwnie – powinna być przede wszystkim przygotowaniem do wykonywania zawodu? I czy uczeń po osiągnięciu pewnego wieku powinien brać odpowiedzialność za swoją przyszłość i samodzielnie decydować o swojej specjalizacji, czy też powinno to za niego robić państwo lub rynek pracy?

W Polsce nigdy sobie na te pytania tak do końca nie odpowiedzieliśmy. W rezultacie mamy do czynienia z potwornie przeładowanymi programami nauczania bez wyraźnie zarysowanych priorytetów (wszystko jest przecież ważne, bo a nuż się komuś kiedyś przyda), a profile w szkołach ogólnokształcących od dawna są już tylko fikcją. Nie zwiększyło to liczby geniuszów opuszczających szkoły, a zamiast nich mamy kolejne roczniki mocno sfrustrowanej młodzieży, która często posiada jedynie płytką i mocno wyrwykową wiedzę z różnych dziedzin. Pożytek z takiej wiedzy dla nich samych i całego państwa nie jest zbyt wielki.

Nie oznacza to oczywiście, że wszechstronna wiedza jest niepotrzebna. Chodzi raczej o jej właściwe proporcje. Powinna być pogłębiona jedynie w tych dziedzinach, które młodego człowieka najbardziej interesują. To pozwoli mu w przyszłości rozwinąć kompetencje i nie tracić energii na rzeczy dla niego mniej pociągające – tu wystarczy jedynie ogólny poziom znajomości tematu. Tak było jeszcze niedawno, gdy w liceach ogólnokształcących istniały profile z prawdziwego zdarzenia. Były klasy matematyczno-fizyczne, biologiczno-chemiczne i humanistyczne. Dla garstki niezdecydowanych oferowano profil ogólny. Uczeń sam decydował, w czym czuje się najlepiej, i wybierał odpowiedni dla siebie profil, koncentrując się na ulubionych przedmiotach. Dawało to pewną nadzieję, że rozwijając swoje pasje okaże się w przyszłości specjalistą w swojej dziedzinie.

Dzisiaj się zmieniło. Szkoły mogą same tworzyć profile, co poskutkowało wysypem absurdalnych kombinacji i specjalizacji mających wyłącznie cel marketingowy. W rzeczywistości uczeń

trafia do klasy o niesprecyzowanym profilu i uczy się wszystkiego jak leci, bez żadnej hierarchii, a poziom nauczania danego przedmiotu zależy wyłącznie od dostępności wykwalifikowanej kadry nauczycielskiej, a z tym bywa nie najlepiej.

Można powiedzieć, że w teorii młody człowiek ma dziś znacznie szerszą ofertę edukacyjną niż kiedyś. To jednak tylko pozory. Bo pod szeroką gamą wyspecjalizowanych profili nauczania kryje się w istocie jeden i ten sam przeładowany program. Przypomina to trochę sklep pełny różnych towarów, które poza opakowaniami i nazwami niczym się od siebie nie różnią.

Ktoś, kto zna swoje mocne strony i chciałby się rozwijać w określonym kierunku, musi się więc wykazać nie lada determinacją, by osiągnąć cel. Jeśli nie da rady, to pozostaje mu bezwiednie płynąć z prądem i zdać się na czysty przypadek albo machnąć na swoje pasje ręką. Nic dziwnego, że wielu maturzystów jest zagubionych i na progu dorosłości nie ma żadnej sprecyzowanej wizji swojej przyszłości.

EDUKACYJNY ŚMIETNIK

Przyczyny tego stanu rzeczy należy paradoksalnie szukać w rozpowszechnieniu edukacji. Brutalnie i z pewną dozą przesady można bowiem powiedzieć, że znacznej liczbie ludzi do sprawnego funkcjonowania w życiu wystarczy umiejętność pisania, czytania i rachowania. Wszystko inne to dodatek, który jest niezbędny wyłącznie przy wykonywaniu konkretnych, wykwalifikowanych zawodów.

Kiedyś do tego problemu podchodzono literalnie. Przed wojną istniały czteroletnie szkoły powszechne, które musiał ukończyć każdy. Dalsza, bardziej wyspecjalizowana nauka, była zarezerwowana dla zdolniejszych. Dzisiaj, wraz z rozwojem cywilizacyjnym, cztery lata nauki oczywiście nie wystarczą. Nie oznacza to jednak, że zasada, wedle której edukację dzielono na powszechną (elementarną) i pogłębioną, straciła sens.

Ten system utrzymano w pewnym zakresie do czasów nieszczyśnej reformy Handkego, ministra edukacji z rządu Buzka. A więc osiem lat szkoły podstawowej, w której nabywano – jak sama

nazwa wskazuje – wiedzę podstawową, oraz cztery lub pięć lat edukacji pogłębionej: w profilowanych klasach liceów lub w technikach. Pozostali absolwenci podstawówek, a była ich większość, trafiali do trzyletnich szkół przyuczających do zawodu, po czym szli do pracy.

I nie było to złe rozwiązanie. Po co bowiem robotnikowi w hucie wiedza o prawach Mendla, po co matematykowi szczegółowa wiedza o przywilejach szlacheckich, po co wreszcie historykowi znajomość wiązania kowalencyjnego?

Tymczasem po reformie Handkego ten – niepozbowiony oczywiście wad, ale funkcjonujący system edukacji – kompletnie zdewastowano. Gimnazja i skrócone do trzech lat nauki licea wydłużyły edukację elementarną niemalże do matury. W praktyce oznaczało to likwidację zarówno edukacji elementarnej, jak i pogłębionej, ponieważ obie z sobą pomieszano, tworząc wtłaczany każdemu do głowy bez względu na jego preferencje czy zdolności edukacyjny śmietnik. Młodzi ludzie od tego nie zmądrzeli. Przeciwnie, jak wynikało z opinii wykładawców szkół wyższych po reformie Handkego, ogólny poziom studentów znacząco się obniżył.

Nie byłoby tego, gdyby ten skądinąd godny pochwały pęd do edukacji został właściwie skanalizowany. Gdyby pozostawiono mechanizmy selekcji wychytujące na wcześniejszym etapie edukacji zdolnych uczniów i pozwalające im na specjalizację według ich pasji i uzdolnienia. Zamiast tego dokonano urawniłowki, wrzucając wszystkich do gimnazjów i trzyletnich liceów, każąc im potem wkuwać prawa Mendla, wszystkie przywileje szlacheckie i wiązania kowalencyjne.

Niestety, po przywróceniu dawnego systemu (osiem lat podstawówki plus cztery albo pięć lat szkoły ponadpodstawowej) niewiele się w tej kwestii zmieniło. W gruncie rzeczy uczniowie wciąż wkuwają mnóstwo niepotrzebnej wiedzy, tracąc w ten sposób czas, który w innym przypadku mogliby poświęcić na rozwijanie w szkole swoich pasji. Ale szkoła nie służy rozwijaniu pasji, prowadzi raczej intensywny kurs skierowany do tych, którzy nie wiedzą, czym chciałby się zająć. A więc uczy wszystkiego po trochu, za to niczego nie potrafi nauczyć

w pełni. Ci, którzy mają sprecyzowane zainteresowania i oczekują ich pogłębienia, muszą sobie radzić sami, o ile oczywiście znajdują na to czas, coraz bardziej zajęty przez kolejne szczegółowe zagadnienia dorzucane do programu.

W ten sposób polski system edukacji promuje ucznia robota, rozliczanego głównie ze swoich zdolności pamięciowych oraz siły do zasuwania przez całą dobę. To zapewne dobry kandydat do pracy w korporacji, ale na pewno nikt wybitnie zdolny. Wybitnie zdolnych ten system prędzej czy później wypłuje, o ile w ogóle ich zauważy. Talenty są bowiem ściśle wyspecjalizowane w określonej dziedzinie, a tu przecież trzeba być dobrym we wszystkim. Tymczasem jeśli ktoś jest dobry we wszystkim, to oznacza że prawdopodobnie na niczym się tak naprawdę nie zna. Ale to takich preferuje dzisiejsza szkoła.

DRUGA LIGA

Tak się musiało stać, skoro po upadku PRL społeczeństwo wyposzczone dekadami komuną postanowiło gonić Zachód. Jednym z warunków sukcesu w tym wyścigu była lepsza i bardziej powszechna edukacja. Zrobiono to jednak bez namysłu, niszcząc wcześniejszy system i obniżając kryteria, byleby tylko poprawić statystyki liczby osób z wyższym wykształceniem. I to się oczywiście udało, tyle że ogólna jakość edukacji znacząco spadła. Nic w tym dziwnego, skoro do szkół ponadpodstawowych i wyższych trafil ci, którzy dawniej nie mieli na to szans.

W krajach zachodnich, do których aspirowała Polska, ten problem także występuje, ale jest neutralizowany dzięki istnieniu prestiżowych szkół i uczelni, które zasysają najzdolniejszych. U nas nie ma Oksfordu ani Harvardu więc pozostajemy edukacyjną drugą ligą. Dociera to zresztą do wielu młodych ludzi i ich rodziców, którzy – jeżeli ich stać – wydają ogromne pieniądze na zagraniczne studia ich dzieci (i nie chodzi tu bynajmniej o najlepsze uczelnie, które są zbyt drogie dla Polaków), choć mogłyby one z powodzeniem uczyć się na którymś z polskich uniwersytetów. Jednak prestiż polskich

szkół jest w coraz szerszym odczuciu zbyt niski, co jest zresztą często niesprawiedliwą oceną.

Tu pojawia się wspomniany wcześniej paradoks. Wykształcenie jest wyznacznikiem statusu, więc przez ostatnie 30 lat społeczeństwo domagało się szerszego dostępu do nauki. Gdy ten dostęp otwarto dla każdego chętnego, obniżyła się jakość nauczania, a wraz z nią spadł prestiż polskiej edukacji.

Edukacja jest bowiem najważniejszą przepustką do kariery. Większość rodziców nie protestowała przeciwko przeładowanym programom. Przeciwnie, domagano się jak najszerzej i jak najbardziej wszechstronnej wiedzy.

W teorii młody człowiek ma dziś szerszą ofertę edukacyjną niż kiedyś. To jednak tylko pozory. Bo pod szeroką gamą wyspecjalizowanych profili kryje się jeden i ten sam przeładowany program

A gdy jej nie wystarczało w szkole lub gdy nauczyciele nie dawali rady, to zapisywano dzieci na dodatkowe kursy. To właśnie w odpowiedzi na to zapotrzebowanie szkoły zaczęły uczyć wszystkich wszystkiego. Potem pojawiała się zdziwienie, że to nie przynosi efektów, a młodzież po takim faszzerowaniu informacjami wcale nie jest mądrzejsza.

Większość ludzi nie rozumiała, że nie każdy jest uzdolniony, a nauka nie polega na zasysaniu na pamięć każdej podawanej wiedzy, lecz na rozbudzaniu intelektualnej pasji. Bo tylko wtedy pojawiają się efekty.

Kolejne rządy ponoszą winę nie tylko za to, że nikt nie chciał tego głośno powiedzieć w obawie przed reakcjami rodziców, ale również za to, że nie stworzono sprawnego systemu wyłuskiwania i promowania ludzi rzeczywiście uzdolnionych.

ZNIKAJĄCE TALENTY

Postawione w tytule artykułu pytanie: „Historia czy matematyka?” jest oczywiście prowokacyjne. Bo ideałem byłby historyk o matematycznym umyśle lub matematyk z wiedzą historyczną. Takich ludzi jest jednak bardzo niewielu. Dlatego odpowiedź brzmi: jedno lub drugie w zależności od zdolności.

Dziś powszechnie przyjmuje się jednak, że wiedza historyczna – czy szerzej humanistyczna – jest mało wartościowa. Bo pieniędzy z tego nie ma, a poza tym, jak głosi współczesna ludowa mądrość, humaniści to darmozjady – niczego nie tworzą. Dlatego w szkołach pojawiła się moda na nauki ścisłe, choć gdyby konsekwentnie trzymać się ludowych kryteriów, to przecież z matematyka też nie ma żadnego pożytku. Bo coś tam liczy, a te jego wyliczenia nijak się mają do codziennego życia.

Nie ma sensu tłumaczyć tego, jak ważne są obie dziedziny do prawidłowego funkcjonowania społeczeństwa komuś, kto nie rozumie, że kształt otaczającego go świata jest w dużym stopniu owocem czyjejś wiedzy. Igdyby nie historycy, to nie wiedzieliby, kim jest i skąd się wywodzi, a gdyby nie matematycy, to mieszkaliby zapewne nadal w jaskini.

Problem nie polega więc na rzekomej wyższości matematyki nad historią (lub odwrotnie), ale na tym, że system edukacji nie jest zaprogramowany na wyłapywanie talentów: wszystko jedno czy historycznych, matematycznych, czy jakichkolwiek innych. Jeśli nawet tacy ludzie zostaną dostrzeżeni w szkołach, to zwłaszcza jeśli są uzdolnieni w bardziej uniwersalnych naukach przyrodniczych – szybko uciekną za granicę. Nie tylko z powodów finansowych, ale często także z powodu ograniczonych horyzontów otoczenia.

Jakże jednak to otoczenie miałoby być inne, skoro jego wzorcem jest niewychodzący zadaną przed szeregiem idealny robotnik korporacji, który z każdej dziedziny liźnął po trochu i wydaje mu się, że już wszystko wie. Podczas gdy w rzeczywistości nie wie nic.

Prorocy naszych czasów

*Według analityków
z Departamentu
Obrony USA, specjalistów
od klimatu oraz tego
i owego, Gdańska i Gdyni
już dawno nie ma*



DARIUSZ MATUSZAK

Nastanie nowego roku to czas wróżbitów, astrologów, ekspertów i analityków, którzy powiedzą nam, co się wydarzy. To ludzie, którzy znają przyszłość. Odkryto ją nawet w „Gazecie Wyborczej” oraz TVN i powołując się na mędrców wróżbitów z organizacji Climate Central, pokazano, jak to z powodu globalnego ocieplenia znikną pod

wodą Gdańsk i Gdynia. Otóż to są akurat prognozy siódmej świeżości, całkowicie nieaktualne, bo według ekspertów z Departamentu Obrony USA, specjalistów od klimatu oraz tego i owego, tych miast już dawno nie ma. Po ul. Długiej w Gdańsku śledzie pływają. Wszystko przez to, że z powodu gorąca lody się roztopiły, morza się podniosły i nastąpiło wielkie przelanie wód, które m.in. zatopiły polskie wybrzeże. Bałtyk wlał nam się do Polski, ale nie tylko przez lejek – kanał na Mierzei Wiślanej, ale na całej długości wybrzeża.

Klimatycy nie uzgodnili jednak wersji przyszłych wydarzeń. Pani poseł Koalicji Obywatelskiej Urszula Zielińska twierdziła akurat, że będzie odwrotnie i w Polsce zapanuje susza, bo przez ten przekop

to się Wisła za szybko do Bałtyku wleje. Tak czy owak z tymi sprawami to nie ma żartów. Np. kongresmen Hank Johnson z Partii Demokratycznej ledwie kilka lat temu martwił się, że jak Amerykanie wyślą za dużo wojska na wyspę Guam, to ona się chybnie jak łódka, dnem do góry odwróci i wszyscy się potopiają.

Wróćmy jednak do ekspertów wróżbitów oraz Gdańska i Gdyni, których już nie ma. Analitycy z Departamentu Obrony USA, agencji CIA, koncernów, jak np. Royal Dutch Shell, rządów Niemiec i Wielkiej Brytanii, specjaliści od klimatu oraz tego i owego przewidzieli ich zalanie w 2003 r. i sporządzili raport, który przekazali prezydentowi Bushowi. Był tak przerażający, że go utajniono,

a specjalny zespół obradował, jak powstrzymać apokalipsę. Sprawę ujawnił Andy Marshall z Departamentu Obrony, a naukowcy zrzeszeni w Union of Concerned Scientists oskarżyli Busha, że wiedzie ludzkość ku zgubie, zatajając, jaką przyszłość eksperci zobaczyli.

MROZY GLOBALNEGO OCIEPLENIA

A co takiego apokaliptycznego im się w owym 2003 r. ukazało jak w szklanej kuli? Ujrzeni mianowicie, że w 2020 r. Wielka Brytania będzie jak Syberia. I nie chodzi o styl życia czy picia, tylko o klimat. Otóż z powodu globalnego ocieplenia temperatura na Wyspach miała drastycznie spaść, a niespotykane zjawiska klimatyczne doprowadzić m.in. do wybuchu wojny nuklearnej, chaosu i anarchii na całym świecie. To akurat nie byłoby już jakimś wielkim problemem Holendrów, bo u nich z kolei w 2007 r. gigantyczne sztormy miały sprawić, że Ocean Atlantycki przeleje się przez ich tamy. Jak się ten Atlantyk rozbuja, to się przez cieśniny duńskie przepchnie, do Bałtyku wleje, a dalej to już wiadomo... Gdyni i Gdańska nie będzie. Eksperci w szklanej kuli zobaczyli też, jak z powodu globalnego ocieplenia w Europie będzie tak zimno, że Skandynawowie w 2012 r. zaczną masowo uciekać na południe Stanów Zjednoczonych i na Karaiby, a Holendrzy i Niemcy do Hiszpanii i Włoch. Wszystko przez to, że tak się od tego ocieplenia klimatu zawirowuje, że ciepły Prąd Zatokowy przestanie opływać i ogrzewać wybrzeża Europy Zachodniej, tylko sobie gdzieś skręci. Od tego zwariują ryby, wszystko im się pomiesza i nie będą wiedziały, gdzie pływać. Pogubią się i rybacy nie będą wiedzieli, gdzie je łowić. Przez to wybuchną wojny o łowiska. Śledzika pod wódeczkę więc nie będzie, no chyba że uda się go złapać na ul. Długiej w Gdańsku.

Tam gdzie dziś jest Dolina Kalifornijska, powstanie wielkie jezioro. Ale nie będzie z niego wcale pożytku, bo słońce i miejscowa ludność będą umierać z pragnienia. Wodociągi transportujące wodę z rzeki Sacramento zostaną zniszczone. Ok. 2010 r. z powodu ochłodzenia wywołanego ociepleniem zniknie też prawie cały lód Antarktyki. W 2003 r. klimatycy zobaczyli, że ok. 2018 r. w całej

Unii Europejskiej będzie taki chaos, takie zamieszanie, że na pomoc będzie musiała przyjść Rosja. Od 2015 r. we Wspólnocie będą bowiem braki w dostawach energii i żywności. Trzeba przyznać, że coś na rzeczy z energią jest i Niemcy wypatrują jej tęsknie z Rosji.

Widać też pewną zbieżność prognoz ekspertów z przepowiedniami Baby Wangi. Ta bułgarska niewidoma, jeszcze w Imperium Osmańskim urodzona, wróżyła, że gdzieś ok. 2016 r. Europa będzie prawie wyludniona i nie będzie nadawała się do życia. I miała poniekąd rację, bo przynajmniej część Starego Kontynentu – np. przedmieścia francuskich miast albo jakieś strefy „no go” w Belgii czy Szwecji nie nadają do życia się. No, chyba że się jest członkiem gangu.

Tymi klęskami nie będą musieli się też przejmować mieszkańcy Malediwów, większości wysp Pacyfiku, państw na atolach rozsianych po oceanach. A to dlatego, że ich nie będzie, podobnie jak mniej więcej 1/6 Bangladeszu i wielkiego spichlerza Egiptu i Bliskiego Wschodu – delty Nilu. Wiadomo: od tego globalnego ocieplenia lody się roztopią, wody podniosą... Resztę historii już państwo zna. O tym spodziewanym armagedonie powiadomiła ludzkość już w 1989 r. Organizacja Narodów Zjednoczonych, a konkretnie Noel Brown, szef ONZ-owskiego programu środowiskowego UNEP. Wszystko wyliczył i wyrysował ze szczegółami. Łącznie z tym, że w Związku Sowieckim, głęboko na Syberii, będą złościły się lany zbóż. Tu też można dostrzec pewną zbieżność z klimatycznymi objawieniami Departamentu Obrony i CIA z 2003 r. Związek Sowiecki, obecnie zwany Rosją, miał ratować przed głodem cały świat.

Ledwie 14 lat przed prorocztwami ONZ, w 1975 r., specjaliści od klimatu z CIA przygotowali raport, z którego wynikało, że nie grozi nam globalne ocieplenie, tylko „mała epoka lodowcowa” jak z lat 1350–1850. Specjaliści ostrzegali, że chłody mogą panować nawet 500 lat i Tamiza znów będzie zamarzać jak w XVII w., kiedy to w niektórych latach na skutek lodem rzecze stawiano kramy. Było tak zimno, że w Niderlandach zamarzały kanały, dzięki czemu Holendrzy wynaleźli łyżwy. Sam więc, drogi czytelniku widzisz, że nie jest łatwo być człowiekiem. Jak nie piekielnym upałem go, to mrozem, jak nie umrze

z pragnienia, to go Atlantyk albo Bałtyk zaleje. Możliwe, że wtedy do analiz klimatycznych CIA wkrał się czeski błąd i tam, gdzie przy temperaturach miał być plus – wstawiono minus, i to dlatego zamiast globalnego ochłodzenia mamy globalne ocieplenie, od którego w Wielkiej Brytanii mają być mrozy.

WOJNA CZESKO-SŁOWACKA O SŁOŃCE

Gdybyś, drogi czytelniku, chciał się dowiedzieć, na co umrzesz albo od czego zginiesz, to polecam raport National Intelligence Estimate (NIE) z października 2021 r. o zagrożeniach, jakie niosą dla bezpieczeństwa USA i świata zmiany klimatyczne. Dokument ten dokładnie opisuje, co się komu z powodu globalnego ocieplenia stanie do 2040 r. Raporty NIE to dzieła poważne, przygotowywane przez 18 agencji wywiadowczych, zatwierdzane przez Dyrektora Narodowego Wywiadu (DNI) i przedstawiane Kongresowi i prezydentowi.

I tak, co nie jest niespodzianką, czekają nas wojny. Ale nie takie zwykłe jak ta na Ukrainie, ale o panowanie nad szlakami, które powstaną po roztopieniu się Arktyki. Setki milionów ludzi będą wędrować, szukając miejsc do życia, bo z dotychczasowych wygonią ich głód i klęski żywiołowe. Będą upadać rządy i państwa, ludzie będą walczyć o kurczące się zasoby. To wszystko będzie spowodowane spalaniem paliw kopalnych i emisją CO₂. Ale wojny będą wybuchać z powodu tego, że ludzkość używa paliw kopalnych, i równocześnie z powodu tego, że przestanie ich używać. Jak ludzkość przestanie spalać paliwa, to spowoduje całkowite załamanie się gospodarek państw Zatoki Perskiej, więc pożoga wojenna ogarnie Bliski Wschód i Europę.

Wojny będą wybuchać też od tego, że jedno państwo drugiemu niechcący zasłoni Słońce. Albo zrobi to na złość. Eksperci z Office of Director of National Intelligence (ODNI) przewidują, że poszczególne kraje mogą rozpylać w atmosferze cząstki gazu, by odbijały promienie słoneczne, przez co temperatura będzie niższa. Takie projekty, przygotowywane m.in. w Szwecji, finansował już Bill Gates. Przy takich operacjach np. Czechy niechcący przesłonią Słońce Słowakom

i konflikt gotowy. Tych ryb, co to zgłupiały i nie wiedzą, gdzie pływać, to nie będzie w ogóle, a to dlatego, że od całego tego zamieszania morza i oceanów staną się kwaśne, więc wszystko, co w nich żyje, wyzdycha. No więc jednak nie złowi się śledzi na ul. Długiej w Gdańsku.

ZWIAZEK SOWIECKI I UNIA PRZĘGANIAJĄ AMERYKĘ

Oddzielna kategoria od klimatycznych wróżb to objawienia, proroctwa, polityczne i gospodarcze. I w tych dziedzinach konkurencja oświeconych znawców jest bardzo mocna. Ot, porównajmy choćby ekspertów sowieckich i unijnych. I tak w 1959 r. I sekretarz Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego Nikita Chruszczow na otwarciu w Moskwie Amerykańskiej Wystawy Narodowej, w czasie tzw. kuchennej debaty z ówczesnym wiceprezydentem Richardem Nixonem przepowiedział, że w ciągu siedmiu lat Związek Sowiecki przegoni gospodarczo Amerykę. Cały Kraj Rad w pocie i znoju wykuwał hasło „Dośćgniemy i prześcigniemy”. Jak się skończyło – wiemy, więc ludzie sowieckich postanowili w wyścigu zastąpić unijni. W 2000 r. ogłoszono tzw. Agendę Lizbońską, w której przepowiadano, że w ciągu dekady gospodarka Unii stanie się większa od amerykańskiej pod względem całkowitego PKB i w przeliczeniu na głowę. Kiedy UE stawiała do wyścigu, jej PKB wynosiło 7,26 bln dol., a Stanów Zjednoczonych – 9,48 bln dol. I zdarzył się cud. Z powodu przyłączenia kolejnych krajów (w tym Polski w 2004 r.) w sezonie 2005–2006 unijna gospodarka wyprzedzała amerykańską. Od tego momentu trwa już nieustający pościg i w 2021 r. PKB USA wyniosło 23,3 bln dol., a UE 14,5 bln. Teraz ze statystyk zaczęto wymazywać Wielką Brytanię, która wystąpiła z UE, by nie było widać nie tylko tego, że Wspólnota od ponad dekady się nie rozwija, ale utraciła też ponad 20 proc. swojego potencjału gospodarczego.

APOKALIPSA NA WYSPACH

Wspomniana Wielka Brytania była zresztą ulubionym obiektem proroctw

i wróżb pochodzących od ekspertów. Zaczęło się w 2002 r., gdy Królestwo ostatecznie odrzuciło pomysł wstąpienia do strefy euro. Analitycy w szklanej kuli zobaczyli, że funt będzie zredukowany do roli waluty podrzędnej, coś jak szwedzka korona, znaczenie Londynu dla rynków spadnie. Na finansowe centrum świata miał wyrosnąć gród nad Menem – Frankfurt. Po 20 latach światową stolicą finansów jest gród nad Tamizą, a Frankfurt nie znalazł się nawet w pierwszej 10 miast. W Europie ważniejszy jest nawet Zurych.

Ostateczne klęski, łącznie z epidemią nieuleczalnej rzeżączki, miały spaść na

Jeszcze nigdy nie spotkałem się z wróżbą eksperta, objawieniem analityka, że – najogólniej mówiąc – będzie dobrze. Wokół zawsze tylko śmierć i halucynacje

Wyspy po brexicie. Choróbsko, a także powszechne zgony na cukrzycę z powodu braku leków wróżyło British Medical Association. W sklepach miało zabraknąć żywności, a jej dystrybucji pilnowałoby wyprowadzone na ulice wojsko. W Dover miały potworzyć się gigantyczne korki, a ludzie kilka dni w trzaskających syberyjskich mikrozach (nie zapominajmy o proroctwach klimatystów) oczekiwali, by wydostać się z dotkniętych apokalipsą Wysp. Braki żywności byłyby tak dotkliwe, że dochodziłoby do ogromnych protestów społecznych. W ramach specjalnie przygotowanej operacji Kandyd miano w różnych sekretnych miejscach poukrywać członków rodziny królewskiej. Wszystkich oddzielnie, bo w razie najgorszego – gdyby wściekły tłum zdobył jakąś twierdzę, byłaby zachowana ciągłość brytyjskiej monarchii, bo jakiś następca tronu by ocalał. O tych wszystkich nieszczęściach związanych z brexitem przez pięć lat opowiadali

eksperci – zwłaszcza unijni i media. Po opuszczeniu UE, krainy szczęśliwości, w upadłym Królestwie miało się porobić jak w dółcipach o chłopach lotewskich – „a wokół tylko śmierć i halucynacje z niedożywienia”.

Istotą wróżb, proroctw, wizji, objawień, którymi karmią nas eksperci, zwłaszcza klimatysty, mędrcy świata jest ostrzeganie maluczkich nieoświeconych i mówienie im, jak mają żyć, by nie ściągać nieszczęść na siebie i ludzkość. One mają działać poniekąd jak zdjęcie gnijącej jamy ustnej, płuc z rakiem i takich tam nieprzyjemnych rzeczy na paczkach papierosów. Ale jest jak z historią pewnego Albańczyka, który

we Francji na paczce papierosów odkrył zdjęcie kikuta własnej nogi. Zdjęcie prawdopodobnie wzięto ze szpitala, do którego chodził, by sobie obstalować protezę. Jak się okazało, dzielny albański pastuszek, który stracił nogę w dzieciństwie na wiosce pod maszyną, teraz straszył nią francuskich palaczy. Pastuszek zażądał wielkiego odszkodowania – nikt nie będzie wystawiał za darmo jego kikuta. Jak się jednak mają proroctwa i prognozy ekspertów do tej historii? No cóż, mają mniej więcej taką wartość i sens jak jej moral i ostrzeżenie: jeśli, czleku,

będziesz palił, to ci w Albanii kulasa kościarką obetną.

Jeszcze nigdy nie spotkałem się z wróżbą eksperta, objawieniem analityka, że – najogólniej mówiąc – będzie dobrze. Wokół zawsze tylko śmierć i halucynacje. Ale jest jedno proroctwo, którego spełnienie wydaje się najbliższe, dużo bardziej prawdopodobne niż wszystko to, co np. klimatysty zobaczyli w kuli, fuszach i kartach. Otóż pod koniec XIX w., w czasie seansu spirytystycznego w pałacu hr. Władysława Wielogłowskiego w Tęgoborze zobaczono, jak Polska odzyskuje niepodległość, II wojnę światową i to, jak w końcu po 140 latach nasz kraj jest bogaty i staje się potęgą od morza do morza. Trzeba więc czekać na zwycięstwo Ukrainy, wielkie projekty polityczne, odrodzenie się inicjatyw między morza, powodzenie trójmorza. Czesław Miłosz wieścił, że to duch Adama Mickiewicza nawiedził pałac w Tęgoborze i osobiście to przekazał.

W uścisku Big Techu

Rewolucja cyfrowa jest w takiej fazie, że przez destrukcję przestrzeni komunikacji społecznej i politycznej nastąpiła degradacja intelektualna i moralna sporej części ludzkości. Oto paradoks: liczba i złożoność problemów, przed którymi stoi ludzkość, skokowo wzrosła, a wydolność intelektualna ludzi oraz instytucji publicznych mających te problemy rozwiązywać spada



Z prof. Andrzejem Zybertowiczem, socjologiem, kierownikiem Ośrodka Studiów nad Wyzwaniami Cywilizacyjnymi Akademii Sztuki Wojennej, rozmawia Maciej Walaszczyk

W rozmowie z Jaremą Piekutowskim zapisanej w książce „Cyber kontra real” mówi pan, że technoentuzjazm jest najniebezpieczniejszą z ideologii. Dlaczego? Napędza go wiara w naukę jako formę religii?

Gdyby była to nauka w formie dociekania podstawowych praw rządzących przyrodą i społeczeństwem, nie byłoby tak źle. Technoentuzjazm to fascynacja możliwościami sprawczymi bez wrażliwości na konsekwencje. Na całym świecie miliony młodych ludzi zostały zaangażowane w działalność start-upową, która jest dla nich fascynująca intelektualnie i emocjonalnie. W dodatku wiąże się z dwoma silnymi bodźcami. Pierwszy jest finansowy: nadzieja, że start-up stanie się „jednorozcem”, a oni wszyscy milionerami. Drugim to ideologia Doliny Krzemowej oparta na rzadko kwestionowanym przekonaniu, że kolejne innowacje służą lepszemu przyszłości. Jest to naiwne, gdyż twórcy nowych technologii nie interesują się możliwymi, szkodliwymi zastosowaniami swoich rozwiązań.

Może są one wprowadzane celowo, by społeczeństwa okiełznać przez rozbicie wspólnot, by świat zatamizowanych jednostek oddawać nieustającej konsumpcji i obróbce świadomości?

W pana pytaniu pobrzmiewa uproszczenie, że gdy coś się dzieje, to jest albo białe, albo czarne – a gdy dzieje się coś złego, to za tym musi stać jakiś konkretny sprawca. Osobom niezaangażowanym w profesjonalne badanie procesów społecznych umyka ich dwuwarstwowa natura. Pewne rzeczy rozwijają się spontanicznie, oddolnie. A obok przebiegają procesy, które są świadomie zaplanowane, choć nierzadko przynoszące niezamierzone efekty. Np. media społecznościowe, gdy przyjrzymy się pierwszym deklaracjom Marka Zuckerberga, nie były zbudowane z zamysłem wydobywania z człowieka najgorszych instynktów, stymulowania hejtowania, skłócania i uzależnienia od Facebooka. Jednak w momencie, gdy społeczności zaczęły spontanicznie ewoluować w kierunku degradowania komunikacji międzyludzkiej, w tym politycznej,

okazało się, że można na tym zarabiać miliardy. Zaczęto świadomie sterować algorytmami, tak by zwiększały czas spędzany przed ekranem, promując coraz nędzniejsze intelektualnie i moralnie, ale chwytliwe przekazy. Jednowymiarowe myślenie ma skłonność do przedwczesnych konkluzji – w nadziei jak najszybszego uchwycenia problemu. Ale te procesy są niejednoznaczne, bo dopiero gdy negatywny potencjał tych mediów odsłania swój potencjał biznesowy, to wtedy jest on świadomie potęgowany, bez zwracania uwagi na koszty moralne. Ale media społecznościowe nie zostały stworzone z takim zamysłem.

Nie przyznaje pan pierwszeństwa polityce? Że za wszystkimi tymi procesami, także za rynkiem i korporacjami, stoi polityka i konkretni ludzie, którzy mają swoje cele do zrealizowania?

Polityka, w tym pragnienie władzy, ma pierwszeństwo tylko w niektórych kontekstach. Zgadzam się np. z tezą, że gdy niektórzy cyberpanowie posmakowali

Fot. Andrzej Wiktor

potęgi korporacyjnej i finansowej, to rozwinęły w sobie ambicje polityczne. Nie są to chyba jednak klasyczne ambicje polityczne w stylu pragnienia formalnego przejścia władzy w państwie. To raczej ambicje sterowania procesami zmian kultury za pomocą narzędzi technologicznych. Są to więc ambicje metapolityczne. Część cyberpanów jest przekonana, że są inteligentniejsi od polityków, że myślą od nich bardziej długodystansowo i że ścieżkami rewolucji cyfrowej są w stanie zmieniać świat na lepsze.

A więc właściciele Big Techu od pewnego momentu mają cele polityczne, a nie biznesowe. Mówi pan o tym w książce. Dostrzegając proces końca klasycznej demokracji, zwraca pan uwagę, że wcale tak bardzo nie przyspieszają go ruchy populistyczne czy zwrot ku autorytaryzmom, ale że zza weneckiego lustra niewidzialni dla nas władcy korporacji cyfrowych dokonują podboju codzienności.

Nie jestem pierwszym, który mówi o końcu demokracji. Na ten temat mówi się co najmniej od kilkunastu lat. Nie jestem też twórcą formuły lustra weneckiego, którą zaczerpnąłem – jako bardzo trafną – od prof. Shoshany Zuboff. Głoszę tezę, również u niej obecną, ale do której doszedłem niezależnie: nie zrozumimy dzisiejszych tarapatów demokracji bez uwzględnienia negatywnego wpływu zatrucia infosfery spowodowanego przez Big Tech na świadomość miliardów ludzi, w tym elit. Zatem jeśli chcemy ocalać demokrację, to źródła jej zapaści musimy widzieć raczej w Dolinie Krzemowej aniżeli w umysłach ideologów skłonnych do autorytarnych czy faszystowskich idei.

Tymczasem lewica zdradziła, że swoją wojnę prowadzi na polu kultury. Jest taranem wielkiego kapitału niszczącego społeczeństwo, przekształcającego je w zbiór egoistycznych konsumentów?

Tu idę tropem Vivka Ramaswamy, amerykańskiego biznesmena indyjskiego pochodzenia, którego książkę „Woke, Inc.” również przywołuję. Wykazał on,

że przemiana lewicy socjalnej, widzącej źródła napięć społecznych w ekonomicznej logice kapitalizmu, w lewicę obyczajową, która w strukturach kulturowych znalazła źródła rozmaitych niesprawiedliwości, jest operacją, która dla wielkich korporacji okazała się bardzo korzystna. Korporacje, finansując rozmaite fundacje i media, zamieniły sporą część lewicy w rodzaj piesków salonowych, działających tylko na tych polach, które dla wielkiego kapitału są korzystne. A korzystne jest zamienianie ludzi w głęboko zatamizowanych, gorliwych konsumentów, którzy w imię hedonizmu odwracają się od tradycyjnych wspólnot.

Polaryzujące algorytmy wykonują tę samą robotę co agentura Władimira Putina

Te pieski salonowe zdają się jednak bardzo groźne.

Są groźne, bo wielki kapitał, jego media i generowane przez niego algorytmy dostarczają tej lewicy paliwa. Ramaswamy tłumaczy, że ruchy walczące o planetę, narzucające biznesowi strategię ESG (environmental, social and governance), nurt LGBT+, zwalczanie tzw. systemowego rasizmu w USA, to zasłona dymna rozsnuwana przez lewicę za pieniądze wielkiego kapitału, by był on jeszcze większy. Aktywiści lewicy otrzymują z tego zaledwie okruchy.

Pana diagnoza jest głębsza, bo wyjaśnia pan, że panowie z Doliny Krzemowej wykonują dokładne tę samą robotę co Władimir Putin. Polaryzują wolne społeczeństwa aż do poziomu niewydolności demokracji.

Nie należy tego pojmować zbyt prosto. Nie wiem, na ile cyberpanowie robią to świadomie, ale polaryzujące algorytmy wykonują tę samą robotę co agentura Władimira Putina. W interesie tego ostatniego jest pokazanie, że demokracja zachodnia nie działa, że tęsknota za wolnością i dobrobytem

przynoszonym przez demokrację jest nieporozumieniem, bo przecież jest ona strasznie ułomna, skłóca całe społeczeństwa. Media społecznościowe degradują demokrację, w tym jej zdolność do racjonalnego rozwiązywania problemów. Przez splot pewnych procesów historycznych nastąpiło sprzężenie efektów wywoływanych przez media Big Techu i różne przedsięwzięcia Władimira Putina – z Nord Streamem na czele. Wojna na Ukrainie jest może szansą na poważną refleksję, choć na razie nie dostrzegam objawów uświadomienia sobie tego, że niezależnie od intencji rosyjskie operacje przeprowadzane przez tajne służby i algorytmy kalifornijskiego Big Techu przynoszą zbieżne rezultaty.

Może partyjna demokracja ma w sobie gen autodestrukcji? Była w stanie wytrzymać rozwój mass mediów, ale w świecie, w którym jesteśmy podłączeni do smartfonów i algorytmy napuszczają nas na siebie, nie wytrzymuje. W USA nie chcą już tylko wygrywać wyborów, lecz także zniszczyć swoich przeciwników.

Dzieją się procesy o skali systemowej, tak gęsto powiązane, że często jest trudno ustalić, co jest przyczyną, a co skutkiem. Czy to demokracja, która wyewoluowała w pewne pasożytnicze, skorumpowane konfiguracje partyjne przyczyniła się do głębokiego wypłukania kapitału społecznego zaufania? Czy raczej polaryzujące efekty algorytmów Big Techu spowodowały niewydolność systemów partyjnych do uczenia się na błędach? W dodatku pod hasłem transparentności jeszcze bardziej powiększa się infozgiełk, za którego zasłoną biznes może bezkarnie korumpować elity polityczne. To sytuacja korzystna dla korumpujących i korumpowanych – lud otrzymuje cyfrowe zabawki oraz igrzyska i nie jest w stanie odróżnić zjawisk spontanicznych od zmanipulowanych. Z czym zresztą mają problem również badacze i eksperci.

Świat się pod tym względem degrдуje?

Taka jest moja opinia. Rewolucja cyfrowa jest w takiej fazie, że przez destrukcję przestrzeni komunikacji spo-

leczej i politycznej nastąpiła degradacja intelektualna i moralna sporej części ludzkości. Oto paradoks: liczba i złożoność problemów, przed którymi stoi ludzkość, skokowo wzrosła, a wydolność intelektualna ludzi oraz instytucji publicznych mających te problemy rozwiązywać spada.

W dorosłe życie wchodzi pokolenie, które nie pamięta czasów sprzed internetu. To ludzie bardzo różni od nas?

Wielu młodych jest dość istotnie innych od nas, choć części rodzin udaje się te procesy przechwycenia umysłów młodzieży trochę wyhamować. Ale wylania się typ człowieka digitalnego, którego psychika nie jest jeszcze chyba w pełni odszyfrowana. W badaniach prof. Jacka Kurzępy, który od lat zajmuje się młodymi ludźmi, przewija się rozpaczliwe hasło: „Pozwólcie starszym zrozumieć siebie”. Zagony cywilizacji cyfrowej tak odmieniły psychikę, intelekt i wrażliwość młodych ludzi, że my, starsi, bliżej kontaktując się z nimi, często mamy wrażenie wchodzenia na terytorium obcej kultury, która nie chce nam odsłonić, czym właściwie jest.

Dlaczego tak się dzieje?

Nie jest tak, że młodzi mają wrodzone, złe instynkty, ale nastąpiło rozdarcie przestrzeni komunikacyjnej. Oczekiwania rodziców i dziadków wobec młodych tak się rozbiegają, że w pewnych rodzinach trudno przeprowadzić głęboką rozmowę, bo wiąże się ona z dużym dystansem i napięciem emocjonalnym. Znane są przecież gwałtowne reakcje młodych ludzi, którym rodzice odcinali internet. Przykładowo prof. Ian Bogost twierdzi, że poważnym błędem było stworzenie warunków, w których każdy czuje się uprawniony do tego, by oceniać wszystkich. Radzi, by coś radykalnego zrobić z mediami społecznościowymi, by przywrócić normalny rozwój jednostek i społeczeństw.

Media społecznościowe są społecznościowe tylko z nazwy, bo działają zupełnie przeciwnie, niszczą wspólnotowość?

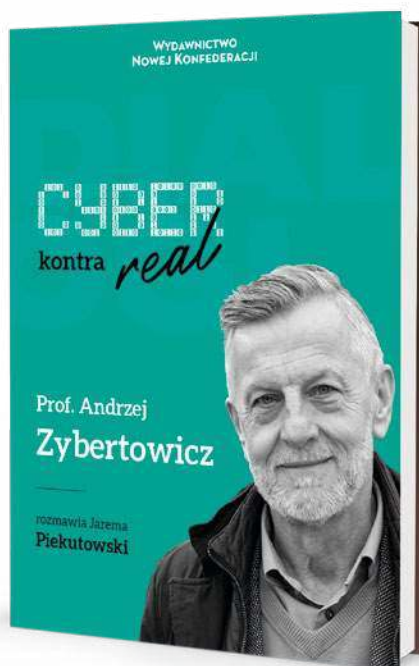
Jako socjolog i ojciec twierdzę, że odspoleczniają. Młodzi ludzie przestali z sobą

randkować, wielu nie jest zainteresowanych ani związkami romantycznymi, ani seksualnymi, które od tysiącleci były spoiwem społecznym.

Czy internet można jeszcze nazywać źródłem wiedzy?

Tak wygląda tylko na pierwszy rzut oka. Miał nam oszczędzać czas, a doprowadził do ciągłego pośpiechu. Miał budować więzi społeczne, a je rozrywa. Miał pozwolić na przeciwstawienie się reżimom autorytarnym, a stał się narzędziem inwigilacji ludzi przez wielki kapitał oraz tyranów. Działa wbrew obietnicom sprzed lat. Ci, którzy rządzą algorytmami, docierają ze swoim przekazem, ale ci, którzy nie mają takich możliwości, są bez szans. Można prowadzić świetnego bloga, na którego nikt nie będzie zaglądał, albo być patostreamerem i mieć milionowe zasięgi. To jest właśnie świat internetu, świat odwróconych wartości. To więzienie z dużą liczbą pokoi, w których można sprzątać rozmaite quasi-intelektualne psikusy bez świadomości, że pokoje te mają szklane ściany – niby wszystko przez nie widać, ale nie można przez nie przejść. Tymi ścianami są algorytmy decydujące o tym, co mamy wiedzieć, jak myśleć i na co mamy być wrażliwi.

Czy jest możliwe wielkie spowolnienie, które pan postuluję? Moratorium



technologiczne ograniczające wyścig cyfrowy? Może to skrajny przykład, ale Chiny ograniczyły nieleżalną możliwość gier online do trzech godzin tygodniowo, porównując spustoszenia wywołane przez nie do opium.

U genezy Facebooka była idea lepszej komunikacji w ramach wspólnoty akademickiej. W efekcie przekształcono całą przestrzeń komunikacji społecznej, dostarczając usługę, która miała być darmowa i dostępna dla każdego na tych samych przejrzystych zasadach. Jednak arbitralnie zmieniono te zasady, decydując, kto i kogo może oglądać, kto może w nim być najbardziej widzialny. Poza tym, jeśli jakieś dobro uzyskuje charakter usługi publicznej, to powinno podlegać ono takiemu samemu nadzorowi jak inne usługi. Skoro chronimy się przed zatruciem wody lub powietrza, to mamy jako obywatele prawo chronić się przed zatruciem infosfery. Wymiana informacji jest ludziom tak samo potrzebna do życia jak pokarm, woda i powietrze. Państwo powołało instytucje kontrolujące jakość produkcji leków, żywności oraz wody i jak najszybciej trzeba poddać kontroli dostarczycieli informacji. Są jednak na tyle skuteczni w lobbowaniu polityków, że to bardzo trudne. Coś w rodzaju wielkiego spowolnienia nastąpi jedynie w reakcji na jakiś kolejny, ale znacznie potężniejszy kryzys. Bo sama racjonalna diagnoza nie jest wystarczająco silnym bodźcem do wprowadzania niezbędnych reform. Trudno jest przekonać kogoś do zrozumienia jakiejś kwestii, jeśli od jej niezrozumienia zależy czyjaś pensja.

To potwierdza opinię, że punktem oceny siły rządów technokratycznych jest ich skala, ale też względna bezsilność krytyków. Cyfrowa oligarchia będzie bała się utraty władzy?

Kryzys może być spowodowany kolejnymi generacjami sztucznej inteligencji – dziś jest to chatGPT. Ludzie, których dochody zależą od dalszej promocji strukturalnie zatrutej infosfery, bronią się przed diagnozami jak te, które proponuję. Nie jestem tu wyjątkiem. Nie tak mało intelektualistów brytyjskich, francuskich, niemieckich, amerykańskich, choć odmiennie rozkładając akcenty, daje podobną diagnozę ułomności cywilizacji cyfrowej.



Harry i Meghan, czyli kult otwartości

W swojej autobiografii najmłodszy z synów króla Karola wylewa pomyje na rodzinę oraz ujawnia osobiste sekrety, o których wolelibyśmy nie wiedzieć. Jest to konsekwencją mody na publiczną wiwisekcję. Zachowywanie czegokolwiek w tajemnicy jest dziś uważane za złe i szkodzące zdrowiu psychicznemu



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Podejście brytyjskiej rodziny królewskiej do mediów i własnej roli w społeczeństwie jest zawarte w stosowanej przez nią od dekad zasadzie: „Nigdy nie należy narzekać ani się tłumaczyć”. Tzw. stiff upper lip, czyli trzymanie fasonu, jest zresztą czymś bardzo brytyjskim. Poczucie obowiązku, samodyscyplina, sumienność i życzliwość były – jeśli wierzyć brytyjskiemu dyplomacie Amee-rowsi Kotechy – głównymi cechami zmarłej we wrześniu ub.r. królowej Elżbiety II. Ce-

chami, które posiada bądź chce posiadać także jej syn, obecny król Karol III, oraz jej najstarszy wnuk i następca tronu William.

Bycie członkiem rodziny królewskiej ma oczywiście swoją cenę. Nie łatwo jest wytrzymać obsesyjne zainteresowanie mediów. Co ważne, brytyjska monarchia niemająca funkcji politycznej, opiera się dziś przede wszystkim na społecznym poparciu, które oscyluje w granicach od 50 do 60 proc. Jest to poziom, o którym mogą tylko marzyć brytyjskie partie polityczne. By móc to poparcie utrzymać, Windsorowie potrzebują rozgłosu, czyli swoich zdjęć w tabloidach. Większość z nich zdaje się to rozumieć. Ale nie Sussexowie, czyli książę Harry i jego żona Meghan.

PARADA BANAŁÓW

Książęca para przeniosła się po rezygnacji przez Harry'ego z pełnienia oficjalnych

funkcji w rodzinie królewskiej do Montecito w Kalifornii, gdzie zajęła się ekshibicjonistycznym ujawnianiem rodzinnych sekretów oraz uzalaniem się nad wymuszonym życiem w złotej klatce Windsorów. Biedny, mały, bogaty książę i jego nieszczęśliwa żona. Najpierw był wywiad z Oprah Winfrey. Dostarczył on widzom rozrywki, a przy okazji pozwolił Sussexom na autoinscenizację. Były lzy, oskarżenia o rasizm (mgliste i niepodparte żadnymi dowodami), przyznanie się do problemów psychicznych i właściwa dawka politycznej poprawności, w sam raz dla świadomego społecznie odbiorcy za oceanem. Piątemu w kolejce do brytyjskiego tronu i jego małżonce udało się przy tym nie lada sztuka: para utożsamiana z białym przywilejem przybrała szaty ofiar dyskryminacji w postaci skostniałych reguł i krzywdzącej dworskiej etykiety, która miała zamienić marzenie Meghan o byciu księżniczką rodem z bajek Disneya w koszmar.

Potem były podcasty na platformie Apple, podczas których księżna udawała, że prowadzi wywiady ze znanymi osobistościami, jak Serena Williams czy Elton John. Udawała, ponieważ tak naprawdę mówiła o sobie. Krytyk James Marriott z „The Times” opisał je jako „gustownie udźwiękowioną paradę banałów, absurdów i kalifornijskich frazesów”. Według niego podcasty „sprawiają, że poczujesz się, jakbyś był zamknięty w pokoju relaksacyjnym spa z niezwykle zaangażowanym instruktorem jogi”.

Sussexowie postanowili także opowiedzieć swoją wersję wydarzeń w sześciu odcinkowym dokumencie na Netflixie. Z trudem przez niego przebrnęłam. Padły tam oskarżenia wobec mediów, które nękały księżną Dianę, a potem Harry’ego, a jeszcze bardziej jego ciemnoskórą żonę. Młody książę wręcz sugeruje, że były one winne nie tylko śmierci jego matki, ale także poronieniu Meghan w lipcu 2020 r. Chodzi oczywiście o proces księżnej z tabloidem „The Mail on Sunday” w sprawie publikacji jej listu do ojca. „Nie – mówi Harry – nie wiadomo, czy poronienie właśnie z tego wynikało, ale cały ten stres wtedy...”. Sześć godzin pretensji, lamentów oraz cukierkowo-słodkich zapewnień małżonków o wzajemnej miłości, której zły dwór nie chciał zaakceptować. Z bratem Harry’ego, Williamem, na czele. Żadna myśl, żaden szczegół nie jest wystarczająco blady, by nie podać go do publicznej informacji. Ich lokum na terenie pałacu Kensington po ślubie było za małe (Nottingham Cottage liczy 123 m²), sufity za niskie, a meble z Ikei. Nawet Oprah była „przerażona, w jakich warunkach mieszkali”. Nikt ich nie doceniał, czuli się osamotnieni, a paparazzi dopadli ich nawet w Kalifornii. Tymczasem oni chcą tylko pomóc tym, którym nie wszystko w życiu się udało. Meghan w tym celu pisała na bananach „jesteś kochana/y” i wręczała je seksworkerom. Żenujące? Jak najbardziej, ale zdaniem Sussexów najwyraźniej nie na tyle, by przestać.

DYSKRECJA? RELIKT PRZESZŁOŚCI

Najnowszym elementem publicznej wisksekcji intymnego życia progenitury Windsorów jest autobiografia Harry’ego pod tytułem „Spare” (Zapasowy), którą

można też kupić w Polsce. A w niej znów długie lamenty nad trudnym losem. Ojciec go nie przytulił po śmierci matki, brat William go nie lubi i dostarczał tabloidom informacje o nim, a rodzina nie chciała go utrzymywać, gdy wraz z żoną wyjechał do USA. Ponadto Elżbieta II zamieniła jego pokój w Clarence House na garderobę. Miał on wtedy wprawdzie już 28 lat i własny dom, ale „i tak bolało”. Straszne są te krzywdy, straszne. Karol jest królem, William następcą tronu, a on Harry piątym kołem u wozu. Niczym małe dziecko dorosły przecież książę, ojciec i mąż, wylewa żale na rzekomy emocjonalny chłód w domu Windsorów, na prasę i wszystkich, którzy nie chcieli go wspierać. To wszystko zostało okraszone pikantnymi szczegółami z życia księcia: Meghan śpiewała z fokami („czyż ona nie jest bajeczna!”), on sam pobił się z bratem, a podczas wyprawy na biegun północny (prawie) odmroził sobie penisa i ulżył sobie, smarując go pomadą do ust zmarłej matki. Pierwszy seks odbył za pubem z dużo starszą kobietą, która miała „potraktować go jak ogiera”. Ponadto brał narkotyki (na imprezie u aktorki Courteney Cox pod wpływem halucynogennych grzybków prowadził rozmowę ze śmietnikiem i z muszlą klozetową), a podczas służby w Afganistanie zabił 25 talibów. Za dużo informacji? Nie szkodzi, jak podkreślił Harry w jednym z wywiadów, ujawnianie szczegółów z własnego życia jest takie „oczyszczające”.

W dzisiejszym czasie modne jest bycie „autentycznym”. A można to tylko osiągnąć, będąc całkowicie otwartym. Sekrety są niezdrowe, rodzą frustrację i neurozy – stanowi credo psychologii klinicznej od czasów Zygmunta Freuda. Być sobą, bez żadnych ogródek i osiągnąć akceptację bez względu na okoliczności – to podstawowe założenie ruchów postępowej lewicy, jak LGBT+ czy trans. Należy przy tym być jak najmniej samokrytycznym. Harry zdaje się nawet nie zauważać, jak idiotycznie brzmią jego skargi, biorąc pod uwagę jego uprzywilejowane wychowanie. Ale tak to już jest w świecie milenialsów i zetek. Własne potrzeby emocjonalne są ważniejsze od rodziny, pracy, społeczeństwa, obowiązku. Narcyzm jako konieczne narzędzie przetrwania. Jeśli ktoś nie jest gotów ujawnić wszystkiego, to znaczy, że ukrywa coś ponurego, jak np. przemoc. Dyskrecja? Relikt przeszłości.

W dobie Instagrama, Facebooka i TikToka, gdzie miliony ludzi dzielą się swoim życiem, nawet tym najbardziej intymnym, na prywatność nie ma już miejsca. Ponadto trzeba z czegoś żyć, a Sussexowie znaleźli wygodne narzędzie generowania dochodów: skarżą się w mediach i na media, sprzedają własną prywatność, choć twierdzą, że niczego bardziej nie pragną niż prywatności właśnie. Prawdziwe perpetuum mobile. Znienawidzone media i nazwisko Windsor powodują, że Harry i Meghan nie będą musieli w najbliższym czasie rezygnować z luksusu, do którego się przyzwyczaili.

KONKURENCJA DLA HARRY’EGO POTTERA

Autobiografia Harry’ego ma oczywiście szansę zostać bestsellerem. W każdym razie na Wyspach. Według wydawnictwa Penguin Random House dotychczasowa sprzedaż przekroczyła tam 400 tys. egzemplarzy. Możliwe, że pamiętniki księcia wyprzedzą nawet książki z serii o Harrym Potterze J.K. Rowling. Na pewno wywołały już teraz więcej kontrowersji.

Emerytowani wojskowi mają pretensję do Harry’ego, że ujawnił, ilu talibów zabił, twierdzą, że wystawił się na ryzyko zemsty islamistów. Ponadto określił zabitych mianem „pionków do usunięcia”. Nie jest to najszcześniejsze sformułowanie. Inni zarzucają mu prowadzenie publicznej autoterapii, dziecinność i hipokryzję. Zapewne nakręci to jeszcze sprzedaż.

Po polsku książka ukaże się w marcu pt. „Ten drugi”. Ale już teraz można ją nabyć w przedsprzedaży. Ale nie wszędzie budzi zainteresowanie. Nikle jest choćby w Australii. Już w dokumencie Netflix’a wiało nudą, a Harry zdaje się nie mieć nic innego do zaoferowania niż wciąż te same pretensje do mediów i rodziny. Taki odgrzewany kotlet w końcu nawet najbardziej zatwardziałym podglądaczom się przeje. Ale jak napisała na Twitterze amerykańska osobowość telewizyjna Meghan McCain: „Wszyscy wpadliśmy do tunelu czasoprzestrzennego, w którym nigdy nie będziemy wolni od nawet najdrobniejszego szczegółu z życia księcia Harry’ego”. I dodaje: „To się nigdy nie skończy. On nigdy nie pozwoli nam żyć!”

Euro w portfelu zabolęło Chorwatów

Wystarczyło kilka dni, aby zaczęły się „kłopoty w raju”. Niemal natychmiast po wprowadzeniu euro w chorwackich mediach pojawiły się informacje o dużych podwyżkach cen w sklepach i w sektorze usług. Po kraju rozlała się fala oburzenia



GORAN ANDRIJANIĆ

Miał to być wielki triumf chorwackiego centroprawicowego rządu kierowanego przez Andreja Plenkovića. W pierwszym dniu nowego roku Chorwacja miała – jak się wtedy wydawało – dwa powody do świętowania. Wejście do Schengen i do strefy euro.

1 stycznia 2023 r. przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen złożyła wizytę w Zagrzebiu. Piła kawę razem z Plenkovićem na jednym z zagrzebskich placów pełnych kawiarni, za którą zapłacono w euro. Dziennikarze oczywiście wszystko sfilmowali. Następnie politycy wygłosili kilka oświadczeń o tym, że „Chorwacja staje się integralną częścią Europy” i podobnych kurtuazyjnych stwierdzeń.

Krótko mówiąc, wszystko wyglądało idealnie. W Polsce Róża Thun, posłanka do Parlamentu Europejskiego z Polski 2050, napisała na portalach społecznościowych, że „zazdrości Chorwatom”. Jej szef Szymon Hołownia zaapelował do Polski, by poszła za przykładem Chorwacji i jak najszybciej przystąpiła do strefy euro. W podobnym tonie wypowiedział się Donald Tusk.

SZOK CENOWY I REAKCJA RZĄDU

Wystarczyło kilka dni, by przestało być tak pięknie. Niemal natychmiast po



wprowadzeniu euro chorwackie media alarmowały o podwyżkach cen w sklepach i w sektorze usług. Co się stało? Przechodząc z krajowej waluty – kuny – na euro handlowcy i przedsiębiorcy znacząco podnieśli ceny produktów i usług. Podrożały najważniejsze artykuły spożywcze, takie jak chleb, kawa, papierosy. Niektóre sieci handlowe podniosły ceny produktów o 10 proc., a w niektórych przypadkach o 20 proc. W działalności usługowej wzrost wahał się od 10 do nawet 80 proc.

Fala podwyżek cen wywołała oburzenie wśród obywateli, więc i rząd musiał zareagować. Premier Plenković spotkał się z przedstawicielami instytucji finansowych i zapowiedział wprowadzenie środków, które uchronią obywateli przed

nieuzasadnionymi podwyżkami cen. Zareagował także minister gospodarki Davor Filipović. Spotkał się z przedstawicielami stowarzyszeń handlowych i powiedział, że rząd nie pozwoli na nieuzasadnione podwyżki cen. Filipović dodał nawet, że handlowcy próbują oszukać obywateli. Chorwacki rząd potem zdecydował, że wszystkie podmioty gospodarcze, które bezpodstawnie podniosły ceny, muszą je przywrócić do poziomu sprzed wprowadzenia euro.

Handlowcy i ich przedstawiciele cały czas twierdzą, że podwyżki to efekt inflacji, a nie przeliczenia kun na euro. Część z nich dokonywała podwyżek jeszcze przed wprowadzeniem euro i obecnie trudno określić, co dokładnie jest przyczyną wyższych cen.

Rząd Plenkowicia nadal twierdzi, że handlowcy zachowują się nieodpowiedzialnie i grozi kontrolami sklepów oraz innych podmiotów gospodarczych, a także surowymi karami dla tych, którzy niepotrzebnie podnoszą ceny.

W chwili, gdy to piszemy, nie wiadomo, jak sytuacja będzie się rozwijać. Większość analityków twierdzi jednak, że znaczna część cen pozostanie na dotychczasowym poziomie, a państwo nie ma zbyt wielu narzędzi do interwencji na rynku w takich przypadkach.

BŁĘDNA DECYZJA POLITYCZNA

Główny problem – jak się wydaje – polega na tym, że decyzja o wejściu do strefy euro w dobie nękającej cały świat inflacji była błędna. Jednym z głównych jej krytyków jest ekonomista Ljubo Jurčić, emerytowany profesor Uniwersytetu w Zagrzebiu. Jurčić jest byłym ministrem gospodarki w rządzie socjaldemokraty Ivicy Račana, ale teraz występuje jak niezależny ekspert.

– To, co się dzieje, było do przewidzenia. Obecnie przechodzimy przez inflację, która jest poważną chorobą gospodarki. Kiedy króluje inflacja, wszystkie transakcje gospodarcze stają się nieprzejrzyste – mówi nam Jurčić. – Powinniśmy byli odłożyć wprowadzenie euro, bo nie trudno się domyślić, że w sytuacji inflacji można spodziewać się wzrostu cen. W tej chwili trudno jest określić, czy ceny wzrosły z powodu inflacji spowodowanej wzrostem cen energii i wojną na Ukrainie, czy też z powodu konwersji na euro. Trzeba zrozumieć, że należało się spodziewać, że przedsiębiorcy i handlowcy wykorzystają każdą okazję do poprawy swojej sytuacji na rynku. Jest to normalne zjawisko, dlatego przy okazji przeliczenia kuny na euro podniosą ceny – wyjaśnia chorwacki ekonomista.

Tak czy inaczej wielka euforia, która miała nastąpić według wizji probrukselskiego premiera Plenkowicia, nawet się nie zaczęła. Wprowadzenie euro stało się dość traumatycznym przeżyciem dla obywateli Chorwacji. Prawdę mówiąc, jeszcze przed podwyżką cen nie byli jednomyślni w swoim entuzjazmie dla europejskiej waluty. Większość badań wykazała, że ok. 40 proc. obywateli nie chce zniesienia waluty narodowej.

W drugiej połowie 2021 r. opozycyjna konserwatywna partia Chorwaccy Suwereniści próbowała politycznie artykułować to niezadowolenie. Zbierali podpisy pod referendum w sprawie wprowadzenia euro, jednak nie udało im się osiągnąć wymaganych 10 proc. podpisów zarejestrowanych wyborców, co wynosiło wówczas ok. 370 tys. podpisów (brakowało im 36 tys.). Było jednak jasne, że w Chorwacji istnieje duża masa krytyczna, która nie chce euro.

Właśnie dlatego dziwne było to, że przed wprowadzeniem euro w przestrzeni publicznej nie było bardziej dynamicznej dyskusji o zaletach i wadach europejskiej waluty. Głos Jurčića był jednym z nielicznych, które ostrzegały przed zagrożeniami związanymi z euro. Ekonomista od dawna powtarzał, że w dłuższej perspektywie euro przyniesie w Chorwacji negatywne skutki.

– Euro jest przez wielu traktowane jak złoty cielec z Biblii. Bożek, który jest nieustannie czczony i który powinien rozwiązać wszystkie nasze problemy gospodarcze. W tej chwili nie spełniamy żadnego z kryteriów, by naprawdę skoryzować z euro. Jego wprowadzenie jest nieudaną decyzją polityczną – ocenia Jurčić.

Ekonomista twierdzi, że formalne kryteria określone w porozumieniu z Maastricht nie zostały spełnione, ponieważ Chorwacja ma obecnie wyższą inflację, niż przewiduje to porozumienie. Zażeniesze ważniejsze uważa jednak niespełnienie gospodarczych kryteriów realnych: – Mówię o kryteriach związanych z tym, co w teorii ekonomii nazywa się optymalnym obszarem walutowym. Oznacza to, że kraj powinien mieć wystarczająco rozwiniętą gospodarkę, na równi z innymi krajami, z którymi dzieli walutę, tak by była ona dla niego korzystna. W tej chwili Chorwacja ma dwa i pół razy mniejszą siłę nabywczą na mieszkańca (13 tys. euro) niż średnia w strefie euro (ok. 30 tys.). Co więcej, nie zbliża się do niej w tej chwili. Tempo rozwoju gospodarczego w Chorwacji jest dwukrotnie niższe niż w strefie euro. Kolejnym kryterium jest stopa konkurencyjności mierzona udziałem eksportu w produkcie krajowym brutto. Tu też jesteśmy w kiepskiej sytuacji, ponieważ udział eksportu w naszym PKB dla

kraju naszej wielkości powinien wynosić ok. 60 proc., a teraz wynosi zaledwie 30 proc.

NIEOPTYMISTYCZNA PROGNOZA

Jak mówi Jurčić, przepaść gospodarczą między rozwiniętym Zachodem a Chorwacją stanie się teraz nie do pokonania, ponieważ Zagrzeb wyrzekł się bardzo ważnego elementu polityki gospodarczej – narodowej waluty.

– Waluta narodowa jest niezwykle ważnym narzędziem regulującym procesy gospodarcze. Regulacja kursu waluty narodowej jest narzędziem faworyzowania gospodarki krajowej w stosunku do gospodarek innych krajów i ich produktów na wspólnym rynku. Ochrona krajowej gospodarki i stymulowanie wzrostu gospodarczego – to dwa podstawowe instrumenty wzmocnienia gospodarki. Niestety, Chorwacja nie robi tego od dziesięcioleci i zamiast tego zamroziła kurs, stąd jesteśmy w złej sytuacji. Różnica między nami a rozwiniętymi krajami europejskimi teraz zostanie kompletnie zamrożona, a dodatkowy dochód, który zagraniczny kapitał uzyska dzięki handlowi z Chorwacją, zostanie zainwestowany w zakup chorwackich nieruchomości – prognozuje Jurčić.

Zdaniem tego ekonomisty przyszłość gospodarcza Chorwacji nie rysuje się w jasnych barwach. – Chorwacja za 10 lat z ekonomicznej półkolonii stanie się kompletną kolonią. Wszystkie najcenniejsze chorwackie aktywa zostaną przekazane zagranicznemu kapitałowi. Tak stało się z Grecją, Włochami i Hiszpanią. Jednocześnie nasi najlepsi eksperci wyjeżdżają za granicę ze względu na lepsze płace i koło się zamyka.

Według Jurčića strefa euro nie jest w interesie krajów średnio i słabiej rozwiniętych. – Ten system odpowiada przede wszystkim sektorowi finansowemu i bankowemu, a także międzynarodowym korporacjom, które teraz zaczęły przybywać do Chorwacji i będą kontrolować naszą gospodarkę za pomocą wspólnej waluty. Można powiedzieć, że jest to rodzaj neokolonializmu. Brzmi to trochę ostro, ale chodzi o dominację krajów bardziej rozwiniętych nad mniej rozwiniętymi. Dlatego uważam, że polska i czeska polityka wobec euro jest mądra – konkluduje chorwacki ekspert.

Richard Sulík

Igor Matovič

Ostry skręt na Słowacji

W Bratysławie jest oczekiwana zmiana rządu. Dlaczego? Bo rozpadła się centroprawicowa koalicja. Wszystko wskazuje na to, że następna władza będzie bardziej wstrzemięźliwa wobec Ukrainy



GRZEGORZ GÓRNY

Ostatni sondaż na Słowacji wykazał, że 28 proc. obywateli tego kraju życzy sobie zwycięstwa Rosji w obecnej wojnie, 32 proc. pragnie triumfu Ukrainy, a 40 proc. nie ma na ten temat zdania. Według badania przeprowadzonego przez renomowany think tank GLOBSEC już po rozpoczęciu konfliktu zbrojnego na Ukrainie i ujawnieniu zbrodni wojennych Rosjan aż 37 proc. Słowaków uznawało Moskwę za głównego

partnera strategicznego swojego kraju, a 39 proc. największe zagrożenie dla bezpieczeństwa własnego państwa widziało w Stanach Zjednoczonych. To najwyższe tego rodzaju współczynniki w całej Europie, pokazujące radykalnie odmienne nastawienie opinii publicznej wobec tego, które panuje np. w Polsce czy w Czechach.

Dopiero na tym tle widać, jak odróżniała się od nastrojów dużej części słowackiego społeczeństwa polityka centroprawicowej koalicji, która doszła do władzy na początku 2020 r. Do dziś wspiera ona Ukrainę zarówno zbrojnie, jak i humanitarnie. Choć rząd w wielu sprawach prezentuje inne stanowisko niż liberalna prezydent Zuzana Čaputová, to jednak w sprawie pomocy dla Kijowa mówili oni jednym głosem. Jednak pod koniec ub.r. koalicja rządowa rozpadła się i wkrótce odbędą się przedterminowe wybory, które przy-

niosą zapewne – jak pokazują sondaże – radykalną zmianę na słowackiej scenie politycznej. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że nowa władza będzie znacznie bardziej wstrzemięźliwa wobec Ukrainy.

PORAŻKA NA WŁASNE ŻYCZENIE

Kiedy dwa lata temu rządy w Bratysławie objęła centroprawica, wydawało się, że pozostanie ona u władzy na długo. Zdobyła bowiem konstytucyjną większość 95 mandatów w 150-osobowym parlamencie, a lewicowa opozycja była nie tylko podzielona, lecz także skompromitowana licznymi aferami korupcyjnymi. Socjalistyczny premier Robert Fico musiał ustąpić w atmosferze skandalu po zabójstwie dziennikarza śledczego Jána Kuciaka. Wydawało się wówczas, że nie ma on żadnych szans na odzyskanie zaufa-

nia społecznego. Zwycięski obóz centroprawicowy doszedł z kolei do władzy pod hasłem oczyszczenia życia publicznego z różnych patologii, które symbolizowała poprzednia ekipa.

Mimo olbrzymiej przewagi w parlamencie i dużego zaufania społecznego koalicja rządowa nie dotrwała do końca kadencji i rozpadła się po dwóch latach. Zadecydowała o tym głównie samobójcza wojna kluczowych przywódców, brak wspólnych priorytetów programowych oraz nieumiejętność komunikowania swojej polityki społeczeństwu.

Największy spór wybuchł między premierem i przewodniczącym największej partii OĽaNO (Zwyczajni Ludzie i Niezależne Osobistości) – Igorem Matovičem oraz wicepremierem, ministrem gospodarki i szefem ugrupowania SaS (Wolność i Solidarność) – Richardem Sulíkiem. Między tymi politykami od dawna panowały napięte stosunki. W 2010 r. Matovič został bowiem z hukiem wyrzucony z partii Sulíka, a cała awantura na prawicy skończyła się rok później odwołaniem gabinetu Ivety Radičovej. Obecny konflikt między liderami doprowadził już do drugiego w ciągu ostatniej dekady upadku prawicowego rządu.

Spór między nimi nie ograniczał się jednak jedynie do spraw personalnych, lecz obejmował również kwestie programowe. OĽaNO i SaS różniły się w zbyt wielu kwestiach, by dało się dłużej utrzymać współpracę. Partia Matoviča dążyła np. w czasie pandemii do maksymalnego lockdownu, łącznie z przymusowymi przerwami w pracy, podczas gdy ugrupowanie Sulíka wręcz przeciwnie – sprzeciwiało się zamrażaniu działalności całych sektorów gospodarki. O ile pierwsi w ekonomii byli prosocjalni, o tyle drudzy – wolnorynkowi. Pierwsi w kwestiach obyczajowych prezentowali konserwatyzm, drudzy – liberalizm. Do szczególnej próby sił doszło, kiedy Matovič zaproponował wprowadzenie nowego dodatku prorodzinnego, a Sulík zdecydowanie się temu przeciwstawił. Ostatecznie lider OĽaNO przeorsował swój pomysł dzięki poparciu opozycji. To spowodowało jednak dramatyczny spadek zaufania między koalicjantami.

W kwietniu 2021 r. Sulík zagroził wyjściem z rządu, jeśli Matovič nie zrezygnuje z funkcji premiera. Ten ostatni musiał ustąpić, a na czele gabinetu stanął jeden z jego najbliższych współpracowników – bezbarwny i niewyróżniający się dotąd niczym Eduard Heger. We wrześniu 2022 r. partia SaS posunęła się o krok dalej i zerwała koalicję rządową. Gabinet stracił wówczas większość w parlamencie, a trzy miesiące później przegrał głosowanie w sprawie wotum zaufania. Prezydent Čaputová ogłosiła rozpisanie nowych wyborów.

Mimo olbrzymiej przewagi w parlamencie i dużego zaufania społecznego centroprawicowa koalicja rządowa nie dotrwała do końca kadencji i rozpadła się po dwóch latach. Zadecydowała o tym głównie samobójcza wojna kluczowych przywódców, brak wspólnych priorytetów programowych oraz nieumiejętność komunikowania swojej polityki społeczeństwu

PRZEORIENTOWANIE POLITYKI WSCHODNIEJ

Notowania rządzącej centroprawicy w ostatnich sondażach są dramatycznie niskie, a jej ugrupowania balansują na krawędzi progu wyborczego. Czekają więc porażka na własne życzenie. Z badań demoskopijnych wynika, że największe szanse na zwycięstwo mają dwie formacje socjalistyczne: SMER Roberta Ficy i Hlas Petera Pellegriniego. Jeszcze dwa lata temu wydawało się, że lewica długo nie podniesie się z kryzysu po skandalach korupcyjnych, jednak nieudolność i we-

wewnętrzne skłócenie prawicowej koalicji sprawiły, że socjaldemokracja jawi się na tym tle jako ostoja przewidywalności, powagi i stabilności. Na duże poparcie może też liczyć nacjonalistyczna Partia Ludowa Nasza Słowacja na czele z Marianem Kotlebą.

Wspomniane ugrupowania, którym sondaże dają największe szanse na triumf w najbliższych wyborach, łączy jedno: sprzeciw wobec pomocy wojskowej Ukrainie, podszyty prorosyjskimi sympatiami i antyamerykańskim resentymentem. Ich wygrana zdaniem socjologów może być jeszcze większa, niż wynika z badań, ponieważ konserwatywny i prozachodni elektorat, sfrustrowany i zdemobilizowany zachowaniem swoich przywódców, może nie pójść na wybory.

Już w tej chwili socjaliści i nacjonaści deklarują, że Słowacja powinna wysłać na Ukrainę więcej pomocy humanitarnej, ale ani jednego pocisku. Jak skomentował to czeski publicysta Peter Vavro: „Wyślijmy im lekarstwa i żywność, ale poza tym pozвольmy im umrzeć w pokoju, jeśli nie chcą pokoju Putina”.

Podobnej zmiany w polityce zagranicznej spodziewa się Jaroslav Daniška, redaktor naczelny słowackiego portalu Denník Štandard. Jego zdaniem rząd Hegera w sprawach ukraińskich nie reprezentuje stanowiska większości społeczeństwa, którego poglądy są bliższe raczej papieżowi Franciszkowi i Viktorowi Orbánowi. Zdaniem Daniški wyrazem tego może być większy sprzeciw wobec sankcji nakładanych na Rosję, które według niego bardziej szkodzą samej Europie.

Istnieje więc duże prawdopodobieństwo, że już wkrótce na Słowacji dojdzie do zmiany rządów. Skończą się nieustanne awantury w obozie władzy i zapanuje większy spokój na scenie politycznej. Ukrócona zostanie zapewne walka z mafią i korupcją. Dla Polski największe znaczenie mieć będzie jednak zmiana w polityce wschodniej Bratysławy. Obecny układ rządowy był dla nas idealny, ponieważ podzielał w tych sprawach nasz punkt widzenia. Zapewne każdy następny rząd będzie pod tym względem gorszy.

Dłużej pracować, więcej płacić

Berlin i Paryż reformują emerytury



JAN ROKITA

W dwóch kluczowych krajach Unii Europejskiej 2023 r. zaczyna się od wielkich debat i konfliktów na temat emerytur.

64 LATA WE FRANCJI, 70 LAT W NIEMCZACH

W ubiegły poniedziałek francuska premier Élisabeth Borne ogłosiła sztandarowy projekt reformatorski, którego istotą jest podniesienie wieku emerytalnego do 64 lat oraz wydłużenie do 43 lat okresu płacenia składek, koniecznego do uzyskania pełnej emerytury. Odpowiedzią zarówno opozycji na prawicy, jak i na lewicy jest sprzeciw wobec reformy, a osiem central związkowych wraz z organizacjami młodzieżowymi wyspecjalizowanymi w robieniu zadym porozumiewa się właśnie w celu ustalenia terminu „pracowniczej mobilizacji”. Marine Le Pen dziwi się na Twitterze, jak rząd w ogóle ma śmiałość podnosić wiek emerytalny w kraju, w którym (jak pokazują sondaże) 70 proc. obywateli sprzeciwia się takiej



decyzji, i zapowiada jej zablokowanie przez prawicę. Z kolei lider lewicy Jean-Luc Mélenchon piętnuje projekt jako przynoszący poważny regres społeczny. Więc bez dwóch zdań – w Paryżu szykuje się ostre polityczne przedwiośnie, a palenie sklepów, samochodów i odwetowe akcje wyjątkowo brutalnych oddziałów policji CRS – to będą obrazki, które już wkrótce będziemy znów oglądać w korespondencjach znad Sekwany.

Z kolei w Berlinie wybuch narodowej debaty na temat emerytur wywołał nie rząd, ale instytucja specyficzna dla niemieckiego systemu władzy: Niemiecka Rada Ekspertów Ekonomicznych, zwana potocznie „radą pięciu mędrców”. Szefowa „mędrców” – monachijska prof. Monika Schnitzer – sformułowała bowiem trzy dezyderaty skierowane do Bundestagu i rządu, wskazujące na reformy niemieckiego systemu emerytalnego, które należy pilnie podjąć dla jego ratowania. Są to: po pierwsze – podniesienie składek emerytalnych powyżej limitu 20 proc. wynagrodzeń, który obowiązuje w Niemczech na mocy swoistego kontraktu społecznego. Po drugie – obcięcie najwyższych emerytur wypłacanych z systemu ubezpieczeniowego. I po trzecie – rozpoczęcie podwyższania wieku emerytalnego w taki (trzeba przyznać wymyślny i inteligentny) sposób, żeby powiązać jego obecną wysokość z corocznym wskaźnikiem średniego wzrostu długości życia. A ponieważ ów wskaźnik ostatnimi laty cały



Fot. Shutterstock/Shutterstock.com

czas w Niemczech rośnie, więc jeśli taki trend się utrzyma, to w długiej perspektywie czasowej wiek emerytalny miałby podnosić się powoli i automatycznie aż do 70. roku życia. Taką górną granicę docelowo wskazują właśnie „mędrcy”.

BUDŻETOWY PROBLEM

I choć systemy emerytalne Niemiec i Francji dzielą znaczne różnice, argumentacja na rzecz reform w obu krajach jest podobna. Kluczowy argument to ryzyko rosnącego zadłużenia kraju w obliczu wzrostu budżetowych dopłat do emerytur. Wbrew temu, czego można by się spodziewać, z niemieckim systemem emerytalnym jest pod tym względem dużo gorzej niż z francuskim, przynajmniej jeśli chodzi o czysto finansowy bilans.

Wysokie francuskie składki sprawiają, że w ostatnich latach rząd nie musiał istotnie dopłacać do emerytur, ale ta sytuacja właśnie się kończy, jak wskazują alarmistyczne prognozy COR (czyli francuskiej Rady ds. Emerytalnych), na które powołują się w Paryżu wszyscy zwolennicy reform. Demografia, która – przypomnijmy – we Francji wygląda całkiem nieźle na tle np. Niemiec czy Polski, sprawia, że deficyt emerytalny będzie rósł od obecnego roku, by sięgnąć za parę lat poziomu 20 mld euro rocznie. Ale inaczej niż Niemcy, Francja aż tak ugina się pod ciężarem rozbuchanego długu

państwa, że wizja rosnących dopłat rządowych do emerytur – na poczet dalszego długu – wywołuje autentyczny strach w ekipie Macrona.

W Niemczech sytuacja z budżetowymi dopłatami jest inna, choć też alarmistyczna. Rząd dopłaca obecnie do emerytur aż 112 mld euro rocznie, co stanowi mniej więcej jedną czwartą ogółu wydatków niemieckiego budżetu federalnego. A prognozy „mędrców” zakładają, że z racji demograficznych mniej więcej za ćwierć wieku wypłaty emerytur będą stanowić... połowę (!) całości wydatków federalnych. Prof. Schnitzer nie kryje zatem tego, iż spodziewa się w dłuższym czasie ruiny całego niemieckiego sektora publicznego, czyli infrastruktury, ochrony zdrowia, oświaty i armii. A od pewnego czasu nie jest przecież tajemnicą, że na tle całej Unii Europejskiej drogi, mosty, koleje i autostrady niemieckie, mocno sfatygowane, należą do najbardziej zapuszczonych i niedoinwestowanych, a co do armii – to nie jest pewne, na ile w ogóle byłaby ona zdolna do walki w razie realnej wojny.

We Francji praktyczny wiek emerytalny wynosi obecnie 62 lata, od czasu gdy w 2010 r. już go podniesiono w ramach tzw. reformy Woertha. Nawiasem mówiąc, to właśnie dzięki tamtej reformie finanse emerytalne przez pewien czas całkiem nieźle się bilansowały. Ale fakt, że Borne ordynuje teraz podwyżkę o kolejne dwa lata, wywołuje krytykę, gdyż (jak oświadcza np. lewicowa centrala związkowa CGT) od 1993 r. jest to ponoć już ósma z kolei próba reform, zawsze w takim samym kształcie i takim samym kierunku: podwyżki wieku emerytalnego

Kupuj **SIECI** na swojej Poczcie!



Sprawdź, czy jesteśmy na Twojej Poczcie:

www.poczta.pl/Sieci

i wydłużenia obligatoryjnych okresów składkowych. Z kolei to, iż Francuzi do pełnej emerytury mają płacić składki nie przez 41,5 roku (jak dotychczas), ale o 1,5 roku dłużej, było już przewidziane wcześniej, tyle że dopiero na 2035 r. Borne chce jednak tego, by ta reguła została wprowadzona szybko, czyli stosowałaby się do tych Francuzów, którzy w najbliższych latach planowali emeryturę. Z natury rzeczy to, co ma ludzi dotknąć teraz, budzi o wiele silniejszy sprzeciw niż dolegliwości zapowiedziane na względnie daleką przyszłość. Borne chce osłodzić Francuzom tę dolegliwość, zapowiadając jednoczesną znaczną podwyżkę najniższych emerytur, do poziomu 1200 euro miesięcznie (w Polsce taka kwota jest marzeniem ściętej głowy).

W Niemczech już dziś wiek emerytalny wynosi 67 lat, jednak niemiecki system jest bardziej sztywny od francuskiego, gdyż znacznie trudniej przejść tam na niższą co prawda, ale wcześniejszą emeryturę. Rząd Scholza myśli jednak o emeryturach na sposób bardziej rynkowy niż Francuzi. Zwłaszcza szef resortu finansów Lindner zamierza jeszcze w br. wprowadzić tzw. emeryturę akcyjną. Państwo w tym celu ma zaciągnąć znaczny dodatkowy dług publiczny (na początek mówi się o 10 mld euro, ale Lindner przewiduje sumę trzycyfrową), który następnie ma być zainwestowany na rynku przez specjalnie powołany do tego państwowy fundusz. Można powiedzieć, że byłaby to taka wersja starych polskich OFE, tyle tylko, że w rękach państwa, a nie prywatnego biznesu. A zyski funduszu miałyby od połowy lat 30. służyć doposażaniu bankrutującego systemu ubezpieczeniowego.

Socjalistyczno-zielono-liberalna koalicja nie jest zatem zadowolona ze znacznie bardziej radykalnych projektów wysuniętych teraz przez „mędrców”. Rząd Scholza liczy na to, że uda mu się zapobiec dalszemu zadłużaniu systemu przez jeszcze szersze otwarcie kraju dla wykwalifikowanych imigrantów, którzy mając swobodny dostęp do niemieckiego rynku pracy, zwiększą pulę płaconych dotąd składek. Specjalna ustawa zapraszająca do Niemiec imigrantów z całego świata, pod warunkiem że mają zawód i kwalifikacje przydatne na niemieckim rynku pracy, jest już w trakcie prac w Bundestagu.

Podnoszenie składek, a więc wzrost kosztów pracy, co postulują „mędrcy”, jest bardzo niemile widziane przez niemiecki biznes, zwłaszcza w obliczu poważnego ryzyka gospodarczej recesji. W Berlinie szuka się więc bardziej nowatorskich i zniuansowanych metod ratowania systemu emerytalnego niż w Paryżu. Macron w tym punkcie jest faktycznym socjalistą: nie ma odwagi tknąć świętej reguły reparytywności francuskiego systemu (pracujący płacą, emeryci biorą, państwo dopłaca), więc ma tylko jedną receptę na reformy: dłużej pracować i dłużej płacić składki.

Radykalna opinia „mędrców” dlatego właśnie wzbudziła tak szeroką i burzliwą debatę, gdyż jej istotą jest diagnoza, iż bez twardych, uderzających w emerytów kroków, także w Niemczech, nie da się powstrzymać finansowej degradacji systemu emerytalnego. „Mędrcy” uderzają przede wszystkim w interesy bogatych: chcą przecież cięć najwyższych emerytur (mało kto pamięta już, że w Polsce taką operację przeprowadziła w 1993 r. premier Suchocka, po czym jej rząd upadł) i domagają się wyższych składek płaconych głównie przez biznes. Kanclerz Scholz, który ma w swojej koalicji liberalnego ministra finansów, a sam jest znany z bliskich powiązań z wielkim biznesem, z czasów gdy pełnił urząd burmistrza Hamburga, nie chce

podążać w takim kierunku. Jednak do tej pory, od czasu gdy dwie dekady temu inny kanclerz, też socjalista, ale w gruncie rzeczy liberal – Schröder – ograniczył rozpasany niemiecki system socjalny (słynna Agenda 2000), Niemcy korzystały z przywileju ekonomicznej prosperity, nawet wtedy, gdy południe Europy zapadło się pod ciężarem kryzysu finansowego. Ale dziś sytuacja jest inna – kryzys po raz pierwszy od pokolenia dopadł także gospodarkę niemiecką, która nie może sobie już pozwolić na taką jak obecnie skalę budżetowego finansowania emerytur, gdyż Niemcy nie mają już tradycyjnej budżetowej nadwyżki.

Równoległość prób zaradzenia niewydolności systemów emerytalnych, którą obserwujemy w Berlinie i Paryżu, świadczy o powadze kryzysu emerytalnego w całej Europie

WNIOSKI DLA POLSKI

Równoległość tych prób zaradzenia niewydolności systemów emerytalnych, którą obserwujemy w Berlinie i Paryżu, świadczy o powadze kryzysu emerytalnego w całej Europie. Polski model zdefiniowanej składki, przesądzający, że państwo nie gwarantuje wysokości emerytur, ale w zasadzie ma wypłacić każdemu tyle, ile nazbierał ze składek w ciągu swojej pracy, stanowi częściową ochronę przed bankructwem systemu emerytalnego. Ale po pierwsze, ów model *de facto* nie obejmuje starszych emerytów, a po drugie – ryzyko założenie niskich emerytur opartych wyłącznie na zgromadzonych indywidualnie składkach skłania cały czas władze do stopniowego demontowania barier bezpieczeństwa. Choćby przez fundowanie tzw. 13. czy 14. emerytur, mających pokrycie wyłącznie w długu publicznym, jawnym albo ukrytym w różnych instytucjach parabudżetowych, co nie bez racji krytykuje ostatnio NIK.

Trzeba więc zdawać sobie sprawę z tego, że dobry czas, w którym polski system mógł się wydawać lepszym i odporniejszym na kryzysy, faktycznie się skończył. A reformy, o ile zostaną faktycznie podjęte w Niemczech czy we Francji, sprawia, że Polska będzie tracić względem swoich unijnych sąsiadów atut konkurencyjności. Czyli ten właśnie atut, dzięki któremu staliśmy się w ciągu ostatnich trzech dekad najszybciej rozwijającą się gospodarką Unii Europejskiej.



Ukraińcy chcą delegalizacji Cerkwi związanej z Moskwą

Zelenski rozpoczął batalię, której celem jest wyparcie rosyjskich wpływów z ukraińskiego Kościoła prawosławnego



MAREK BUDZISZ

22 listopada ub.r. funkcjonariusze służby bezpieczeństwa Ukrainy, policji i Gwardii Narodowej, wspierani przez antyterrorystów, weszli do kilkudziesięciu pomieszczeń, klasztorów i świątyń zajmowanych przez przedstawicieli Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego Patriarchatu Moskiewskiego i rozpoczęli rewizje. Wówczas ekipa Zelenskiego zainicjowała batalię, która może doprowadzić do delegalizacji największego Kościoła na Ukrainie, mającego 8 tys. parafii, a także – w razie niepowodzenia – może zrujnować międzynarodową reputację obecnej władzy. Nie została ona jeszcze zakończona, do tej pory przeprowadzono ponad 100 przeszukań, oficjalnie w stan oskarżenia stawiając 20 duchownych. Nawet można powiedzieć, że mamy do czynienia dopiero z jej początkiem.

W grudniu Rada Bezpieczeństwa i Obrony Ukrainy ogłosiła sankcje wobec 17 przedstawicieli Cerkwi. Objęła nimi także Wadima Nowinskiego, oligarchę uchodzącego za głównego jej finansistę, ale także Pawła (Lebie-dzia), zwierzchnika ławry Kijowsko-Pieczerskiej, i archimandrytę Aleksieja z Chersonia, który jest przewodnikiem duchowym i politycznym doradcą Wołodymyra Saldy, polityka, który stanął

na czele rosyjskiej administracji okupacyjnej i na Ukrainie jest traktowany jako zdrajca narodowy. Na początku stycznia Zelenski specjalnym dekretem pozbawił obywatelstwa 13 duchownych, w tym biskupów kilku diecezji, którzy mogą być w efekcie tego kroku deportowani do Rosji. W czasie śledztwa w ich siedzibach znaleziono paszporty rosyjskie, materiały propagandowe, rosyjskie flagi i duże ilości gotówki niewiadomego pochodzenia.

ZDRADA WE WŁASNYCH SZEREGACH

Bezpośrednim powodem rozpoczęcia tej akcji było nagranie umieszczone w sieci, przedstawiające modlitwę wiernych w jednej z cerkwi ławry Kijowsko-Pieczerskiej. W dziewiątym miesiącu wojny, po zbrodniach Irpenia, Buczy i tysiącach innych, wierni śpiewali inicjowaną przez kapłana pieśń wzywającą do „przebudzenia się mateczki Rosji”. To trochę tak, jakby na Jasnej Górze intonowano w czasie II wojny światowej hymn za pomyślność Niemiec i Hitlera. Przy okazji ukraińska prasa zaczęła przypominać, że metropolita Paweł, zwierzchnik ławry, dwukrotnie otrzymał order od Putina, mówił publicznie, że „Krym nigdy nie był ukraiński”, a jego wpływy znacznie wzrosły po tym, jak do władzy doszła Partia Regionów Wiktora Janukowycza, którą zresztą duchowny reprezentował w kijowskiej radzie miejskiej, będąc jej deputowanym. Na jaw wyszło też, że w cerkwiach tego najważniejszego dla ukraińskiego prawosławia kompleksu nadal wierni modlą się za pomyślność patriarchy Cyryla, głowy

rosyjskiego Kościoła prawosławnego, który otwarcie wspiera wojnę Putina.

Religioznawca Andriej Kowaliow w rozmowie z portalem NV mówi, że kontrwywiadowcza robota SBU nasiliła się po tym, jak latem tego roku na czele ukraińskich służb specjalnych stanął Wasyl Maluk, który zastąpił Iwana Bakanowa, prywatnie przyjaciela z dzieciństwa Zelenskiego. Bakanow, będący wiernym ukraińskiej Cerkwi uznającej zwierzchność Moskwy, miał rozstracać dyskretny parasol ochronny nad jej hierarchami. Jednak nie to było przyczyną jego dymisji. W pierwszych dniach wojny kierujący służbami specjalnymi „gdzieś się zapodział” i nie można było go znaleźć, a jego zastępca odpowiadający za przygotowanie do obrony południa kraju – Zaporozża i Chersońszczyzny – uciekł z kraju i został przypadkowo ujęty w Serbii z walizką pieniędzy. Bakanow jeszcze na dzień przed wybuchem wojny przekonywał Zelenskiego i jego otoczenie, że żadnej inwazji nie będzie. To m.in. w wyniku takich działań Rosjanie, atakując Kijów w pierwszych dniach wojny, uzyskali 12-krotną przewagę nad obrońcami stolicy. Dziś na Ukrainie uważa się, że SBU zostało w poważnym stopniu spenetrowane przez rosyjskie służby i szybkie postępy Moskali na południu (nie został wysadzony żaden z kluczowych mostów, mimo że były zaminowane) są wynikiem zdrady we własnych szeregach, a nie wojskowej sprawności Rosjan. W ten sam sposób zaczęto też patrzeć na wieloletnią ochronę Ukraińskiego Kościoła Patriarchatu Moskiewskiego przez wielu wysokich rangą przedstawicieli władzy, z różnych zresztą obozów.



Lavra Kijowsko-Pieczerska

Za jednego z głównych protektorów ukraińskiej Cerkwi uznającej rosyjską zwierzchność uważa się Wadima Nowińskiego, biznesowego partnera Rinata Achmetowa i deputowanego do Rady Najwyższej, pierwotnie z Partii Regionów, a ostatnio z prorosyjskiego Bloku Opozycyjnego. Nowiński, który w 2020 r. został diakonem, miał być jednocześnie – jak dowodzą dziennikarze portalu NV – łącznikiem między Putinem a Poroszenką, i to w wyniku jego zabiegów zainicjowana za czasów prezydentury tego ostatniego budowa ukraińskiej Cerkwi autokefalicznej utknęła w martwym punkcie, a Kościół uznający zwierzchność patriarchatu moskiewskiego zachował swoje wpływy. Kontrolowany przez Nowińskiego i Achmetowa holding medialny miał przez lata być „dystrybutorem rosyjskiej narracji” i prezentować przesłanie o wspólnych korzeniach – w ramach „ruskiego miru” – narodów ukraińskiego i rosyjskiego.

EKSPONENT „RUSKIEGO MIRU”

Latem tego roku, po tym jak na Ukrainie weszła w życie ustawa antyoligarchiczna, Nowiński zrezygnował z mandatu deputowanego, a jego i Achmetowa grupa inwestycyjna sprzedała aktywa medialne, niektóre tylko przenosząc

do Polski. Tak zatem batalia, którą rozpoczął Zelenski, nie ogranicza się tylko do próby wyparcia rosyjskich wpływów z ukraińskiego Kościoła prawosławnego, lecz także ma na celu ograniczenie wszechwładzy oligarchów i związanej z nią korupcji.

Obywatele Ukrainy chcą bowiem – świadczą o tym wszystkie sondaże opinii publicznej – zerwania z przeszłością, odejścia od modelu państwa skorumpowanego, którego przestrzeń medialna, a przez to decyzje polityczne, są kontrolowane narracyjnie w dużej mierze przez Rosję. W grudniu Kijowski Międzynarodowy Instytut Socjologii przeprowadził badania opinii publicznej, z których wynika, że 54 proc. ankietowanych wręcz chce delegalizacji ukraińskiej Cerkwi uznającej zwierzchność Moskwy, a dodatkowe 24 proc. chciałoby tylko nieco łagodniejszej polityki. Ich zdaniem wystarczy ustanowienie państwowej kontroli i nadzoru nad parafiami i klasztorami. Jak się wydaje, Ukraińcy uznali Cerkiew za eksponenta „ruskiego miru” i siewcę moskiewskiej propagandy. W wielu regionach lokalne władze pod naciskiem opinii publicznej już zdecydowały się zakazać jej działalności, uznając prorosyjską aktywność duchowieństwa za potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa. Ale to nie jedyny powód.

Nie mniej istotnym jest zakorzenione przekonanie o tym, że hierarchowie, zwłaszcza ci najwyżsi rangą, w swoich codziennych wyborach wcale nie kierują się wskazaniem Ewangelii, wręcz przeciwnie – motywy materialne mają w tym przypadku dominujące znaczenie. Na dodatek Cerkwią patriarchatu moskiewskiego wstrząsnęła w ostatnich latach niemała liczba skandali obyczajowych, takich jak choćby ujawnione zdjęcia przedstawiające Warsonofija, wówczas skarbnika lawry Kijowsko-Pieczerskiej, pływającego jachtem wraz ze swoim młodym sekretarzem u wybrzeży Nicei. Tatiana Derkacz, publicystka religijna, powiedziała portalowi NV, że lawra Kijowsko-Pieczerska jest uważana przez ekspertów za epicentrum „nienormatywnych” relacji w Kościele.

Jeśli chodzi o kwestie polityczne, to jeszcze w 2019 r. ukraińska grupa hakerska, skrywająca się za nazwą The Dark Side of Kremlin, ujawniła przechwyconą korespondencję administracji prezydenta Rosji. Wynikało z niej, że na Kremlu działa specjalna komórka, będąca eksponentem służb specjalnych, której celem jest penetrowanie i kontrolowanie Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego Patriarchatu Moskiewskiego. Wynikało z nich, że Kirył Frołow, jeden z głównych ekspertów rosyjskich

w kwestiach sytuacji wyznaniowej na Ukrainie, jest w istocie współpracownikiem FSB i za pośrednictwem jego kontaktów w środowiskach duchownych wypłacane są „stypendia”, dzięki którym rosyjskie służby utrzymywały swoje wpływy. Frołow współpracował też blisko z organizacją Medwedczuka, kuma Putina, wymienionego w ub.r. na obrońców Azowstalu, oraz z prorosyjskimi organizacjami kozackimi i prawosławnymi przeciwnikami Majdanu. Cerkiew w korespondencji oficjalnie uznawano za najlepsze narzędzie rozpo- wszechniania narracji rosyjskiej i walki z prozachodnią orientacją władz w Kijowie. Największy nacisk kładziono na Kijów, Odesę, Charków, Donieck, Zakarpacie i Krym.

I to po rosyjskiej aneksji dało owoce. Administrację okupacyjną poparło wielu duchownych Cerkwi patriarchatu moskiewskiego, a w kremłowskich uroczystościach związanych z anektowaniem czterech ukraińskich obwodów brali udział pasterze, tacy jak archimandryta z Chersonia czy biskupi kilku diecezji. Zupełnie kuriozalna jest historia Andrieja Pawlenki, duchownego z eparchii północnodonieckiej, który na początku grudnia został skazany na 12 lat więzienia. Zarzucono mu zarówno przekazywanie Rosjanom danych na temat rozlokowania sił ukraińskich, jak i walkę już po 24 lutego po stronie tzw. milicji ługańskiej pod Popasną i Bachmutem. Proces był krótki, bo Pawlenko przyznał się do wszystkiego i szybko został skazany. Jak się potem okazało, chodziło o to, by mógł zostać objęty najbliższą wymianą jeńców, co nastąpiło w połowie grudnia i było osobistą inicjatywą – zdaniem ukraińskiego wywiadu – Jewgienija Prigożyna, szefa Grupy Wagnera, z którym Pawlenko spotkał się osobiście już po wymianie. „Czuję radość z faktu, że obwód ługański to Rosja. Myślę, że pozostaniemy jej częścią, a ukraińskie plugastwo nigdy więcej nie dotknie naszej ziemi” – powiedział on w nagraniu filmowym, które Prigożyn umieścił w sieci. Podobnych, może nie tak drastycznych, relacji i dowodów na to, że ukraińscy duchowni Cerkwi patriar-

chatu moskiewskiego sprzyjają Rosji, media w ostatnich tygodniach ujawniły dziesiątki.

DELEGALIZACJA NIE TAKA PROSTA

To spowodowało zmianę nastawienia opinii publicznej, co zresztą jest elementem ogólnego odwrotu na Ukrainie od wszystkiego, co rosyjskie. Ukraińcy chcą obchodzić święta Bożego Narodzenia w takich samych terminach, jak Kościoły prawosławne w Grecji czy Rumunii, a nie w zgodzie z rosyjskim kalendarzem liturgicznym. Coraz większa grupa ankietowanych opowiada się

Ukraińcy chcą obchodzić
święta Bożego Narodzenia
w takich samych terminach,
jak Kościoły prawosławne
w Grecji czy Rumunii,
a nie w zgodzie z rosyjskim
kalendarzem liturgicznym

nawet za odejściem od cyrylicy i przejściem na alfabet łaciński. Od początku wojny 41 proc. obywateli Ukrainy mówiących do tej pory na co dzień po rosyjsku przeszło w większości na ukraiński, a 24 proc. wcześniej wyłącznie posługujących się rosyjskim nie chce „za żadne skarby” mówić w tym języku. W trudnym wojennym czasie niesłuchanie wzrosła popularność ukraińskich kursów językowych. Aleksandr Awramienko, językoznawca, który uczył prezydenta Zełenskigo, powiedział mediom, że „za 10–15 lat pod względem językowym Ukraina będzie zupełnie innym krajem”. Te nastroje mobilizują władze do działania.

Oleksij Daniłow, sekretarz Rady Bezpieczeństwa, powiedział, że „rosyjski zniknie z ukraińskiej ziemi”, a szef Służby Bezpieczeństwa Ukrainy Wasyl Maluk zapowiada kontynuowanie twar-

dej polityki wobec uznającej zwierzchność Moskwy ukraińskiej Cerkwi. „Jeśli ktoś ma na sobie sutannę i ma kadzidło – mówi – to nie jest okoliczność łagodząca przy popełnieniu przestępstwa, tak samo jak nie jest obciążająca. To środowisko sprzyja funkcjonowaniu wrogiej rezydencji. A naszym zadaniem jako organu bezpieczeństwa państwa w czasie wojny jest jak najszybsze i jakościowe oczyszczenie tego środowiska z funkcjonariuszy FSB w sutannach”.

Nie będzie to proces łatwy, bo nawet jeśli Zełenski zdecyduje się na delegalizację Cerkwi patriarchatu moskiewskiego, na co się zanoszą, to i tak władzom może nie udać się zablokować jej działal-

ność. Z formalnego punktu widzenia nie ma ona osobowości prawnej, jest wspólnotą wierzących. Delegalizacja może uniemożliwić dzierżawę świątyń, formalnie będących własnością państwa, ale nie umożliwia prowadzenia aktywności religijnej. Zejście duchownych do katakumb może też dać argumenty rosyjskiej propagandzie, która już na cały świat głosi, że na Ukrainie są prześladowane mniejszości językowe i nie ma wolności religijnych. Jest jeszcze jedna kwestia. Jak powiedział mediom Adrij Pinczuk, duchowny sprawujący posługę w ramach Cerkwi patriarchatu moskiewskiego, wielokrotnie na-

wołujący publicznie do potępienia na Ukrainie jego zwierzchnika Cyryla, „nie cała Cerkiew jest taka” jak jej zwierzchnictwo i wyższe duchowieństwo. Problemem Kościoła na Ukrainie jest raczej niechęć do zmian i coraz wyraźniejsze, jeśli brać pod uwagę sympatie i nastroje, odstawanie od reszty społeczeństwa. Ekipa Zełenskigo w realiach wojny nie ma zamiaru wgłębiać się w te niuanse być może również dlatego, że z ideowego punktu widzenia jest to formacja niemająca silniejszych związków z religią i Kościołem, partia z rodziny politycznej francuskiej En Marche! Emmanuela Macrona. Niemniej wiele wskazuje na to, że obok rewolucji narodowej, która już ma miejsce, przebudzenia się tożsamości ukraińskiej ten walczący z Rosją naród czeka jeszcze jedna, nie mniej głęboka rewolucja, tym razem kościelna.

*Za nimi są już tylko
okopy, które przechodzą
z rąk do rąk – raz
ukraińskich, raz rosyjskich.*

*Miasteczka Donbasu
o zniszczonych w ponad
połowie zabudowaniach,
bombardowane
codziennie, pozbawione
wody, gazu i prądu kryją
w podziemiach niezlicznych
mieszkańców próbujących
przeżyć. Ale i chowających
mroczną tajemnicę*



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Przez miasteczko Siewiersk, obecnie po ukraińskiej stronie frontu, idzie się z niedowierzaniem. Jamy po bombach pomieściłyby ciężarówkę, budynki rozsypane w sterty gruzów, a w powietrzu odgłosy kolejnych eksplozji. Nocą spadają tu potężne rakietki S-300, rzadziej iskandery, czasami grad, za dnia dosięga tu niekiedy rosyjska artyleria. Miejscowość przypomina nieco popowstańczą Warszawę z 1944 r., choć Siewiersk akurat zniszczony jest nie w 90 proc., a „zaledwie” w 50 proc.

ROBINSONOWIE DONBASU

Jesienią 1944 r. w stolicy Polski, a raczej w gruzowisku, także zostali ludzie. Nazwano ich robinsonami, bo wymyślali codzienność niczym na bezludnej wyspie. Tak pisał o nich Wacław Gluth-Nowowiejski, porównując ich do zjaw,



Relacja z Donbasu

Sekret życia w przyfrontowych miastach

do widm: „Trwały nieruchomo niczym wilki węszące zagrożenie. I ruszały bezszelestnie w poszukiwaniu chleba, wody, odzieży, bezpieczniejszej kryjówki. Z czasem owi robinsonowie coraz śmielej penetrowali teren, coraz lepiej przystosowywali się do okrutnej egzystencji. Bo też życie w tamtych warunkach wymagało nieprawdopodobnych sił fizycznych i jeszcze większego hartu ducha”. Robinsonowie Donbasu żyją nieco inaczej – mają lepsze warunki wokół siebie, m.in. generatory prądu i spore zapasy pomocy humanitarnej, ale gorsze warunki na przyszłość: na ich miasteczka wciąż spadają pociski, a nad nimi unosi się ryzyko wejścia rosyjskiego okupanta, który traktuje ludzi inaczej niż Armia Czerwona ludność polską 70 lat temu.

To m.in. z tego powodu ludzie z Siewierska czy Bachmutu – gdzie idą najbardziej zażarte boje obecnego frontu – boją się pokazywać twarz, pozować do zdjęć, podawać swoje imiona. Może w mediach ukaże się o nich materiał, a później okupant odpowie na to represjami? Niektórzy na widok kamery

reagują agresywnie. Donbas jest zresztą jedynym regionem rozległej Ukrainy, w którym obecność Polaka nie wywołuje entuzjazmu.

W Siewiersku wchodzimy do zniszczonej szkoły, dziecięce zeszyty wystają spod gruzów, budynek z czterech ścian ma tylko dwie. To tutaj spotykamy pierwszych mieszkańców, dwóch mężczyzn ok. 50–60 lat. Mało się odzywają, nie są rozmowni, szukają drewnianych desek, którymi będą podpierać strop swojej piwnicy. – W nocy sufit się trzęsie, wzmocnimy go trochę – odpowiada jeden z nich, nie patrząc na rozmówcę.

NIE CHCĄ WYJEŻDŻAĆ

O ile warszawskich robinsonów wspomina się dziś z uznaniem (w stolicy jest nawet tablica pamiątkowa), o tyle robinsonowie Donbasu pozostali w gruzach z innych powodów. Nie opuścili swoich domów, nie zabrali swoich dzieci w bezpieczne miejsca, choć ich miejscowości mogą wpaść w ręce Rosjan, a ich domy mogą ich przygnieść nocą po eksplozji.

– Dlaczego nie wyjedziecie? – pytamy, podając przykłady uchodźców w Polsce, w Europie Zachodniej czy wreszcie miliony ludzi, którzy udali się na zachód Ukrainy. Tzw. wewnętrzni uchodźcy otrzymują drobną zapomogę (ok. 2 tys. hrywien, czyli 300 zł), darmowy dach nad głową i podstawowe wyżywienie, posiłki, włącznie z ciepłym obiadem. Ci bardziej zaradni znajdują sobie zajęcie, jak szycie odzieży dla wojskowych czy nawet praca w miejscu, gdzie ludzie wyjechali na Zachód lub poszli na front. Na zachodniej Ukrainie żyje się więc biednie, ale bezpiecznie. Mieszkańcy donbaskich gruzów mają na ten temat inne zdanie. – Bo wiecie, amerykańscy oligarchowie chcą przejąć nasze domy – mówi 50-letnia kobieta. To dlatego, wierzą niektórzy, prezydent Zełenski miał latem nakazać mieszkańcom wschodniego regionu kraju opuścić domy i udać się w bezpieczne miejsce. Nie groźba dramatycznej bitwy, lecz spisek zza oceanu. – W zachodniej Ukrainie jest sekretne prawo, które zabrania nam dawać pracę – twierdzi z przekonaniem inna kobieta.

Rozmawiamy z tymi cywilami spokojnie, ale jednak stawiamy trudne pytania. Oczywiście można zrozumieć, że człowiek nie chce się tulać po obcych domach, innych porzuciły dzieci i wnuki, a jeszcze inni są starzy, schorowani i w swojej obojętności na los nie chcą wyjeżdżać, ale jednak codzienność w chłodnej piwnicy z ryczącym od wybuchów niebem nad głową nie jest ani normalna, ani akceptowalna. – A jeśli wejdą Rosjanie? – Mam nadzieję, że nie – żegna się znakiem krzyża mieszkanka Siewierska. Ale są i bardziej agresywne odpowiedzi.

CO SIĘ DZIEJE W DONBASIE?

Dopiero całe tygodnie spędzone na skraju obwodu donieckiego, pogawędki z miejscowymi ludźmi, dziesiątki pytań i zagadywania ujawniają inny stosunek obywateli tej części Ukrainy do swojego własnego państwa. Pewnego dnia w Bachmucie dokumentowałem zniszczenia nocnego nalotu – rosyjski samolot dosłownie latał nad miastem i zrzucał śmiercionośne bomby. Jedna

z nich uderzyła w pięciopiętrowy blok mieszkalny – w gruzach zginęła matka z dwojgiem dzieci. Gdy robiłem zdjęcie potężnej wyrwy w budynku, podszedł do mnie dobrze ubrany staruszek

Amerykańscy oligarchowie chcą przejąć nasze domy – twierdzi 50-letnia mieszkanka donbaskich gruzów. To dlatego, wierzą niektórzy, prezydent Zełenski miał latem nakazać mieszkańcom wschodniego regionu kraju opuścić domy i udać się w bezpieczne miejsca

i ze szczerą empatią w głosie wypytał o ofiary tragedii. – Kiedy wreszcie ta specoperacja się skończy – westchnął na koniec. Zaraz, zaraz – jaka specoperacja? To słowo należy do rosyjskiej nomenklatury propagandowej, która ma zastąpić mówienie o prawdziwej wojnie. Używanie tego określenia po ukraińskiej stronie świadczy o intensywnym słuchaniu kremlowskich przekazów, a czasem nawet o prorosyjskości.

Ukraińscy żołnierze, którzy przez osiem lat poznali Donbas w intensywnych walkach, nazywają ich „separami”, czyli *de facto* stronnikami „ruskiego miru”. Jedni są w tych poglądach mocno aktywni – fotografują pozycje obrońców i przesyłają je stronie rosyjskiej, inni tylko czekają z nadzieją. Blisko dekada działań wojskowych wypchnęła z regionu normalnych ludzi, ale ostatni rok już zdecydowanie przekonał zwykłych, lojalnych obywateli, że nie można żyć w regionie wściekle atakowanym przez rosyjskie imperium. Ci, którzy zostali w przyfrontowych miasteczkach, są przeważnie wyznawcami Władimira Putina. Którzy w dodatku wyciągają



ręce do ukraińskiego państwa po pieniądze, żywność i każde inne wsparcie.

SEPARY

Grupa ludzi w Siewiersku, która po sąsiedzku zebrała się w piwnicy kilkupiętrowego bloku, żyje jak na warunki zimowe całkiem znośnie. Kilkanaście osób codziennie rano rozchodzi się po miasteczku w poszukiwaniu wszystkiego, co może być przydatne do życia: dodatkowe koce (nocą jest -11 st. C), odzież, drewno na opał, paliwo z pozostawionych samochodów, narzędzia, naczynia i wiele innych rzeczy. Ale bez pomocy z zewnątrz te małe wspólnoty by nie wytrzymały. – Od wolontariuszy mamy generator prądu, a od wojska 20 litrów ropy – opowiada grubawy mężczyzna. On w najbardziej stanowczy sposób zabronił nagrywać rozmowy, złapał za obiektyw i skierował naszą kamerę w dół. Dopiero później zaczął co nieco mówić, ale raczej po to, by narzekać. – 20 litrów? – wydał pogardliwie usta. – Co to jest 20 litrów? – warknął nie wiadomo do kogo. Mieszkaniec Siewierska z jednej strony ma rację, bo 20 litrów to mało. Ale nie wspomniał, że wszystko otrzymał za darmo, że władze już dawno kazały wyjechać z miasta i organizują rozmaite zapomogi dla wewnętrznych uchodźców, że wreszcie trwa najprawdziwsza wojna i w obronie miasta giną żołnierze armii jego państwa. Ale z mentalności tych ludzi i obserwowania pozostałych na terenie działań wojennych mieszkańców obstawiam, że mężczyzna nie wspomniał o jeszcze jednym. Że po prostu czeka na nadejście Rosjan. ▀

Niektórzy na Zachodzie wierzą w możliwość osiągnięcia przez Ukrainę pokoju z Rosją w zamian za ustępstwa polityczne i terytorialne. Wypowiedzi przywódców Kremla i ich propaganda dowodzą, że to mrzonki, bo celem agresora jest likwidacja Ukrainy jako państwa i pełna anihilacja żywiołu ukraińskiego. Bo moskiewska opowieść jest taka

Moskiewska opowieść o Ukrainie



PIOTR GONTARCZYK

Te ziemie to część naszej rosyjskiej historii, która zaczęła się właśnie w Kijowie. Samo pojęcie „Ukraina” jest sztuczne: tak Polacy opisywali obszar, który znajdował się „na kraju” ich terytorium etnicznego. Potem to były już tylko antyrosyjskie prowokacje. Dobrze ukazał to kanał Rossiya 24 w dokumencie „Projekt Ukraina. Historia i geografia”: twórca idei narodu ukraińskiego Michał Gruszecki był polskim szlachcicem, który fałszował historię i pisał kłamliwe bajeczki o Ukrainie za pieniądze Austro-Węgier. Tak powstała ta nacjonalistyczna ideologia nienawiści do wszystkiego i wszystkich, szczególnie do Rosji. W czasach ZSRS sytuację pogorszył Lenin. Chcąc pozyskać miej-

scowych, promował ich dialekt i kulturę, wzmacniając tendencje separatystyczne. Jego błędy naprawiał w latach 30. towarzyszył Stalin.

Problem można było definitywnie zamknąć po wojnie, kiedy organa NKWD zniszczyły ideologię i struktury lokalnego faszyzmu. Ale popełniono błąd, stale przypominany w programach przez prof. Natalię Naroczniczką. Ta członkini prezydenckiej komisji ds. przeciwdziałania próbom fałszowania historii na szkodę Rosji jest znana w Polsce głównie z tropienia „niemieckich śladów zbrodni katyńskiej”. Teraz przypomina, że wskutek fatalnej polityki Stalina tysiące członków OUN-UPA trafiło po wojnie do więzień i łagrów, ale potem na skutek amnestii z czasów Chruszczowa wielu wróciło na Ukrainę. Winny jest nasz humanizm – twierdzi Narocznicznica – myśleliśmy naiwnie, że z tych niekiedy 20-latków uda się zrobić patriotów, a trzeba ich było... inaczej.

Na Ukrainie ci byli więźniowie stali się zarodnikami faszyzmu, który tlił się

w ukryciu i wybuchł po upadku ZSRS. Ta największa w historii katastrofa geopolityczna spowodowała, że wbrew woli milczącej lub zastraszonej większości słabe siły nacjonalistów oderwały Ukrainę od ojczyzny. Potem pogrobowcy hitleryzmu urosli tak, że za ich pomocą w 2014 r. CIA dokonała zamachu stanu (tzw. Euromajdan), obalając legalnego prezydenta Wiktora Janukowycza. Część ludności na wschodzie nie uznała władzy uzurpatorów, a do Rosji na mocy woli mieszkańców wyrażonej w referendum wrócił Krym. Wtedy Ukrainę ogarnęła nazistowska krucjata przeciw wszystkiemu, co dotyczy Rosji i ZSRS.

Władzę w Kijowie objął Władimir Zełenski, kabaretowy kłown i marionetka zachodnich służb specjalnych. Hitlerowski faszyzm miał przynajmniej światowe ambicje. A ukraiński to chłop otoczony przez świnię w zagrodzie uznał, że każdy, kto za płotem, to wróg jego i jego świń. Ukraińskość to cywilizacyjna nicość, która nie ma świata nic do zaoferowania.

Zobaczcie Lwów – kontynuuje w telewizji swój „świński” wykład politolog Władysław Szurygin – wszystko wybudowano tam za Katarzyny II, a potem w czasach ZSRS.

W grudniu 2021 r. Zelenski zawiesił gwiazdę Bohatera Ukrainy na piersi dowódcy pułku Azow, który hodował wilki i karmił je, jak mówił, kośćmi rosyjskojęzycznych dzieci [informacja nieprawdziwa]. Ktoś w końcu musiał zatrzymać tych zbrodniarzy i ludożerców.

„OPERACJA SPECJALNA”

Nasz szef MSZ Siergiej Ławrow przypomina, że Rosja zawsze dążyła do pokoju i nigdy nikogo nie napadła. Wszy-

szy znamy te bajki

o pakcie Stalina

i Hitlera w 1939 r.,

ale tak naprawdę

uwolniono wtedy

miliony Białorusi-

nów i Ukraińców od

polskiej okupacji, a na

Litwie, Łotwie i w Esto-

nii obalono faszystowskie

reżimy. W odpowiedzi na to wdzięczna ludność prosiła o przyjęcie do ZSRS. Możemy pokazać wyniki referendum.

„Specjalną operacją wojskową” Rosja uprzedziła atak Zelenskiego, który szykował się do mordowania ludności Donbasu i w narkotycznym szale chciał powtórzyć wyprawę Napoleona na Moskwę. Jak zaczęło się wyzwalanie Ukrainy neonaziszcami [słowo: „żołnierze” wobec Ukraińców jest w rosyjskich mediach zabronione] niszczyli opuszczone miasta i strzelali do mieszkańców, żeby potem zrzucić winę na Rosję. Inscenizowali rzekome zbrodnie, np. w Buczy. Władimir Solowjow zauważył w swoim programie, że angielscy propagandyści wybrali to miasteczko na prowokację, bo Bucza przypomina angielskie „bucher” (rzeźnik).

Zachód pisze o rzekomych masowych gwałtach rosyjskich żołnierzy na miejscowych kobietach i dzieciach. „Niech pokażą twarde [tu: zgodny rechet uczestników programu] dowody”. Zamiast tych „fake newsów” warto przeanalizować informacje podane w cyklicznym programie znanego reżysera Nikity Mi-

chałkowa. Wspomniany ujawnił, że ranni na froncie Ukraińcy są zabierani na tyły i sprzedawani gangom handlującym organami. Ofiary są potem potajemnie wywożone do USA, Niemiec i Izraela, gdzie uśmierca się je, wycinając wcześniej serce, płuca, wątrobę i co tam jeszcze da się sprzedać. Michałkow pokazał przed kamerami tablicę z cennikiem organów [ta historia to mistyfikacja].

Na Zachodzie buduje się kult „obrońców Azowstału”. Prawdę o tych parazytach stale ujawnia korespondent wojenny Marat Chajrulin. Ot, grupa nazistowskich szczurów wlaźła do podziemi, zabierając cywilów jako zakładników i od czasu do czasu wypelzała z ukrycia, żeby kraść i mordować. Potem chcieli

„Specjalną operacją wojskową”
Rosja uprzedziła atak
Zelenskiego, który szykował
się do mordowania ludności
Donbasu i w narkotycznym
szale chciał powtórzyć wyprawę
Napoleona na Moskwę – kłamią
kremlowskie media

wymienić cywilów na tonę środków medycznych i jedzenie. Jak policzył w mediach przewodniczący Dumy Państwowej Władimir Wołodin mieliby dostać 66 kg zaopatrzenia za jednego zakładnika – typowi współcześni ludożercy [propozycja była fake newsem]. Ale musieli się poddać i poniosą karę za swoje zbrodnie. Taki los czeka wszystkich ukrofaszystów – twierdzi w TV Siergiej Gonczarow ze Związku Weteranów Pułku Antyterrorystycznego „Alfa”. – Będą się poddawać tysiącami, z rączkami w górze, ci oberwanci z tatuażami na cielskach.

Nasi żołnierze biją się równie bohater-sko jak w czasie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Warto tu podkreślić rolę naszych mediów. Wzmacniają patriotyczne postawy i zaszczepiają nienawiść do faszystów. Jeden z kanałów propaguje akcję

pisania przez dzieci w szkołach tysięcy dziękczynnych listów do walczących na froncie żołnierzy, inny prezentuje amatorskie wiersze i piosenki powstające w związku z „operacją specjalną”. Znany piosenkarz rzuca wszystko na szalę niespełnionej miłości i śpiewa do wybranki pieśń, której każdy refren kończy słowami: „Pamiętaj, że zdobywałem Mariupol”.

JUTRZENKA WOLNOŚCI

Nasz prezydent od początku nie ukrywał braterskich uczuć wobec Ukraińców. Jego głęboko humanistyczna oferta zatrzymania rozlewu krwi od początku konfliktu leży na stole: wystarczy, że Ukraińcy złożą broń i poddadzą się demilitaryzacji i denazyfikacji, a natychmiast zapanuje pokój. Tak czy siak, cele „operacji specjalnej” będą osiągnięte. Nie bez kozery każdy swój program „Bolszaja igra” Władimir Putin (imię ma po dziadku, Władimirze Mołotowie) zamyka tą samą frazą, którą w czasie II wojny światowej kończyły się komunikaty radiowe Sowieckiego Biura Informacyjnego: „Nasze dielo prawoje. Pobieda budiet za nami” (nasza sprawa jest słuszna, zwycięstwo będzie nasze).

Na wyzwolanych terytoriach miejscowa ludność po miesiącach ukraińskiego ostrzału, który pozbawił ją prądu, gazu, wody i spowodował wiele ofiar, ze łzami w oczach wita naszych żołnierzy. Wszyscy tutaj wiedzą, że Ukraina to bieda i korupcja, a „ruskij mir” to godne życie i dach nad głową. To nazistowskie gniazdo będzie zniszczone – deklaruje w TV Andriej Klimow z partii Jedinaja Rossija. W niedocenianym na Zachodzie przemówieniu prezydenta Putina z 21 grudnia 2022 r. cele „specjalnej operacji wojskowej” poszerzono o deklarację zjednoczenia ziem rosyjskich. Żadnej Ukrainy więc nie będzie. Ale co dalej?

Los kijowskiej junty jest oczywisty, bo rosyjski kodeks karny obowiązuje bez względu na granice. Neohitlerowscy zbrodniarze staną przed sądem tak jak ich poprzednicy w Norymberdze. Ich zbrodnie przeciwko ludności zostaną ujawnione całemu światu i ukarane. Jasna jest też sytuacja czołowych ukrofaszystów w armii i na szeroko pojętym zapleczu. Politolog Siergiej

Michajew przekonuje, że wielu z nich to potomkowie banderowców, a więc genetyczni zbrodniarze. U wielu innych Ukraińców możliwość mordowania kobiet i dzieci w Donbasie spowodowały zmiany chemiczne w mózgu, a w konsekwencji nieusuwalne uszkodzenia w psychice. Podobne skutki wywołały eksperymenty pseudomedyczne Amerykanów chemicznie przerabiających ukraińskich bojowników na bezlitosnych cyborgów i morderców. To satanistyczne zło, które będzie wyeliminowane.

Ale kompleksowe rozwiązanie problemu nazizmu na Ukrainie wymaga wielu innych działań i środków. Narocznicka postuluje denazyfikację taką, jaką po 1945 r. przeprowadzono w Niemczech: obozy filtracyjne, podzielenie ludzi na kategorie w zależności od stopnia wspierania nazistów, eliminowanie z życia publicznego tych najbardziej zaangażowanych i reedukację innych. Każdy obywatel będzie deklarował się za lub przeciw ojczyźnie i od tego będą zależeć jego dalsze losy. Wykluczy się z życia publicznego pewne kategorie osób i grupy ludności, a wszyscy pozostali będą rozliczani z pracy na rzecz usuwania resztek nazizmu i budowy „ruskiego miru”. Nie będzie luk w systemie i nie powtórzy się naiwny stalinowski humanizm z lat 40 ubiegłego wieku.

Zresztą na wyzwolonych terytoriach już zmieniono podręczniki, a lekcje prowadzą ludzie sprawdzeni i zaufani. Dzieci uczą się po rosyjsku i śpiewają w szkole hymn państwowy. Podobne sprzątanie resztek banderowskiego śmiecia czeka cały kraj, a szczególnie placówki oświaty i kultury od wiejskich bibliotek do uniwersytetów. Po wyzwoleniu Kijowa pierwszy pod nóż pójdzie lokalny Instytut Pamięci Narodowej – symbol instytucji podsycających nacjonalizm i rusofobię w całym regionie.

POLSKI WRZÓD

Nikomu na świecie nie zależy na tej wojnie poza USA, Wielką Brytanią i Polską. Szczególna rola przypada tej ostatniej. Warszawa jest zajadłym adwokatem Kijowa, dostarcza nazistom pieniądze, broń i zaopatrzenie. Władimir Ni-

konow pokazał widzom zestawienie pochodzenia ciężkiej broni dostarczonej Ukrainie w ub.r. Głównie na skutek przekazania ponad 200 czołgów to Polska, a nie USA jest tu na pierwszym miejscu. To kraj patologicznej rusofobii, ale jego zaangażowanie ma tu inny, skrywany jeszcze wymiar.

Warszawa poklepuje Ukrainę po ramieniu, ale drugą ręką zbroi się na potęgę i szykuje do wojny. Chore ambicje Polski znów pchają ją do budowy mocarstwa od morza do morza. Polityczne wyrzutki formatu Jarosława Kaczyńskiego czy Mateusza Morawieckiego od początku realizują ukryty plan Warszawy zmierzający do okupacji

Od powszechnego głodu i chłodu, polskich okupantów i masowych gwałtów miejscową ludność może uratować tylko Rosja. Dlatego warto powtórzyć za wnukiem towarzysza Władysława Mołotowa: „Nasze dielo prawoje. Pobieda budiet za nami” – słyszą codziennie Rosjanie

i włączenia do Polski zachodniej Ukrainy. 11 stycznia 2023 nasze media poinformowały świat, że dyktator Kaczyński wyznaczył już datę inwazji na 4 maja.

Prowadzący program „Wremia pokazet” Artiom Szejnin nie ma wątpliwości, że prezentowane od miesięcy w mediach uściski prezydentów Wołodymyra Zełenskigo i Andrzeja Dudy w Kijowie i ich deklaracje dotyczące zacierania granicy to początek inkorporacji. Polski sztab generalny dopracowuje ostatnie szczegóły, a polskie urzędy mają już w szufladach nowe mapy kraju z przyłączonymi ziemiami. Polacy powoli przestają się kryć ze swoimi zamiarami. Jak powiedział ostatnio w wywiadzie polski wiceszef MON Marcin Ociepa, prawdopodobieństwo włączenia się Polski do wojny jest bardzo

wysokie [wywiad pokazano, zagłuszając słowa ministra z fałszywym tłumaczeniem na rosyjski]. W czasie ostatniej wizyty w Waszyngtonie Zełenski usłyszał od swoich amerykańskich panów, że w zamian za zasługi Warszawy dla USA Ukraina musi oddać jej żądane terytoria.

Ale w Warszawie słychać i głosy rozsądku. Oprócz ważkich inicjatyw posła Grzegorza Brauna ostatnio jeden z czołowych portali doniósł, że Warszawa martwi się o los Zełenskigo, który po upadku Kijowa zasłużenie stanie przed sądem za zdradę, złodziejstwo i zbrodnie przeciwko ludności [portal wydał nawet oświadczenie, że takich rzeczy nie publikował].

Prezydent Andrzej Duda leje krokodyły łzy, oficjalnie krzycząc o rzekomych zbrodniach Rosji, a po cichu raduje się ze zorganizowanej przez kijowski reżim „mięsozubki”, w której co dzień giną tysiące młodych mężczyzn.

Wojskowy dziennikarz Wasilij Fatigalow zauważył, że mężczyźni na Ukrainie nie są Polakom do niczego potrzebni. Pod ich nieobecność po wkroczeniu na Ukrainę będą mogli swobodnie gwałcić. To wszystko jest już ukartowane z Kijowem. Zełenski wydał ostatnio dekrety, w których wyjął Polaków spod ukraińskiego prawa, żeby mogli bezkarnie wyżywać się na bezbronnych Ukrainkach [dekrety te symbolicznie nadawały obywatelom RP takie same prawa w kwestii zasiłków, pracy czy edukacji, które w Polsce mają uchodźcy z Ukrainy. Nie ma w nich mowy o immunitecie sądowym]. Taki właśnie los czeka Ukrainę w szponach gangu Zełenskigo.

Od powszechnego głodu i chłodu, polskich okupantów i masowych gwałtów miejscową ludność może uratować tylko Rosja. Dlatego warto powtórzyć za wnukiem towarzysza Władysława Mołotowa: „Nasze dielo prawoje. Pobieda budiet za nami”. A z tymi psami – jak nazwała w studiu Polskę i kraje bałtyckie prof. Natalia Narocznicka – Rosja zapewne zajmie się na dalszym historycznym etapie.

*Autor jest pracownikiem IPN.
Artykuł odzwierciedla wyłącznie
jego obserwacje i poglądy.*

Nieuniknione powstanie

Powstanie styczniowe 1863–1865 to jedno z najważniejszych wydarzeń historii Polski w XIX w. Mimo braku po stronie polskiej regularnej armii, trwało najdłużej z polskich powstań narodowych, niemniej zakończyło się ciężką klęską. Z tego względu insurekcja styczniowa do dziś wywołuje wielkie emocje u Polaków interesujących się naszą przeszłością, spotykając się często z krytyką. Tymczasem niewielu zapewne zdaje sobie sprawę, że splot czynników społeczno-politycznych, które doprowadziły do powstania, w swojej istocie pokazuje, iż jego wybuch był nieuchronny



ARTUR JAGNIEŻA

Upadek powstania listopadowego brutalnie przetrącił polskie aspiracje niepodległościowe. Królestwo Polskie znalazło się na łasce jego pacyfikatora Iwana Paskiewicza, a ludność polska na ziemiach zabranych, czyli na Litwie, Białorusi, Wołyniu, Podolu i Ukrainie, została poddana głębokim represjom i rusyfikacji. Nadany przez cara w 1832 r. statut organiczny stał się fikcją. Terytoria zaboru rosyjskiego były zarządzane w ramach trwającego stanu wojennego, co w praktyce oznaczało rządy zdemoralizowanych i do szpiku kości skorumpowanych powiatowych naczelników wojskowych. W Warszawie na koszt polskiego podatnika car nakazał zbudowanie cytadeli, która miała stać na straży niepokornego miasta. W całym Królestwie stacjonowała rosyjska armia okupacyjna. Ponieważ Rosjanie nie mieli w zwyczaju budować dużej liczby stałych siedzib dla garnizonów wojskowych, stąd wojsko w okresie zimowym stacjonowało w polskich miasteczkach i wsiach na koszt lokalnej ludności, która miała obowiązek żywić carskie wojsko i zapewnić mu nocleg. Terytoria zaboru rosyjskiego były zacofane



gospodarczo. Systemowo wprowadzano ograniczenia w dziedzinie edukacji, a Warszawa i Wilno były pozbawione prawa posiadania uniwersytetów. Nie było mowy o jakimkolwiek rozwoju instytucjonalnym polskiej kultury, a posiadanie czy publiczne czytanie poezji polskich poetów, w tym Adama Mickiewicza, było surowo zabronione.

Całość tego ponurego obrazu dopełniała wszechogarniająca inwigilacja. Dość powiedzieć, że w Warszawie w każdej kamienicy działał agent rosyjskiej policji, donoszący lokalnym cyrkułom policyjnym na temat spotkań, które odbywają się w mieszkaniach. Do-

noszono dosłownie na wszystkich, jeśli tylko więcej niż czterech nie domowników spotykało się w czyimś mieszkaniu na herbatę.

KWESTIA WŁOŚCIAŃSKA

Brak niepodległego państwa stanowił barierę dla zreformowania stosunków społecznych na wsi, ponieważ ich dysfunkcjonalność leżała w interesie Rosjan. Utrzymywanie wrogich stosunków między polskim dworem a wsią było znakomitą bezpiecznikiem dla utrzymania carskiej władzy w Królestwie Polskim oraz na ziemiach zabranych.

Problem ten widziano po stronie polskiej, tym bardziej że kwestie uwłaszczenia i zniesienia pańszczyzny zostały już zrealizowane w Galicji w zaborze austriackim w 1848 r. oraz stopniowo w latach 1808–1850 w zaborze pruskim. Nie mniej istotnym czynnikiem hamującym prace nad reformą rolną był fakt, iż zagadnienie to było niepodjęmowane w samym cesarstwie. W tym kontekście rosyjski konserwatyzm postrzegał polskie próby podjęcia zagadnienia uregulowania stosunków na wsi jako koncepcje wywrotowe grożące wybuchem niepokoju w samej Rosji.

Na tle reformy włościańskiej także polska myśl społeczno-polityczna była głęboko podzielona, ponieważ konserwatyści, do których zaliczano m.in. Aleksandra Wielopolskiego, opowiadali się co najwyżej za procesem oczyszczania, co w praktyce ograniczałoby reformę stosunków na wsi do najbogatszych chłopów. Z kolei środowiska postępowe opowiadały się za wprowadzeniem powszechnego uwłaszczenia przy zapewnieniu szlachcie odszkodowań ze środków państwowych. Walka o przyszłość wsi i przychylność chłopów stała się zatem areną istotnej walki politycznej, tym bardziej że funkcjonowanie nieefektywnej ekonomicznie i głęboko niesprawiedliwej społecznie pańszczyzny uniemożliwiała jakiegokolwiek myślenie o podniesieniu gospodarczym narodu.

Stosunek do kwestii chłopskiej uwiódł też bardzo niepokojący trend w myśleniu politycznym polskich elit. Otóż dotychczas właściwie istniała zgoda co do tego, iż odzyskanie niepodległości powinno być celem nadrzędnym wszelkich polskich działań politycznych. W tym kontekście najważniejsze środowiska polityczne, a więc klemensowczycy na czele z hrabią Andrzejem Zamoyskim i jego Towarzystwem Rolniczym, millenerzy na czele Edwardem Jürgensem, obóz partii białych na czele z Leopoldem Kronenbergiem oraz środowiska tworzące obóz czerwonych toczyły między sobą bardzo ostre spory, które dotyczyły zarówno metod, jak i czasu osiągnięcia

celu nadrzędnego. Co prawda koncepcje obozu białych i czerwonych były właściwie trudne do pogodzenia, ale nie można im odmówić tego, że obydwa obozy kierowały się własną najlepiej pojmowaną wizją tego, jak odzyskać niepodległość.

Tymczasem przed 1863 r. pojawił się w Królestwie Polskim bardzo niepokojący trend ugodowy na czele z jego liderem hr. Aleksandrem Wielopolskim. To trend, którego credo polityczne odrzucało myśl niepodległościową na rzecz optymalnego odnalezienia się społeczno-politycznego w ramach istniejącego Cesarstwa Rosyjskiego.

Mieliśmy zatem taką oto sytuację: świadomą politycznie szlachtę car i jego przedstawiciele mieli za nic, młodzież nie miała perspektyw, kraj był zacofany gospodarczo i nie było widoków na poprawę tego stanu rzeczy, a chłop na wsi był traktowany jak niewolnik

Tym samym ideę niepodległości miała zastąpić idea ugodowego realizmu, której ostrze w ścisłej współpracy z administracją zaborcy w pierwszej kolejności było wymierzone w tych rodaków, którzy nie odrzucili myśli o odzyskaniu suwerennego państwa. W praktyce była to równia pochyła, której wzorcowy początek dała w 1792 r. konfederacja targowicka.

IMPULSY MIĘDZYNARODOWE

Wydawało się, że mrok nad Królestwem Polskim zaczął się rozjaśniać w momencie, kiedy 2 marca 1855 r. zmarł despota Mikołaj I. Oczy polskiej szlachty zwróciły się z nadzieją na następcę tronu,

nowego cara Aleksandra II. Początek jego rządów zbiegł się w czasie ze spektakularną klęską Rosji w wojnie krymskiej, której wyniki przypieczętował traktat paryski z 30 marca 1856 r. Rosja nie pierwszy raz w historii okazała się na tle Europy państwem zacofanym, skorumpowanym i źle zarządzanym. Na tym tle oczekiwania polskiej szlachty związane z wizytą cara w Warszawie zderzyły się z twardą rzeczywistością. 23 maja 1856 r. Aleksander II powiedział publicznie do przedstawicieli szlachty, „że chce, by porządek przez ojca ustanowiony był nadal utrzymany, a więc panowie żadnych marzeń, żadnych

marzeń!”, a następnie zwracając się do duchowieństwa przypominał, iż „jego obowiązkiem jest nauczać ciągle Polaków, że ich szczęście zamyka się tylko w zupełnym zlanu się z Rosją”. Tym samym nawet tak umiarkowane pragnienia jak przywrócenie konstytucji Królestwu, nie mówiąc już o jego złączeniu z ziemiami zabranymi, stało się polityczną nierealnością.

W międzyczasie jałowych dyskusji na temat kształtu reformy rolnej na kontynencie europejskim wybuchła kwestia zjednoczenia Włoch, którą zapoczątkowała wojna koalicji Królestwa Sardynii i Francji z Austrią. Pobicie armii austriackiej w bitwach pod Magentą i Solferino w czerwcu 1859 r. musiało zadziałać na wyobraźnię w Polsce, ponieważ stawiało aktualnym pytanie, czy skoro Włochy mają możliwość rozpoczęcia procesu zjednoczenia wbrew jednemu z zaborców Polski, to dlaczego takiego prawa nie mieliby mieć Polacy. Myśl ta tym bardziej nie wydawała się mrzonką, że cesarz Francji Napoleon III w kuluarach dyplomatycznych dawał do zrozumienia Polakom, iż po Włoszech przyjdzie także czas na Polskę.

OD MANIFESTACJI DO KONSPIRACJI

Pod wpływem impulsu wywołanego przegraną Rosji w wojnie krymskiej pierwsze polskie kółka konspiracyjne rozpoczęły działalność na Uniwersytecie Kijowskim, gdzie w 1857 r. powstał

Związek Trojnicki, i w Petersburgu, gdzie w tym samym roku powstało konspiracyjne koło polskich oficerów studiujących w Akademii Sztabu Generalnego. Rok później, jesienią 1858 r., powstały pierwsze konspiracyjne kółka studenckie. Z racji swojego charakteru miały one ograniczoną możliwość szerszego oddziaływania. Z tego względu postanowiono wskrzęcić życie polityczne Polaków przez organizowanie manifestacji ulicznych. Sytuacja taka była także spowodowana odebraniem Polakom jakichkolwiek instytucjonalnych form reprezentacji przed carem. Strona rosyjska doprowadziła do takich relacji, w których do cara nie można było legalnie napisać nawet podania. Odebranie Polakom jakiegokolwiek podmiotowości polityczno-instytucjonalnej nie dawało przeciętnemu człowiekowi właściwie żadnego wyboru zawodowego na przyszłość. Polski szlachcic mógł albo wyjechać za granicę, udając się na emigrację, albo służyć carowi i stanowić część aparatu opresji przeciw własnym rodakom, albo wreszcie wegetować w swoim dworze, będąc skazanym na konflikt z niewłaszczonego chłopem, zarządzając coraz bardziej nierentownym gospodarstwem.

Dodajmy, że żyjąc w Królestwie lub na ziemiach zabranych, nie było możliwości podjęcia jakichkolwiek studiów, co wymuszało na młodzieży rozpoczynanie nauki w Petersburgu, Moskwie, Kijowie czy Dorpacie. Kiedy wreszcie po wielu zabiegach otwarto Akademię Medyko-Chirurgiczną w Warszawie w październiku 1858 r., to już na wiosnę 1859 r. władze uczelni, by pozbyć się ze szkoły elementów rozpolitykowanych, postanowiły przyspieszyć egzaminy, żeby tą metodą utracić inspiratorów politycznego fermentu. Tym samym zabórca rosyjski chcieli wprowadzić nad Wisłą model akademicki, po którym uczelnie kończyliby ludzie spolegliwi wobec władz w Petersburgu.

Kiedy dziś zarzuca się, że powstanie styczniowe zostało wywołane przez nieodpowiedzialnych młokosów, to trzeba wczuć się w ówczesną sytuację młodych ludzi. Wyobrazić sobie życie, w któ-

rym na każdym kroku człowiek musi płaszczyć się przed skorumpowanym rosyjskim urzędnikiem lub oficerem, następnie idącym po ulicy polskiego miasta i bezkarnie zaczepiającym nasze matki, żony, siostry lub wybranki serc, czego doświadczały m.in. mieszkańcy zarówno Łukowa, jak i innych polskich miasteczek. To był prawdziwy klimat życia w Polsce pod zaborem Moskwy przed wybuchem powstania i stronie

**Wielopolski wpadł na
iście diabelski pomysł
i 6 października 1862 r.
zapowiedział zorganizowanie
branki do wojska carskiego, by
w ten sposób przetrącić polskie
struktury konspiracyjne.
W odpowiedzi władze
podziemne rozpoczęły
przygotowania do powstania**

rosyjskiej bynajmniej zupełnie nie zależało na tym, by ten stan zmienić. Mieliśmy zatem taką oto sytuację: świadomą politycznie szlachtę car i jego przedstawiciele mieli za nic, młodzież nie miała perspektyw, kraj był zacofany gospodarczo i nie było widoków na istotną poprawę tego stanu rzeczy, a chłop na wsi był traktowany jak niewolnik. Jakby tego było mało, urzędnicy carscy ingerowali w bieżące życie Kościoła katolickiego, jawnie wskazując, iż przejście na prawosławie wiązałoby się z możliwością awansu zawodowego.

Jeśli zatem warszawska młodzież rozpoczęła proces organizacji manifestacji patriotyczno-religijnych, to ich powodzenie w stolicy, a potem i na prowincji trafiło na grunt autentycznych odczuć i aspiracji społeczno-politycznych Polaków zarówno w całym Królestwie Polskim, jak i na Litwie czy Białorusi. Pierwszą manifestacją, która w zamyśle

organizatorów miała sprawdzić, na ile hasła patriotyczne są nośne w społeczeństwie stolicy, okazał się pogrzeb generałowej Sowińskiej zorganizowany 11 czerwca 1860 r. Nagle, po blisko 30 latach od upadku powstania listopadowego, okazało się, że ludzi podobnie myślących jest w Warszawie kilka tysięcy.

W związku z rocznicą wybuchu powstania listopadowego 29 listopada 1860 r. miała miejsce pierwsza manifestacja uliczna w stolicy. Potem nastąpiły kolejne wielotysięczne manifestacje, tworząc nowe odsłony sporu z władzą zaborców. I tak 25 lutego 1861 r. odbyła się manifestacja patriotyczna w 30. rocznicę bitwy pod Grochowem. Dwa dni potem w czasie manifestacji na Starym Mieście padły strzały do bezbronnego tłumu, w których wyniku życie straciło pięć osób. Był to wstrząs dla opinii publicznej, ponieważ okazało się, że władze są gotowe bezkarnie strzelać do bezbronnej ludności. W związku z tym dramatem na moment w Warszawie nastąpił tzw. polskie czasy, a władzę nad organizacją 2 marca 1861 r. pogrzebu poległych przejęła tzw. delegacja. Pod koniec marca do rządu wszedł oficjalnie margrabia Aleksander Wielopolski, co miało w zamyśle rosyjskim rozładować napięcie w kraju. Zanim margrabia zaczął na dobre urzędować, 8 kwietnia 1861 r. doszło do masakry ludności na pl. Zamkowym, w której zginęło ponad 100 osób. Ta przelana niewinny krew uruchomiła procesy proinsurekcyjne, które w mojej opinii były nie do zatrzymania.

Kolejne wystąpienia publiczne 1861 r. tylko dynamizowały spór polsko-rosyjski. Dotyczyło to w szczególności manifestacji zorganizowanych w Królestwie Polskim z okazji obchodów rocznicy unii lubelskiej, które miały zasadniczy przekaz przypominający o niepodzielności Rzeczypospolitej w granicach z 1772 r. Kulminacją manifestacji wrześniowo-październikowych był zorganizowany 10 października 1861 r. pogrzeb abp. Antoniego Fijałkowskiego. Przeobraził się on w jedną z największych manifestacji przed wybuchem powstania styczniowego. W odpowiedzi rząd



carski 14 października wprowadził w całym Królestwie stan wojenny, co bezpośrednio zaowocowało w dniach 15–16 października starciami z wiernymi w świątyniach i zamknięciem kościołów. Strona polska z kolei, reprezentująca obóz czerwonych, podjęła decyzję o wejściu na drogę konspiracji, zawiązując 17 października 1861 r. Komitet Miejski. Na koniec roku w grudniu zawiązała się dyrekcja obozu białych, wybierając także szlak konspiracji.

BRANKA – PERFIDIA REALISTÓW

1862 stał się rokiem sprawnej rozbudowy polskiego państwa podziemnego i walki z nim policji carskiej. W lutym 1862 r. pojawił się w Warszawie członek tajnego polskiego koła oficerów w Petersburgu Jarosław Dąbrowski, który dzięki swojej niespożytej energii i umiejętnościom organizacyjnym przyczynił się do rozbudowy organizacji warszawskiej. Struktura w stolicy była tak silna, iż zaczęła promieniować nie tylko na obszar Królestwa Polskiego, ale i na inne zabory oraz ziemie zabrane. Władze podziemne zbudowały strukturę ogólnopolską w trzech zaborach, posiadającą pion cywilny i wojskowy, sieć kurierów, policję, żandarmerię (w tym w stolicy sekcję sztyletników, którzy wykonywali wyroki na kolaborantach). Próby nieudanych zamachów w czerwcu na namiestnika Królestwa

Polskiego Aleksandra Lüdersa oraz w sierpniu na kierującego rządem Aleksandra Wielopolskiego potwierdzały nie tylko sprawność organizacyjną i determinację spiskowców, ale i ich rewolucyjne nastroje.

W tym czasie za rosyjskim przyzwoleniem margrabia Wielopolski wprowadzał swój pakiet reform w postaci częściowego przejmowania z rąk rosyjskich urzędów rozbudowy szkolnictwa polskiego oraz powołania Szkoły Głównej w Warszawie. Były to reformy potrzebne, ale podjęte za późno i w tym momencie nie były już w stanie zaspokoić rozbudzonych aspiracji patriotycznych. Na początku września 1862 r. podziemna organizacja narodowa ujawniła swoje istnienie. W obliczu narastającego wzrostu wpływów konspiratorów na serca i umysły Polaków Wielopolski wpadł na iście diabelski pomysł i 6 października 1862 r. zapowiedział zorganizowanie branki do wojska carskiego. Branka w swoim zamyśle – przez utworzenie list proskrypcyjnych blisko 8 tys. najbardziej zaangażowanych młodych działaczy w sprawy narodowe w skali kraju – miała przetrącić struktury konspiracyjne. Cała operacja była organizowana w ścisłej współpracy z policją i administracją rosyjską. W odpowiedzi władze podziemne ogłosiły wprowadzenie podatku narodowego i rozpoczęły przygotowania do powstania,

które miało wybuchnąć w momencie ogłoszenia terminu branki.

Pobór na siłę do wojska carskiego młodego człowieka był życiowym wyrokiem, ponieważ służba w rosyjskiej armii mogła trwać nawet do 25 lat. Żeby zrozumieć dramat pokolenia Polaków u progu 1863 r., trzeba sobie wyobrazić dziś podobną sytuację i zapytać siebie, czy bez sprzeciwu zaakceptowalibyśmy sytuację, by za dwa tygodnie nasi 20-letni synowie, bracia czy wnukowie opuścili rodzinne domy na ponad dwie dekady, żeby odbywać służbę wojskową w armii rosyjskiej, i w tym czasie każdego dnia mogliby stracić swoje zdrowie, a nawet życie.

Wyznaczenie przez Wielopolskiego terminu branki w stolicy na 14–15 stycznia 1863 r. było w pełni przemyślane. Margrabia oraz wspierający go rosyjscy urzędnicy i policjanci zakładali, iż zimowy miesiąc sparaliżuje możliwości przeciwdziałania brance przez konspiratorów w Warszawie. Centralny Komitet Narodowy postawiony pod ścianą 3 stycznia 1863 r. podjął dramatyczną decyzję o wybuchu powstania, mając świadomość, iż dla oddziałów powstańczych nie ma wystarczającej ilości broni. Żeby przeciwdziałać zorganizowaniu branki na prowincji, ostatecznie wyznaczono termin wybuchu powstania na 22 stycznia 1863 r. Mimo tak trudnej sytuacji Polacy wybrali jednak drogę walki o wolność. 



Męskie granie

Kinowy weekend będzie należał do nich. Brawurowych „Niebezpiecznych dżentelmenów” prosto z Zakopanego, którzy już podbili Warszawski Międzynarodowy Festiwal Filmowy, oraz do Irlandczyków nagrodzonych Złotymi Globami za „Duchy Inisherin”



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

To miał być tekst o – uchwyconej na ekranie – młodopolskiej ekspozycji. Wychodzącej poza ramy epoki, historii, gatunków i aktorskiego emploi. Tekst o bohaterach swoich czasów: Stanisławie Ignacym Witkiewiczu, znanym jako Witkacy (i grającym go Marcinie Dorocińskim), Tadeuszu Żeleńskim, który właśnie dodaje do swojego nazwiska przydomek Boy (oraz Tomaszu Kocie), Josephie Conradzie, urodzonym jako Józef Teodor Konrad Korzeniowski herbu Nałęcz (świetnie sportretowanym przez Andrzeja Seweryna) oraz antropologu Bronisławie Malinowskim, z którym do melanezyjskiej wyprawy szykuje się w filmie Wojciech Meczaldowski.

Miał to być tekst o bohaterach wkręconych przez (debiutującego w roli reżysera) Macieja Kawalskiego w rozpisaną na wiele zaskakujących wątków, kryminalno-komediową intrygę. Rozgrywającą się w początkach minionego stulecia w kulturalnym tyglu uwielbianego przez bohemę Zakopanego. Zuchwale rozegraną

na wszystkich filmowych poziomach – od scenariusza, przez scenografię, kostiumy, charakteryzację, po – last but not least – aktorską szarżę. Zarówno w głównych kreacjach, jak i rozbijających widza rolach drugiego planu, a także epizodach.

WIDZ MA ZAWSZE RACJĘ

Jako pierwsi docenili „Niebezpiecznych dzentelmenów”, jeszcze w październiku ub.r., widzowie 38. Warszawskiego Międzynarodowego Festiwalu Filmowego. Swoimi głosami przyznali mu nagrodę publiczności. Teraz bohaterowie filmu trafiają do kin całej Polski. I choć – po tylu zachwytach płynących również od krytyków – przez pierwszy kwadrans widzowie może będą się zastanawiać, o co ten szum, to już kolejne kadry powinny ich wciągnąć w rozkręcającą się dynamicznie akcję, pełną dodatkowych historyczno-aktorsko-aktualnościowych smaczków. Opowieść uniesioną ze swadą przez wspomnianych już Marcina Dorocińskiego, Tomasza Kota, Wojciecha Meczaldowskiego i Andrzeja Seweryna.

Przygody „Niebezpiecznych dzentelmenów” są fikcją, ale wiele jest w tej historii prawdziwych postaci i możliwych wątków (był czas, gdy Witkacy, Malinowski i Żeleński chcieli tłumaczyć dzieła Conrada na język polski; w 1914 r. Korzeniowski przebywał w Zakopanem, niemal w tym samym czasie co trzech pozostałych

bohaterów). Jest też jedno intrygujące podobieństwo. Jak Tadeusz Boy-Żeleński reżyser i zarazem autor scenariusza Maciej Kawalski, nim ostatecznie wybrał sztukę, również praktykował medycynę.

Zapewne z tego właśnie powodu to wahającego się co do wyboru drogi pediatrę – który od leczenia woli spotkania z literaturą – uczynił głównym bohaterem. I to jego wystawił na liczne próby, by mógł po nich podjąć jedyną słuszną, dotyczącą przyszłości decyzję.

Momentem przełomowym okazała się wspomagana egzotycznym specyfikiem impreza w domu Witkiewicza. Boy-Żeleński budzi się po niej, nie kojarząc wydarzeń poprzedniego dnia. Łuki w pamięci mają też wyrwani przez niego gwałtownie ze snu gospodarz oraz jeszcze dwaj jego goście – Bronisław Malinowski i Joseph Conrad. Trzeciego delikwenta, który pozostał z tłumu przelewającego się nocą przed dom, nie da się dobudzić. Ma dziurę w sercu. Tymczasem do drzwi zaczynają się dobijać żandarmi...

By wyjaśnić, co się wydarzyło, czterej tytułowi dzentelmeni przemierzają Zakopane A.D. 1914, wędrując po górskich szlakach i docierając nawet do Poronina, po drodze spotykając nie tylko artystyczne osoby, takie m.in. jak Karol Szymanowski, Zofia Nałkowska czy Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, ale też Józefa Piłsudskiego, Lenina i Nadieżdę Krupską.

ZAWODOWA PRZYJEMNOŚĆ

Od napisania scenariusza do wejścia na plan minęło pięć lat. Maciejowi Kawalskiemu udało się utrzymać w projekcie wyjątkowych aktorów. Czy między nimi nie iskrzyło?

– Każdy z nas ma inną pozycję, dysponuje innymi środkami aktorskimi, inaczej się uzewnętrznia. Mamy inne doświadczenia i przeszłość, inne plany. Dlatego nie było między nami żadnego problemu – zapewnia Andrzej Seweryn.

Tomasz Kot dodaje: – Wszystko jest kwestią uczciwości zawodowej. Jeżeli chcemy stworzyć dobry film, to oczywiście pewne konflikty interesów mogą się zdarzyć, koncepcje mogą się między sobą ścierać, ale w gruncie rzeczy są to twórcze aspekty, które mogą pomóc całości.

Wojciech Meczwaldowski wtóruje: – Nie było żadnych przepychanek czy rywalizacji, to była czysta przyjemność, nauka i to, co najważniejsze: cudowna zabawa naszym zawodem.

Tomasza Kota ucieszyła szansa pracy z Marcinem Dorocińskim (wcześniej ich drogi skrzyżowały się tylko raz, na planie serialu „Camera Cafe”, 2004). Bardzo też sobie ceni wyjątkowo dużo scen zagranych z Andrzejem Sewerynem. – To była wielka przyjemność pracować z legendą polskiego kina – mówi.

W NOWEJ ODSŁONIE

Wydaje się, że panowie spotkali się przed kamerą w najlepszym czasie. Mimo różnych zawodowych doświadczeń, aktorskiej ekspresji i charakterów stworzyli niezwykle zgrany duet. Jak to było możliwe?

Tomasz Kot ma za sobą udział w filmie nominowanym do Oscara i pracę na zagranicznych planach. Mógł stać się partnerem dla aktora, który przez wiele lat widział w sobie wybrańca sztuki, kogoś wtajemniczonego, szlifującego mistrzowski poziom m.in. w zespole Comédie-Française.

W ostatnich latach, takie można odnieść wrażenie – i zawodowo, i w międzyludzkich relacjach – Andrzej Seweryn zszedł z artystycznej katedry. Od czasu roli w „Ostatniej rodzinie” (2016), przez najnowsze – w filmie „Śubuk”, serialach „Rojst”, „Dom pod Dwoma Orlami”, a przede wszystkim w wyprodukowanej dla Netflixa „Królowej”, w której wcielił się w drag queen – zrzucił strój wielkiego aktora i dyrektora renomowanego teatru i zbliżył się do ludzi.

Szansę na pokazanie się w innej odsłonie wykorzystał też na planie „Niebezpiecznych dżentelmenów” Marcin Dorociński, grający do tej pory niedopowiedzeniami, tajemnicą i stłumioną ekspresję swoich bohaterów. Jego Witkacy ma w sobie dynamizm i przewrotność, uwolnioną z konwenansów arogancję i przyzwolenie na eksperymenty, m.in. z używkami. Jest skupiony na sobie i nie liczy się z innymi. Dorociński zagrał go wyjątkowo, jak na wcześniejsze kreacje szeroko.

– Zmierzenie się z legendą, z artystą totalnym, którym był Witkacy, było moim marzeniem. Jestem wdzięczny za zaufanie i powierzenie mi tej roli. Wiem, że nie była to oczywista decyzja z uwagi na moje dotychczasowe, dramatyczne emploi – komentował.

W zupełnie inną stronę podążył za swoim bohaterem Wojciech Meczwald-

dowski. W kontrze do produkcji ostatnich lat (seriele: „Kowalscy kontra Kowalscy”, „Klangor”, film „Śmierć Zygielbojma”) stworzył postać naukowca i badacza o niezwykle potężnym potencjale, a jednocześnie człowieka bezwonnego wobec silniejszych osobowości.

– Moja praca polega na tym, że mam się w kogoś wcielić, więc oczywiście staram się do niego upodobnić najbardziej, jak to możliwe. Dzięki charakterystyce, kostiumom, materiałom od reżysera i tym, co udało mi się znaleźć, powstał Broniu. Nie mieliśmy materiałów wideo i audio o Malinowskim, więc została mi tylko wyobraźnia – ocenił efekt.

ZŁOTO DLA IRLANDII

Poza swoje dotychczasowe emploi wyszedł też Colin Farrell, nagrodzony właśnie Złotym Globem za rolę w „Duchach Inisherin”. Filmie – uhonorowanym również w kategoriach: najlepsza komedia lub musical oraz oryginalny scenariusz – wchodzi na duże ekrany w tym samym czasie co „Niebezpieczni dżentelmeni”. Dlatego polską produkcję uzupełnił irlandzkim przebojem. Zwłaszcza że „Duchy Inisherin” to też bardzo męskie kino.

Stworzone przez Martina McDonagha – Irlandczyka nominowanego w 2018 r. do Oscara (w kategoriach: film, reżyseria i oryginalny scenariusz) za „Trzy billboardy za Ebbing, Missouri” oraz w 2009 r. za scenariusz „Najpierw strzelaj, potem zwiedzaj”, zdobywca w 2006 r. Oscara za krótkometrażowy aktorski film „Sześciostzałowiec”.

Tym razem McDonagh ściągnął do Irlandii urodzonych tu Brendaną Gleesoną i Colina Farrella, aktorów, którzy zagraли główne role w jego debiutanckim pełnym metrażu „Najpierw strzelaj, potem zwiedzaj”. Farrelowi powierzył rolę, która pozwoliła mu się odbić aktorsko od wizerunku budowanego w ostatnich latach za sprawą dramatycznych, często mrocznych czy wręcz demonicznych postaci – jak w serialu „Na wodach północy” (2021) czy filmie „Batman” (2022, gdzie zagrał Pingwina). A do drużyny kinowych dżentelmenów Farrell dołączył w 2019 r. na zaproszenie Guya Ritchiego – reżysera, który wprowadził właśnie do kin swój kolejny szpiegowsko-sensacyjny film „Gra fortuny”.



Diamencik z mamy

Nowy Jork zezwolił na kompostowanie ludzkich zwłok. Ta przyjazna dla środowiska i klimatycznie inteligentna alternatywa dla tradycyjnych pochówków i kremacji ma zmniejszyć o tysiące ton emisję dwutlenku węgla.

Do zrobienia wisiorka ze zwłok potrzeba od 200 do 500 g ludzkich prochów. Tego typu usługi są na rynku od kilkunastu lat. Biżuterię żalobną sprzedaje się również w Polsce. Cóż, jesteśmy kosmicznym pyłem, dzieckiem przypadku. Jedyne zgodne z nauką światopogląd to materializm, a ateizm jedyną postawą godną człowieczeństwa. Takie właśnie przekonanie zostało przez ostatnie trzy wieki ugruntowane w powszechnej świadomości społeczeństw Zachodu.

Nie potrzeba Kościoła w Boże Narodzenie, nie potrzebujemy religii, wiara jest potrzebna tylko ludziom, którzy nie mogą pogodzić się z tym, że będą gnić w ziemi. Zróbmy więc z mamy szykowny diamencik.

Czy czasopismo, które trzymacie w ręku mogło powstać przypadkowo? Czy możliwe jest, by te kolorowe zdjęcia nie miały autora? Czy czarny tusz mógł sam ukształtować się w litery tworzące sensowne zdania? Czy 82 numery stron mogły się przypadkiem ułożyć we właściwej kolejności? Luźne kartki same spiąć i wydrukować cenę?

Tym bardziej DNA – czy może być dziełem przypadku? Biologiczny szyfr, informacja, czym jesteśmy. Ta instrukcja życia ma 46 tekstów – chromosomów, każdy artykuł liczy od 48000000 do 250000000 milionów liter.

Co pomyślałbyś o umyśle kogoś, kto twierdziłby, że kolorowe czasopismo może napisać się i wydrukować samo? W przypadku DNA mamy do czynienia ze strukturą nieskończenie bardziej skomplikowaną. Mówimy o wszystkich formach życia, pchłach, kotach, porostach, krokodylach, słoniach, baoba-

bach, muchach. Jak program komputerowy może napisać się sam?

Twierdzenie, że DNA to dzieło przypadku, jest nieskończenie głupsze od stwierdzenia, że kilkudziesięciostronowe czasopismo może zrobić się samo. Oczywiście jest, że za inteligentnym projektem stoi projektant. DNA jest złożone w stopniu niepojętym, musiał istnieć geniusz, który to wszystko sprawił.

A Wielki Wybuch? Wszystkie znane wybuchy prowadzą do chaosu, nie do porządku. Jak porządek od atomu do Wszechświata mógł powstać przez przypadek? Skąd wziął się materiał do Wielkiego Wybuchu? Z nicości? Jak nic może stworzyć wszystko? Zawsze musi być coś na początku. A ateści twierdzą, że nicosis stworzyła wszystko. Nie jesteś jakąś nieistotną kroplą, powstała z eksplozji prowadzącej do ładu, co nie zdarza się w przyrodzie. Masz cel i znaczenie we Wszechświecie. Tak z grubsza przedstawia się argumentacja zwolenników hipotezy inteligentnego projektu.

Kilka lat temu KAI opublikował rozmowę z Krzysztofem Meissnerem, fizykiem teoretykiem pracującym na Wydziale Fizyki UW i uczestniczącym w badaniach w CERN w Genewie. Przedstawione w niej rozumowanie przebiegało mniej więcej tak.

Podstawę naszego istnienia, przewidywania i w ogóle racjonalności stanowi fakt, że świat materialny jest uporządkowany i logiczny. Jednak wyciągnięty z kapelusza Wszechświat z prawdopodobieństwem równym jeden powinien być chaotyczny. To, że nie jest, oraz fakt istnienia całkowicie niewytłumaczalnego Logosu powinien budzić nasze najwyższe zdumienie. Najbardziej niezrozumiałe jest bowiem właśnie to, że w ogóle cokolwiek daje się zrozumieć.

Mimo ograniczeń naszego umysłu i ogromnych braków naszej wiedzy ten Logos, choć subtelny, nie jest tak ukryty, byśmy go nie mogli w jakimś sensie znaleźć i doświadczyć.



ROBERT TEKIELI

W fizyce doszło do radykalnej zmiany obrazu rzeczywistości. Miała ona miejsce w XX w. i w całkowitym przeciwieństwie do oczekiwań oraz wyobrażeń XIX-wiecznych dopuściła możliwość istnienia – nawet w świecie czysto materialnym – obszarów Wszechświata czy zjawisk z natury rzeczy niemożliwych do zbadania i opisu, czyli tajemnic.

Skoro tajemnica jest obecna nawet w tak jawnej i poznawalnej dziedzinie jak fizyka, więc być może podstawowe twierdzenie oświeceniowe, że tajemnicy nie ma nigdzie, nawet w sferze psychicznej czy duchowej, jest po prostu fałszywe. Tyle prof. Meissner. Zachodnia wyobraźnia zbiorowa powoli wydobywa się z ateistycznego urojenia.

Jeśli nie zaczniesz szukać, nie znajdziesz. W tej sekundzie Bóg wychodzi do ciebie, chcesz, by twoje życie uległo zmianie? Ciemność, nic nie ma smaku, gęsty mrok, przerażenie, lęk o przyszłość – takie jest moje doświadczenie. Dwa lata wyciągałem rękę, prosiłem: mów do mnie dużymi literami, nic nie rozumiem, zwracam się ku Tobie, a jest tylko gorzej i gorzej.

Gdy poddałem Ojcu swoją wolę, wszystko się zmieniło. Przestali mówić: „Ty w ogóle się nie uśmiechasz”. Wróciły barwy, zacząłem znów podnosić wzrok, okazało się, że domy mają nie tylko progi, ale i balkony. Czasami nawet coś wesołego nuci pod nosem. Jest szlak, a nie pętla. Tajemnica szczęścia. Pamiętam. 

Niewarte Zaczyna się świetnie: „Dzisiaj stanie się bogiem. Tak powiedziała mu matka”. Dalej ekscytujący opis politeistycznego rytuału, powieść rozpędza się, po drodze zemsta, zaszyte powieki, trucizna, samobójstwo, intrygi, stele z głowami jaguarów stojących na straży wielkich czworobocznych piramid i biseksualna kobieta kapitan – zhańbiona Teekijka, której pieśń ma moc uspokajania morza i wypaczania ludzkich umysłów.

Na wyklejce drugiej strony okładki powieści **„Czarne słońce”** Rebecki Roanhorse zamieszczono obowiązkową „starożytną” mapę, a na niej to, co trzeba: Morze Półkiszycowe, ląd Meridian, Góry Obregi, port Tovasheh, miasta, równiny, wyspy, lasy. A kilka stron dalej: „Iktan był jej przyjacielem i z pewnością jej nie osądzał, ale czasami zastanawiała się, czy patrząc na nią, nie myślał, że znalazła się w sytuacji, która ją przerosła”.

Rebecca Roanhorse ma Nagrody Hugo i Nebula. Nowe pokolenie pisarzy fantasy jest już częścią nowego wspaniałego świata. Popkultura idzie jak walec. I w Polsce wkrótce co trzecie dziecko będzie miało problemy z identyfikacją płciową.

Inną lewicową mitologię, tym razem „niewinnego dzikusa”, głoszą dwie ostatnie głośne produkcje. „Żyliśmy tu przed wami, w harmonii z przyrodą i rdzenną ludnością. Ale zagarnęliście nasze ziemie i wyróżniliście niewinnych. To wy jesteście prawdziwymi potworami” – mówi bohaterka serialu **„Wednesday”**, nowej odsłony sagi Addamsów. Bardzo lubię niektóre wcześniejsze produkcje o kochającej się rodzinie masochistów, sadystów i sadomasochistów za poczucie humoru i przewyżnienie niebezpieczeństw płynących z posługiwania się przez bohaterów językiem odwróconych wartości. Tu jednak ta sztuka się nie udała.



– wszystko to w rytmie kryminału. Rzecz dzieje się w Akademii Wojskowej w West Point, makabryczne zabójstwo, dotknięty cierpieniem i rodzinną tragedią błyskotliwy detektyw, współpracujący z nim kadet, neurotyk i oryginał, czyli Edgar Allan Poe. Tak, obsada jest imponująca: obok Bale’a grający poetę i momentami kradnący mu show Harry Melling („Gambit królowej”, „Harry Potter”) oraz oszalałymi zestaw aktorów drugoplanowych: Toby Jones (Truman Capote w „Bezskrupułów”), Timothy Spall („Pan Turner”, „Harry Potter”), Simon McBurney („Teoria wszystkiego”, „Mission: Impossible”), a do tego jeszcze Charlotte Gainsbourg, Gillian Anderson i Robert Duvall. Do tego kostiumowa i scenograficzna wierność epoki, bardzo niezłe zdjęcia – z ujęciem bukowo-sosnowego lasu z drona godnym Greenaway – oraz smaczne dialogi w romantycznym sosie: „Do twarzy ci z makabrą, nawet bardziej niż w mundurze”, „Zachwycająca uroda. Niemal życzy mu się umrzeć młodo”.

Widza ma zwodzić sztampowe – wydawałoby się – oskarżenie opresyjnego Systemu w postaci odczłowieczającej Akademii, jest ono bowiem w istocie autooskarżeniem. Cooper na serio nie pozwoliłby zarzucać szkole wojskowej, iż pęta ona młodzieńców zasadami i przepisami. Byłby to gest zbyt radykalnie gimnazjalny.

Teza „Bielma” brzmi: „Każda zbrodnia popełniona przez chrześcijan płami imię Chrystusa”. Jezus – jak udowodnił – nie boi się zniewag, bluźnierstw, niesprawiedliwości. Jednak oskarżanie kogoś, kto oddał życie, by ochronić ofiary zbrodni, że te zbrodnie go oskarżają, jest... No właśnie czym? Absurdem czy wyzwaniem dla mnie i dla ciebie, chrześcijanie?

Jednym z głównych wątków filmu są tak częste w sztuce trzech minionych wieków przedstawienia świata wiedzy tajemnej, pasja rozwiązywania zagadek, łamanie szyfrów – my wiemy, że to poszukiwanie zagubionej transcendencji, nowożytne złudne nadzieje. Bo zagadka to tylko zagadka, a nie tajemnica. By nie spoilerować, nie mogę rozwinąć tak ważnych dla filmu motywów zabobonu, powszechnego przecież i dziś poszukiwania mocy, choćby w bezradnej tak często psychologii czy medycynie. „Moja sztuka mnie zawiodła... więc z Bogiem, a choćby mimo Boga... byle jej stan się polepszył...”

Bohater w pewnym momencie w całkowitej bezradności dokonuje aktu wiary, kładąc rękę na obrazie z obliczem Zbawiciela w geście modlitwy. Ale cała jego postawa zawiera się w słowach skierowanych do człowieka zrozpaczonego: „On ci nie pomoże” – to o Jezusie. I w efekcie dodawanie zła do zła, ale ten bunt rodzi się z cierpienia!

Robert Tekieli, Polskie Radio



Podobnie jest z **„Avatarem”**. To czysto newage’owa opowieść o Wszechmatce, świadomej biosferze i zwierzętach mądrzejszych od ludzi. Świetnie zrobiona nuda. Ale oglądana, a swoją robotę zrobi – myślę o imaginariu niekompatybilnym z chrześcijańskim. Oddaliśmy nasze dzieci w ręce wroga.

Warte **„Bielmo”** Scotta Coopera, thriller z laureatem Oscara i dwóch Złotych Globów Christianem Bale’em, to teologiczny traktat, może też krzyk rozpacz.

Bezradność wobec skrzywdzonej niewinności, oskarżenie Boga o to, że dał nam wolną wolę, co oznacza zdolność do zbrodni



Eat the rich” (Pożeraj bogatych) – neomarksistowskie hasło, które przybrało na sile podczas marszów ruchu Black Lives Matter wykreowanego przez teoretyków krytycznej teorii rasy, wybrzmiewa coraz silniej w mainstreamowym kinie. Od „Parasite”, przez „Jokera”, aż po „W trójkącie”, który obecnie gości na kinowych ekranach. Ruben Östlund zdobył za „W trójkącie” swoją drugą Złotą Palmę. Należała mu się za kapitalną satyrę „The Square”, która w błyskotliwy i subtelny sposób wbijała szpile w szwedzką polityczną poprawność, napuszenie kreatorów sztuki współczesnej, ale była też krytyką społeczną poprowadzoną z pozycji lewicowych.

Teraz Östlund grubo ciosa satyrę z obrzydliwie bogatych pasażerów ekskluzywnego statku i jego kapitana o twarzy Woody’ego Harrelsona, który zapija się na śmierć, nie mogąc wybaczyć sobie służenia bogatym. Jest zdeklarowanym marksistą, który w przerwie między toczeniem boju z rosyjskim oligarchą przyznającym, że dorobił się dosłownie „na gównie”, o wyższości socjalizmu nad kapitalizmem, doprowadza statek do katastrofy. Film „W trójkącie” momentami celnie uderza w środowisko influencerów, dyktaturę mediów społecznościowych i ostatecznie pokazuje też, czym kończy się władza prześladowanego przez kapitalistów coraz bardziej autorytarnego proletariatu. Niemniej to, co zostaje po seansie okadanego przesadnie przez krytyków dzieła Östlunda, to kilkunastominutowa scena taplania się przedstawicieli 1 proc. najbogatszych ludzi globu we własnych wymiotach i ekskrementach, która podsumowuje poziom satyry tego przecież niezwykle utalentowanego szwedzkiego filmowca. Cóż, Monty Python zrobił to o wiele bardziej przenikliwie cztery dekady wcześniej w skeczu z grubasem w ekskluzywniej restauracji.

W restauracji rozgrywa się akcja kolejnego filmu o wojnie klas, gdzie hasło „eat the rich” przybiera dosłownego znaczenia. Wypro-

dukowany przez jednego z czołowych socjalistów w Hollywood Adama McKaya (Oscar za „Big short” i reżyser m.in. „Vice” oraz „Nie patrz w górę”) „Menu” Marka Mylod’a to opowieść o jednym wieczorze w ekskluzywniej restauracji na prywatnej wyspie, który zamieni się w rzeź. A więc powtórka z „Kucharz, złodziej, jego żona i jej kochanek” (1989) Petera Greenawaya? Trudno nie szukać u Mylod’a tej inspiracji, choć „Menu” skręca w stronę przypowieści o zemście proletariatu nad 1 proc. najbogatszych. Pochodzący ze Słowacji Julian Slowik (Ralph Fiennes) prowadzi absurdalnie ekskluzywną restaurację, znajdującą się na wyspie, gdzie można tylko dopłynąć albo dolecieć samolotem. Posiłki są przygotowywane wyłącznie ze składników rosnących i hodowanych na wyspie, a wygląd dań może zachwycić już tylko najbardziej zmanierowanych i zblazowanych cyferkami na koncie „królów życia” globalizmu.

Goście płacą za to, co Slowik ze swoją karną armią kucharzy im podadzą w czasie wieczoru, który jest z pietyzmem wyreżyserowanym show z konkretną dramaturgią teatralną, wzmacniającą zmysł smaku.

Na kolacji są zakłamanymi biznesmeni, aroganccy managerowie, czołowa krytyczka kulinarna (Janet McTeer), mająca siłę zniszczyć każdą restaurację, starzejący się i obłudny gwiazdor kina akcji (John Leguizamo), zakochani i pragnący uznania Slowika synalek bogatych rodziców Tyler (Nicholas Hoult). Na imprezie pojawia się przypadkowo Margot (Anya Taylor-Joy), której obecność stanie się kluczowa dla całej intrygi. Wszyscy mają na sumieniu jakieś grzechy, za które karano nie tylko u Finchera w „Siedem”. Kara ma nadejść na wyspie, ale uczta u Slowika zamienia się w horror również dlatego, że on, maestro kuchni, sam zamienił się w cynika służącego bogatym filistrom i prostakom. Slowik jest jak kapitan statku „W trójkącie”, który jednak nie szuka ukojenia moralnego w kieliszku. On planuje zemstę o wymiarze wręcz starotestamentowym.

Wojna klasy „dawców” i „biorców” jest motywem przewodnim „Menu”. Jedna z postaci musi nawet zdecydować, czy należy do klasy wyzyskiwanej, czy wyzyskującej. Jest to istotne, choć obie klasy słyszą, że skończą tak samo. U Östlunda rozbili się na bezludnej wyspie, a u Myloda lądują na jednym widelcu. To ciekawe, że współcześnie neomarksieści, którzy swoją rewolucję robią za pieniądze zarobione w „obrzydlivie bogatym” Hollywood, nie widzą w swojej rewolucji promyka nadziei. Apokalipsa klimatyczna nadeszła przecież również w „Nie patrz w górę”, a u Bonga w „Parasite” przegrali absolutnie wszyscy. Eschatologia marksistowska – jak widać – jest w swoim rozkwicie.

Bronię jednak „Menu” i polecam ten film o wiele mocniej niż „W trójkacie”, choć antykapitalistyczna wymowa obu jest mi daleka. Jednak tutaj satyra jest lepiej napisana i subtelniej rozegrana. Może dlatego, że Mylod wraz ze scenarzystą Willem Tracym pracowali przy najwybitniejszej (obok antologii „Białe Lotosy”) opowieści o mrokach duszy miliarderów, czyli „Sukcesji”? Widać w „Menu” odpryski głębokiej ironii tego serialu. Jest to też kawał świetnie zagranego kina, gdzie Ralph Fiennes pokazuje swoją zdumiewającą wszechstronność, a wam po seansie zechce się klasycznego cheeseburgera. Ostrzegam więc, że finał oburzy zdeklarowanych wegan.

„MENU” NA DISNEY PLUS



Body shaming to nowy fetysz piewców politycznej poprawności. Nie wolno krytykować nikogo za wygląd i upominać go, by zrzucił kilogramy, mimo że one doprowadzają go do poważnych chorób i śmierci. Ta celebrowanie wiktymizacji niszczy nie tylko tych, którzy powinni schudnąć, by uchronić się przed cukrzycą i nowotworami, ale uderza w całą wspólnotę, obciążając system opieki zdrowotnej. Dlatego mam ambiwalentny stosunek do oklaskiwania go na festiwalach w Wenecji i Toronto „Wieloryba” Darrena Aronofsky’ego. Ten film jest erupcją usprawiedliwiania osoby popadającej w autodestrukcję.

Brendan Fraser w latach 90. rozkochiwał w sobie kobiety jako symbol seksu z „Mumii”. W ostatnich latach mocno przytył i nie mógł znaleźć dla siebie ciekawych ról. Dopiero Aronofsky znalazł na niego pomysł, obsadzając go w roli Charliego, chorobliwie otyłego nauczyciela, który wstydzi się włączyć kamerkę

podczas wykładów ze studentami. Jedyną osobą, która go odwiedza, jest pielęgniarka i przyjaciółka Liz (Hong Chau, która wciela się też w prawą rękę Słowika w omawianym wyżej „Menu”). Przynosi mu kolejne porcje śmieciowego jedzenia, ale namawia też na leczenie, którego Charlie systematycznie odmawia. Liz wie, że zostało mu niewiele czasu. W ciągu dni jego otłuszczone organy odmówią posłuszeństwa. W życiu obżerającego się Charliego pojawia się porzucona przez niego w dzieciństwie zbudowana i gniewna córka Ellie (Sadie Sink). Akcja opartego na sztuce i scenariuszu Samuela D. Huntera filmu rozgrywa się w ciągu tygodnia, podczas którego Charlie będzie musiał zderzyć się z własnymi demonami i odkupić winy przed swoją córką. Dlaczego ten oczytany, błyskotliwy i zafascynowany esejem o Moby Dicku mężczyzna doprowadził się do takiego stanu? Co powoduje, że świadomie pędzi w stronę góry lodowej, odmawiając ratunku?

Aronofsky gra znaczącymi kartami ze swoich poprzednich filmów. Relacja pełnego wyrzutów sumienia ojca ze zbuntowaną córką poruszała bardziej w „Zapaśniku”, gdzie upadły mężczyzna o twarzy Mickeya Rourke’a zmagał się ze swoim zepsutym ciałem i ojcostwem. Reżyser dotyka też wątku religijnego, krojąc swój film święconą wodą mieszaną New Age i chrześcijaństwa, co widzieliśmy w jego nieznosnej „Mother!”. Hunter wychował się w rodzinie episkopalnej i potem ujawnił, że jest gejem. Fundamentalizm religijny i homoseksualizm jest motorem scenariusza „Wieloryba”, który ma zresztą swój ukryty biblijny wymiar. Finał rozgrywa się w piątek, gdy ciało Charliego jest już najmocniej umęczone, a duch czeka na uwolnienie.

Fraser tworzy najlepszą rolę w swojej karierze. Nadaje Charlie’emu ludzkiego wymiaru i głębi. Jego rozpaczliwa próba ratowania odrzuconej córki jest poruszająca. Problem w tym, że naskórkowe usprawiedliwianie obżarstwa Charliego drażni i wpisuje się właśnie w szkodliwe uświęcenie wiktymizacji, co osłabia ludzki wymiar kreacji Fräsera. Szczytem kiczowatego symbolizmu jest scena, gdy ledwo kroczący Charlie cytuje fragment z Hermana Melville’a o nieuniknionej potrzebie zabicia wieloryba. Lars von Trier w finalnej i kiczowatej scenie „Przełamując falę” miał więcej beczelnej ironii, której temu filmowi zabrakło. Niemniej warto zobaczyć Fräsera w klaustrofobicznym ujęciu stałego współpracownika Aronofsky’ego, operatora Matthew Libatique’a. Potym filmie ochota na cheeseburgera zrobionego nawet przez Słowika przejdzie szybko.

„WIELORYB” DOSTĘPNY NA PRZEDPREMIERACH. W KINACH OD LUTEGO

Polska po raz pierwszy gospodarzem Mistrzostw Świata w Piłce Ręcznej

Nie boimy się NIKOGÓ!

Młodzi, głodni sukcesu, bez kompleksów, zdolni do nieszablonowych zagrań i nawiązania walki z najlepszymi! Oto najkrótsza charakterystyka reprezentacji Polski w piłce ręcznej, która bierze udział w największym święcie sportowym w tym roku w naszym kraju. Polska po raz pierwszy w historii jest współgospodarzem mistrzostw świata, które organizujemy wspólnie ze Szwecją. Nasza reprezentacja przeszła w ostatnim czasie wymianę pokoleniową i pisze nową historię, starając się nawiązać do największych sukcesów biało-czerwonych medalistów mistrzostw świata, czyli kadry prowadzonej przez Bogdana Wente

Selekcjoner biało-czerwonych Patryk Rombel to najmłodszy szkoleniowiec z wszystkich opiekunów 32 ekip biorących udział w turnieju. Gdy objął kadrę w lutym 2019 r., wiedział, że mistrzostwa świata w Polsce będą najważniejszą imprezą, do jakiej będzie musiał przygotować swój zespół. Tej misji nie przerwały nawet kompletnie nieudane mistrzostwa Europy w 2020 r. Mistrzostwa świata rozegrane w 2021 r. w Egipcie były już dużo lepsze w naszym wykonaniu, ale wszyscy polscy kibice liczą, że początek powrotu naszej reprezentacji do ścisłej czołówki piłki ręcznej na świecie rozpocznie się właśnie od turnieju rozgrywanego w halach w Polsce i Szwecji. Dotychczasowa gra biało-czerwonych pokazuje, że nie są to nadzieje pozbawione podstaw.

NIE BALI SIĘ MISTRZÓW OLIMPIJSKICH

Już w pierwszym meczu otwarcia, rozegranym w katowickim Spodku, nasz zespół został poddany próbie najtrudniejszej z możliwych, grając przeciwko obecnym mistrzom olimpijskim z igrzysk w Tokio – Francuzom. Naszpikowana gwiazdami, z legendą światowego szczypiorniaka czterokrotnym mistrzem świata i trzykrotnym mistrzem olimpijskim Nikołą Karabaticiem na czele, drużyna trójcolorowych jest jednym z głównych faworytów do złotego medalu w całej imprezie. Mimo to polski zespół postawił faworytom bardzo twarde warunki, tocząc z nimi wyrównany bój do ostatnich minut meczu i przegrywając zaledwie



dwoma bramkami 24:26. Biorąc pod uwagę teoretyczną różnicę potencjałów obu ekip był to wynik, którego nasi piłkarze absolutnie nie musieli się wstydzić. Liderem naszej gry ofensywnej był Szymon Sićko, który rzucił siedem bramek, a sześć dołożył Arkadiusz Moryto, ale na pochwałę zasłużył cały polski zespół, który zaskoczył mistrzów olimpijskich bardzo twardą postawą w obronie.





AMBICJA ODEBRAŁA SATYSFAKCJĘ

Po tym meczu ambitni polscy szczypiorniści wcale nie wyglądali na zadowolonych, a przeciwnie – wyglądali na rozczarowanych, bo czuli, że sprawienie wielkiej niespodzianki było naprawdę blisko. To postawa warta odnotowania, bo pokazuje, że polscy reprezentanci mierzą naprawdę wysoko i nie zamierzają pękać przed żadnym rywalem, choćby najwyżej notowanym. Odnotować także należy fakt, że emocjonujący mecz otwarcia z Francją był wyrównany mimo absencji w naszym składzie największej obecnej gwiazdy polskiego szczypiorniaka – Kamila

Syprzaka, który na co dzień występuje we francuskim klubie Paris Saint-Germain i zna świetnie wielu francuskich graczy. Niestety, kontuzja wykluczyła naszego obrotowego nie tylko z meczu z Francją, ale i z całych mistrzostw świata.

CELEM SĄ IGRZYSKA

Realnym celem polskiej drużyny w obecnych mistrzostwach świata jest awans do ćwierćfinału, a więc zajęcie przynajmniej ósmego miejsca, które automatycznie uprawniałoby nas do gry w jednym z turniejów przed-

olimpijskich, z których można dostać się do igrzysk, które odbędą się w Paryżu w 2024 r. By ten cel osiągnąć, trzeba zająć jedno z pierwszych dwóch miejsc w grupie fazy zasadniczej, w której białoczerwoni będą rozgrywać swoje mecze w Krakowie.

WRESZCIE MAMY „SWOJE” TRYBUNY

Zarówno zawodnicy, jak i eksperci z Bogdanem Wentą na czele zwracają uwagę, że po raz pierwszy nasi szczypiorniści mają wsparcie tak licznych polskich kibiców w czasie mistrzostw świata.

– W turniejach, w których ja prowadziłem reprezentację, często w najważniejszych meczach mieliśmy hałą przeciwko sobie – mówił przed meczem z Francją Bogdan Wenta, nawiązując zapewne choćby do finału mistrzostw świata w 2007 r., w którym Polska grała z gospodarzami turnieju – Niemcami. – Teraz wreszcie to nasz zespół może poczuć, co znaczy mieć za sobą kibiców podczas takiej imprezy – dodał trener wicemistrzów świata z 2007 r. oraz brązowych medalistów mistrzostw świata z 2009 r.

Ta mieszanka – młodości, nieobliczalności, odwagi w starciu z najlepszymi zespołami i wsparcie kilkunastu tysięcy polskich kibiców zgromadzonych w Spodku czy w Tauron Arenie w Krakowie – może zaprowadzić polski zespół daleko w tym turnieju. Jak daleko? To pytanie, na które odpowiedź poznamy w ciągu najbliższych kilku dni. Trzymajmy kciuki za naszych szczypiornistów, bo ich dobra gra z pewnością pomogłaby nam uzyskać w przyszłości prawo do organizacji kolejnych wielkich imprez rangi mistrzowskiej.

Największa impreza w Polsce tego roku

Mistrzostwa Świata w Piłce Ręcznej to gigantyczne przedsięwzięcie organizacyjne. Ze 112 meczów – 61 odbędzie się w Polsce. Jest aż dziewięć aren mistrzostw – w naszym kraju są to hale w Katowicach, Krakowie, Płocku i Gdańsku. W Szwecji mecze będą rozgrywane w Malmö, Kristianstad, Jönköping, Göteborgu oraz faza finałowa na stadionie Tele2 w Sztokholmie. Drużyny rywalizują w fazie wstępnej, która składa się z ośmiu grup po cztery zespoły. Awans do fazy zasadniczej uzyskują trzy najlepsze ekipy z każdej grupy, a drużyny z czwartych miejsc rywalizują w osobnym miniturnieju o miejsca 25–32. Faza zasadnicza to cztery grupy po sześć drużyn. Dwie najlepsze z każdej grupy awansują do ćwierćfinałów, które będą już rozgrywane systemem play-off. Jeśli chodzi o dorobek punktowy, to liczy się każdy mecz, bowiem zespoły, które awansują do rundy zasadniczej zabierają ze sobą punkty wywalczone w fazie wstępnej. Odpada jedynie to, co udało się ugrać z zespołem, który zajmie czwarte, ostatnie miejsce.



NAJWIĘKSZY SPONSOR
POLSKIEGO SPORTU



Pyszne, bo polskie

Fani polskich specjałów mają powody do radości. Polska kuchnia znalazła się na wysokim 14. miejscu (na 95) najlepszych kuchni świata. Chodzi o internetowy ranking TasteAtlas Awards za 2022 r. Hitem okazały się ruskie pierogi



DOROTA ŁOSIEWICZ

Kolejny rok z rzędu w czołówce rankingu TasteAtlas znalazły się kuchnie krajów z basenu Morza Śródziemnego. W tym roku trzy pierwsze miejsca zdobyły: Włochy, Grecja i Hiszpania. Tuż za nimi uplasowała się kuchnia japońska, uwielbiana przez wielu smakoszy na całym świecie. Kuchnia polska zajęła w zestawieniu wysokie, 14. miejsce, tuż za kuchnią portugalską, brazylijską, chińską, peruwiańską, francuską i amerykańską. Bezpośrednio kuchnia polska wyprzedza niemiecką, indonezyjską i – co ciekawe – chorwacką, której spora część należy do ogromnej śródziemnomorskiej rodziny. Dalsze pozycje za kuchnią polską zajęły m.in.: argentyńska, koreańska, wietnamska, tajska, gruzińska, czeska, słowacka, litewska, ukraińska i węgierska.

– Polska kuchnia to złożona, wielokulturowa mieszanka wspaniałych dań. Jej zaletą jest prostota i ograniczona liczba składników. No, bo jeśli mówimy o składnikach ogólnodostępnych przez wieki, to właśnie z nich: ziemniaków, kapusty, warzyw korzeniowych i od czasu do czasu (od święta do święta) z mięsa robiono najpyszniejsze dania – mówi szef kuchni Kuba Steuermark. – Dobrym tego przykładem są pierogi (tylko woda i mąka). W rankingu doceniono Polskę za pierogi ruskie, które swój początek mają – w zależności od wersji – albo na Rusi Halickiej (Grody Czerwieńskie i Chełm), albo na Rusi Kijowskiej. Obie będące częścią Wielkiego Księstwa Litewskiego, dzisiaj Ukrainy, były częścią kulturową Polski przez wieki! Internauci lubią prostotę dań i dobre składniki. Bo w prostych daniach nie ma gdzie się „schować”. Musisz mieć dobrą mękę, ser, kapustę czy kielbasę! – dodaje Steuermark.

TasteAtlas to internetowy agregat tradycyjnych, lokalnych potraw i napojów z całego świata. Stworzył go w 2015 r. chorwacki dziennikarz Matija Babić z pomysłem wypełnienia luki w segmencie przewodników po tradycyjnych

potrawach i restauracjach. W liczącym 95 pozycji rankingu na podium po raz kolejny znalazła się kuchnia włoska z notą 4,72/5,00. Doceniono przede wszystkim świeże produkty, takie jak ser Parmigiano Reggiano, ostrą kielbasę 'Nduja i Prosciutto Toscano. Za najgorszą kuchnię spośród uwzględnionych w rankingu uznano norweską, która uzyskała ocenę zaledwie 3,59/5,00. Co ciekawe, na końcu stawki znalazły się również inne kuchnie krajów Północy: kanadyjska i islandzka.

„Każdego roku nagrody TasteAtlas Awards są dla jednych powodem do radości, a dla innych do złości. Często otrzymujemy wściekłe pytania, w tym telefony z ambasad, o to, dlaczego oceniliśmy kuchnię w określony sposób. Wyjaśnijmy więc jeszcze raz metodologię: odwiedzający oceniają dania, napoje i składniki, a nie kuchnie. „Niczego nie oceniamy, tylko dodajemy i dzielimy. Nie liczymy wszystkich głosów, niektóre są uznawane przez nasz system za nieprawidłowe, np. te narodowe lub stworzone przez boty. Następnie bierzemy średnią ważnych głosów na wszystkie najlepiej oceniane dania z każdej kuchni, a system tworzy

listę. Każda kuchnia ma od 10 do 50 najlepiej ocenianych potraw, w zależności od wielkości kuchni lub liczby ocenianych potraw w TasteAtlas” – tłumacza metodologię sami twórcy rankingu.

W bazie portalu znajduje się ponad 15 tys. potraw i napojów, a liczba ta codziennie się powiększa. Użytkownicy serwisu przez cały rok mogą przyznawać potrawom oceny od 1 do 5. Po wyliczeniu średniej ocen powstaje ogólnoswiatowy, roczny ranking najbardziej lubianych tradycyjnych potraw, a także krajowych kuchni.

Czy to oznacza, że niektóre kuchnie na dole rankingu są naprawdę najgorsze? Twórcy rankingu odpowiadają: „Oczywiście, że nie, ale to dobry wskaźnik innego problemu. Np. kuchnia norweska ma świetne składniki. Ale kto poza Norwegią (i – co dziwne – środkowo-zachodnimi Stanami Zjednoczonymi) słyszał o lefse – smacznych norweskich tortillach? Kiepski wynik rankingu najczęściej oznacza, że niektóre kuchnie są słabo wypromowane lub ludzie spoza danego kraju nie mieli okazji spróbować ich najlepszych potraw i składników. Zamiast się złościć, warto pomyśleć o tym, jak lepiej przedstawić obcokrajowcom to, co najlepsze w twojej kuchni”.

Obok globalnego rankingu analitycy TasteAtlas tworzą także zestawienia najpopularniejszych regionalnych dań i napojów. Polski ranking powstał podobnie jak ten ogólnoswiatowy. Na pierwszym miejscu znalazły się pierogi, które jednocześnie uplasowały się na wysokim, 16. miejscu w globalnym rankingu dań TasteAtlas. Tuż za pierogami na podium polskiego zestawienia znalazły się rosół i gołąbki. Do pierwszej 10 dostały się również takie dania, jak gulasz, babka drożdżowa, sernik, golonka i kopytka.

„To wspaniałe, że został wyróżniony polski wariant sernika. Sernik do Polski przywiózł Jan III Sobieski spod Wiednia. A ten dzisiejszy krakowski, z kratką, jest po prostu znakomity” – mówiła w TVP Info Ewa Okrasa-Siniarska, która o swojej miłości do deserów opowiada m.in. w słodkiej kuchni „Pytania na śniadanie”.

W ub.r. Polska zaznaczyła swoją obecność w rankingu TasteAtlas ujmującym 100 najlepszych restauracji, serwujących tradycyjne lokalne potrawy. Na 15.

miejscu znalazła się działająca od 1912 r. Karczma Koszowice z Górnego Śląska, której specjalnością są tradycyjne dania kuchni śląskiej i polskiej.

– Obcokrajowcy zdecydowanie powinni zjechać z głównych dróg i zacząć próbować jedzenia, które jest tworzone na wsi, np. przez koła gospodyń wiejskich. Powinni pokręcić się po dożynkach, festiwalach ziemniaka czy pieczarki albo na festiwalach śliwkowych – powidlakach. To tam jest nieskrępowane i oryginalne jedzenie, które zadziwia i urzeka prostotą i smakiem. Promocja takich miejsc powinna być silniejsza – wtedy obcokrajowcy mogliby poznać prawdziwe stare przepisy i dania – mówi Kuba Steuermark.

– Sam chętnie zaproponowałbym obcokrajowcom polskie zupy. W tym rankingu pojawia się rosół, ale ja zachęcam do przygotowania zdrowszej wersji, czyli bez makaronu, sam bulion. I najlepiej w taki sposób, jak ja to robię, czyli gotuję przez kilkanaście godzin, a już zupełnie minimum to osiem godzin w wolnowarze – mówi dr Michał Mularczyk, dietetyk z BezKalorii.pl, współautor i prowadzący programy kulinarno-dietetyczne: „Kuchenne recepty”, „W aptecce i w kuchni”. – Taki rosół zawiera dobrze przyswajany kolagen, białko, rozgrzewa. A jeśli zjemy go z pietruszką i marchewką, to dostarczymy sobie karoteny w odpowiednich proporcjach. Polecam też tradycyjną pomidorową, ale na takim wywarze, o jakim mówię. Do niego dodaję przecier pomidorowy, który sam robię jesienią. Ślinka mi leci na samą myśl. Najlepiej bez ryżu i makaronu. Pomidorowa zawiera likopen, który jest jednym z najsilniejszych antyoksydantów wśród karotenów i on jest wartościowszy niż beta-karoten. Polecam też klasyczną polską ogórkową czy kalafiorową – mówi dr Mularczyk.

A jakie danie zaproponowałby Kuba Steuermark czytelnikom tygodnika „Sieci”?

– Moje proste i spektakularne danie to pamuła, czyli zupa, którą robi się na słodko, zagęszczając np. sok z żurawiny mąką ziemniaczaną, podgrzewając ją na gorącym kisiel, zabielając śmietanką i podając z ziemniakami i skwarkami z boczku. Palce lizać! – śmieje się szef kuchni.

TASTEATLAS AWARDS 2022

(pierwsza 50. rankingu)

1. Kuchnia włoska
2. Kuchnia grecka
3. Kuchnia hiszpańska
4. Kuchnia japońska
5. Kuchnia Indii
6. Kuchnia meksykańska
7. Kuchnia turecka
8. Kuchnia amerykańska
9. Kuchnia francuska
10. Kuchnia peruwiańska
11. Kuchnia chińska
12. Kuchnia brazylijska
13. Kuchnia portugalska
- 14. Kuchnia polska**
15. Kuchnia niemiecka
16. Kuchnia indonezyjska
17. Kuchnia chorwacka
18. Kuchnia argentyńska
19. Kuchnia koreańska
20. Kuchnia wietnamska
21. Kuchnia węgierska
22. Kuchnia rumuńska
23. Kuchnia filipińska
24. Kuchnia irańska
25. Kuchnia serbska
26. Kuchnia gruzińska
27. Kuchnia czeska
28. Kuchnia bułgarska
29. Kuchnia angielska
30. Kuchnia tajska
31. Kuchnia belgijska
32. Kuchnia holenderska
33. Kuchnia austriacka
34. Kuchnia algierska
35. Kuchnia duńska
36. Kuchnia południowoafrykańska
37. Kuchnia syryjska
38. Kuchnia bośniacka
39. Kuchnia malajska
40. Kuchnia libańska
41. Kuchnia ukraińska
42. Kuchnia palestyńska
43. Kuchnia bengalska
44. Kuchnia litewska
45. Kuchnia tajwańska
46. Kuchnia paragwajska
47. Kuchnia pakistańska
48. Kuchnia tunezyjska
49. Kuchnia urugwajska
50. Kuchnia słowacka



Motocyklowa pasja króla



Urodziłem się w podwarszawskiej miejscowości Wyszaków. To urokliwe miasteczko położone na północ od stolicy. Zachęcam do jego odwiedzenia, a także poznania terenów wokół, bo godzinę drogi od Warszawy znaleźć można naprawdę piękne lasy i rozległe pola. W sam raz, by nacieszyć oko, pooddychać czystym powietrzem i dobrze wypocząć.

Od lat jeżdżę na motocyklu. Przechodziłem różne etapy tej motoryzacyjnej fascynacji. Od modeli zabawkowych, nad którymi więcej pracowałem, niż na nich jeździłem, przez klasyki z lat 80. Obecnie mam motocykl „średka”, umożliwiający zarówno jazdę po szosie, jak i delikatny off-road. Bardzo polubiłem zjeżdżanie z głównych tras i poruszanie się bocznymi, także polnymi drogami. Ma się wtedy niesamowity kontakt z przyrodą i tym, co spotykamy po drodze.

Mazowsze jest naprawdę piękne – zwłaszcza gdy nie jeździ się asfaltem. Można wtedy dotrzeć w niezwykle malownicze miejsca. Wystarczy jeden dzień. Ja często robię sobie

„kółka” – np. do Płońska i z powrotem, ale wyłącznie wsiami i polami. Taka przejażdżka to zupełnie inne doświadczenie. Mnie daje siłę na kolejny tydzień.

Kiedy np. jadę przez niekończące się pola truskawek, jak z przeboju Beatlesów. Gdzie okiem sięgnąć – truskawki i ten fantastyczny owocowy zapach, z którym mogą konkurować jedynie rosnące w lesie poziomki, gdy trafi się na ich wysyp. To są wrażenia, które zdarzają się jedynie podczas jazdy na rowerze lub na off-roadowym motocyklu.

Jeśli chodzi o dłuższe wypady, to od jakiegoś czasu marzy mi się wyjazd do Rumunii. Są tam nie tylko fantastyczne motocyklowe trasy, lecz także można z nich zjeżdżać niemal bez ograniczeń. Mam przyjaciół, z którymi mógłbym się wybrać na taką wyprawę. Co dalej? Najpierw chciałbym zrealizować taki tour, a potem pomyśleć o następnym, w innym rejonie.

W tym roku spełniłem marzenie swoich dziewczyn: córki i żony. Odkąd pamiętam, ich wakacyjne myśli biegly

za ocean i właśnie tego lata, podczas dwutygodniowej przerwy w zdjęciach do serialu „Korona królów. Jagiellońskie”, w którym gram Władysława Jagiełłę, wyjechaliśmy do Stanów Zjednoczonych. To była fantastyczna przygoda dla naszej rodziny.

Celem był Nowy Jork i – proszę mi wierzyć – dwa tygodnie w tej metropolii to mało. Byłem zachwycony m.in. muzeum Intrepid, czyli lotniskowcem, który cumuje przy nabrzeżu 86. Zrobiono z niego okręt muzeum. Na pokładzie stoją m.in.: prom kosmiczny Enterprise, różne samoloty bojowe i helikoptery, a obok cumuje okręt podwodny. Ponieważ interesuję się II wojną światową – czy też szerzej najnowszą historią, w tym łodziami podwodnymi – wizyta na Intrepid stała się dla mnie niesamowitym przeżyciem. Z kolei żona, która jest muzykiem, bardzo nalegała, żebyśmy poszli na koncert do jednego z jazzowych klubów. To było też wyjątkowe doświadczenie, a dla naszej 14-letniej córki cały NY był wielką przygodą.

Notowała Jolanta Gajda-Zadworna



SŁODKO-SŁONY

Makaron z pieca

ANNA MONICKA

Czasem gdy w kuchni wieje nudą, mam ochotę na mały eksperyment. A ponieważ Facebook dostarcza mi niezliczone ilości kulinarnych inspiracji, postanowiłam z jednej skorzystać. Wydawała mi się wybitnie atrakcyjna i oszczędnościowa, bo robi się ją z suchego makaronu, którego wcześniej nie trzeba gotować.

Na profilu FeelGoodFoodie zapiekanka była przygotowywana ze spaghetti, ja wybrałam pełnoziarniste rurki, całe opakowanie. Wsypuje się je do brytfanny, zalewa passatą pomidorową – może być ze sklepu, ale ja mam własną, bo każdej jesieni przerabiam kilkadziesiąt kilogramów pomidorów i pakuję do słoików. Na to pokrojone w kostkę warzywa – dowolne, ale świetnie smakuje pokrojona w kostkę kolorowa papryka, słodka cebula, poszatkowany por. Może być mielone, podduszone z czosnkiem mięso indyka, mogą wegańskie klopsiki albo kulki mozzarelli. Ja dodałam jeszcze trochę czarnych oliwek i garść kaparów. Do tego przyprawy – bazylię, oregano, sól, pieprz, słodka lub ostra papryka. Na początek nie za dużo, zwłaszcza ostrej, żeby nie przesadzić. Posypujemy tartym serem i dolewamy wodę. Makaron powinien być nią przykryty, w czasie pieczenia i tak wszystko wypije. Okrywamy brytfannę folią aluminiową i wstawiamy do piekarnika nagrzanego do 180 st. C. Po mniej więcej 20–25 min wyjmujemy i mieszamy. Na koniec warto posypać pachnącym parmezanem albo innym długo dojrzewającym twardym serem. Kolejne 10–15 min, tym razem bez przykrycia i w nieco niższej temperaturze, powinno wystarczyć, ale przed podaniem trzeba sprawdzić, czy makaron się dogotował. Jeśli nie, należy dolać jeszcze trochę sosu pomidorowego i wsunąć na chwilę do piekarnika.

Danie jest przepyszne, prawdę powiedziawszy, następnego dnia chyba nawet lepsze, gdy smaki się dobrze przegryzą. Taka porcja wystarczy na dwa obiady dla trzyosobowej rodziny. Moja córka uznała, że pieczony makaron to będzie pierwsze danie, które nauczy się sama robić. Nie mam wątpliwości, że sobie poradzi, bo robi się właściwie samo. 



WILCZYM OKIEM

Najzimniejszy miesiąc roku

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Zmiany klimatyczne mają konsekwencje o różnej randze. Na przykład podczas obecnej zimy sikory, wróble, raniuszki, kosy i sówki zjadają bez porównania mniej słonecznika i nie czekają w kolejce do karmnika, tylko odwiedzają go sporadycznie.

Niedawno słyszałem godowy werbel dzięcioła dużego. Czy istnieje prawdopodobieństwo, że przystąpi do lęgów, narażając pisklęta na nawrót zimy? Ocieplenie nie wyklucza nagłych ataków mrozu i śniegu niszczących to, co zwiedzione ciepłem zaczęło przedwcześnie się rozwijać.

Najzimniejszym tradycyjnie miesiącem w Polsce jest styczeń. W ten właśnie najzimniejszy miesiąc roku parę dni temu widziałem pełzającego ślinika luzytańskiego – to ten niemający muszli, brązowo-pomarańczowy ślimak, gatunek obcy, inwazyjny, pochodzący z Półwyspu Iberyjskiego. Nie w jakimś ogrzanym słońcem zakątku, lecz wieczorem na chodniku, który w styczniu powinien być dla mięczaka zabójczo zimny. Był to osobnik dorosły, a więc taki, który skrył się gdzieś jesienią, a teraz się obudził. W warunkach zimowych, do których jesteśmy przyzwyczajeni, tzn. takich, podczas których niekoniecznie śnieg leży od listopada do kwietnia, ale podczas których występują dłuższe okresy mrozów, ziemia przemarza itp., taki ślimak nie wypelzłby w styczniu z ukrycia. Najprawdopodobniej dlatego, że w styczniu nie byłoby go już na tym świecie. Jak nasili się wpływ żarłocznych ślimaków na ekosystem, w którym brak jest naturalnych wrogów, jeżeli ślimaki zamiast wykluwać się późną wiosną, będą przeżywać zimą, mając przed sobą nie tylko dłuższy okres żerowania, lecz także szansę na wydanie na świat znacznie więcej potomstwa?

Zmiany klimatyczne to również brak pokrywy śnieżnej, która topiąc się wiosną, od wieków zapewniała wodę w początkowym okresie wegetacji. Nie można wykluczać, że taka sytuacja zaistnieje, lecz na pewno nie będzie uwarunkowaniem, na którym można opierać np. gospodarkę rolną. Wielki śnieg grudniowy stopił się zbyt wcześnie, a woda z roztopów odpłynęła do morza, podobnie jak zbyt wcześnie odpływa woda z obecnych deszczy.

Skoro nie możemy liczyć na śnieg, może powinniśmy zacząć gromadzić każdej zimy wodę dla wiosennej wegetacji. 

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Spółeczeństwo z klasą

Socjologowie opisują współczesne polskie społeczeństwo za pomocą terminów i metod z czasów PRL. Przykładem są ostatnie badania prezentowane w mediach przez prof. Henryka Domańskiego, socjologa z Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk. Wydawałoby się, że takie badania nie mogą być miarodajne, gdyż dotyczą różnych systemów politycznych i gospodarczych, a jednak metodologia pozostaje ta sama. Tym, co różnicuje grupy społeczne dawniej i dziś, pozostają „kryteria i hierarchie klasowe”. Można nawet dojść do wniosku, że tak jak dawniej i dziś mamy do czynienia z bogatą klasą ludzi wykształconych – klasą dominującą – i klasą biedną, słabo wykształconą. Dawnej „wyższej klasy”, o wysokim statusie, bo z przewagą ludzi z wyższym wykształceniem, ma dziś odpowiadać obecna wysoka klasa „specjalistów i kadry kierowniczej wyższego szczebla”. Zdaniem profesora to głównie elektorat Platformy Obywatelskiej, który poszerzony o właścicieli firm działających poza rolnictwem daje dwadzieścia parę procent osób zaliczanych do „wyższej klasy średniej”. Różni się ona od wyższej klasy średniej z czasów PRL znacznie mniejszą liczbą ludzi z wyższym wykształceniem (dawniej 75 proc., dziś 35 proc.). Dowodzi to m.in. „inflacji statusu wyższego wykształcenia”, czyli spadku znaczenia wyższego wykształcenia w życiu społecznym i zawodowym, ale nie przesądza o mniejszym znaczeniu tej wyższej klasy w społeczeństwie polskim, którą prof. Domański nazywa „nową inteligencją”. To głównie „specjaliści, lekarze, prawnicy, inżynierowie, nauczyciele akademicy, dziennikarze, doradcy finansowi, maklerzy giełdowi, eksperci od wizerunku, konsultanci, badacze rynku” itd.

Po drugiej stronie klasowego podziału znajduje się obóz Zjednoczonej Prawicy, który zdaniem socjologów tworzą rolnicy (40–50 proc. poparcia dla PiS) oraz klasa robotnicza w większości z zasadniczym wykształceniem zawodowym. Podział jak za PRL, kiedy społeczeństwo dzielono na robotników, chłopów i inteligencję pracującą albo na pracowników umysłowych i fizycznych oraz partyjną „oświeconą” kadrę. Obecny socjologiczny podział to nowa inteligencja, chłop i robotnicy oraz niemieszczący się w hierarchiach klasowych, ale wspierający polską prawicę – emeryci, renciści i bezrobotni.

Te naukowe interpretacje dobrze jest wzbogacić o pewne subiektywne publicystyczne wątki, by lepiej zarysować „stary nowy” podział klasowy społeczeństwa polskiego. A gdyby tak „nową inteligencję” porównać do dominujących w PRL dawnych

działaczy komunistycznych z PZPR i jej partyjnych satelitów jako beneficjentów okresu tzw. transformacji ustrojowej i przemian dokonanych przez okres III RP, a „zbieraninę pisowską”, jak określił elektorat PiS Adam Michnik, czyli *de facto* większą część społeczeństwa, jako poszkodowaną, a nawet prześladowaną przez system III RP? Czy taki podział byłby równie trafny? Czy dawny sekretarz PZPR w dawnej Szkole Głównej Planowania i Statystyki (SGPiS), czyli dawna komunistyczna nomenklatura, to nie obecna „zasłużona nowa inteligencja”? Bez zrozumienia, na czym faktycznie polegała „wyższość” klasy panującej w PRL i dlaczego większość społeczeństwa została zepchnięta do roli biednej, nic nieznaczącej mniejszości, nie da się zrozumieć fenomenu dzisiejszej „nowej inteligencji”.

W opracowaniu prof. Domańskiego jest wzmianka o „poczuciu hegemonii kulturowo-intelektualnej elit wobec ludu”, który powinien uczyć się od lepszych i mądrzejszych. To właśnie te „elity” socjolog prof. Anna Pawelczyńska nazwała „lumpenelitami”, przypominając, jak dawny lumpenproletariat wytworzył „lumpenelity” na gruzach dawnej polskiej inteligencji. Te zaś, dodajmy, przetworzyły się w dzisiejsze „nowe elity” i „nową inteligencję”.

Równocześnie, jak zauważają socjologowie PAN, ta słabo wyedukowana większość utożsamiająca się z PiS „przeżyła Platformę Obywatelską pod względem skuteczności modernizacji gospodarki i zapewnienia wzrostu gospodarczego”. Ta „gorsza” klasowo część społeczeństwa polskiego wybiera model państwa opiekuńczego. Ta „lepsz” część chce dbać wyłącznie o własne interesy, zaciekle walcząc z oponentami. I robi to w sposób, który uwłacza pojęciu „inteligencja”.

Z badań socjologicznych UW pt. „Polaryzacja polityczna w Polsce” wynika, cytując: „Zwolennicy partii opozycyjnych żywią bardziej negatywne uczucia wobec zwolenników PiS niż na odwrót. W większym stopniu ich dehumanizują i mają do nich mniejsze zaufanie, przy czym sami są błędnie przekonani, że są bardziej dehumanizowani przez swoich oponentów politycznych niż zwolennicy partii rządzącej”.

Asocjologia, badając klasowość społeczeństwa polskiego, winna więcej czasu poświęcić badaniu takich pożądanych społecznych cech, jak: patriotyzm, religijność, altruizm, szacunek dla życia, tradycji i obyczajów. Wówczas mielibyśmy obiektywną wiedzę o tym, jak wielką część naszego społeczeństwa to społeczeństwo z klasą.

www.wojciechreszczyński.pl



Akademia chaosu

Zainicjowana przez ministra Przemysława Czarnka nowela do ustawy o szkolnictwie wyższym, nazywana popularnie „pakietem wolnościowym”, zakazuje władzom uczelni karania dyscyplinarnego pracowników z powodu wyrażanych przez nich poglądów, czy to filozoficznych, czy to politycznych, czy też religijnych. To bez wątpienia ważny i w świetle doświadczeń bardzo potrzebny krok, ale obciążony nieuchronnymi konsekwencjami, których znaczenia nie można pominąć.

Otóż wolność głoszenia poglądów, wolność sporów i swoboda wypowiedzania myśli są jednym z najgłówniejszych filarów idei *universitas*. Idea ta legła u podstaw Akademii jako faktu kulturowego kreującego tożsamość Starego Kontynentu. Przez całe wieki tego prawa i przywileju uniwersytetu nie trzeba było dekretować, tak jak nie dekretuje się prawa do oddychania, jak nie dekretuje się prawa do intymności. Prawo to bowiem należało do „oczywistych oczywistości”, że zacytuje klasyka. Stało się fundamentem Akademii i jądrem nauki. „Pakiet wolnościowy” bezlitośnie wieszczy koniec Akademii, jaką znamy. Nie ma bowiem *universitas* tam, gdzie trzeba się uciekać do niemal policyjnego działania urzędnika państwowego. „Pakiet wolnościowy” jest nie tylko ochroną, ale nade wszystko diagnozą środowiska akademickiego, diagnozą niezwykle dramatyczną i bolesną.

Tak naprawdę „pakiet” niewiele zmieni. Może uchroni przed kierowaniem do komisji interdyscyplinarnej tego czy innego nauczyciela, ale nie odbierze środowisku możliwości i skłonności do działań stygmatyzujących, izolacji czy wykluczenia. Podjęte przez ministra edukacji i nauki kroki były spowodowane coraz liczniejszymi przykładami gróźb i karania za niepoprawność polityczną. Lecz zachowując zdrowy rozsądek, musimy zapytać, czy „pakiet wolnościowy” ma chronić również osoby głoszące ewidentnie herezje, ludzi prowadzących nachalną agitację polityczną czy podważających zapisy Konstytucji RP, np. w odniesieniu do rodziny? Czy można nieukształtowanym jeszcze intelektualnie słuchaczom wmawiać, że ziemia jest płaska albo – cytując dr hab. Monikę Płatek, twierdzić, że w związkach homoseksualnych rodzi się więcej dzieci – niż w związkach hetero? A może jeszcze takiej „wiedzy” wymagać na egzaminie?! Kto obroni studentów przed niepożądanymi skutkami „pakietu”? Czy „pakiet wolnościowy” daje prawo wszystkim do mówienia wszystkiego, czy nie zostanie wykorzystany jako przyzwolenie na chaos, który ma zastąpić zapisaną w tradycji *universitas* różnorodność poglądów? Czy nie ma niebezpieczeństwa, że propagatorzy i tak już dokuczliwej i nieznośnej nachal-



**Aleksander
Nalaskowski**

nej doktryny gender jeszcze bardziej rozwiną skrzydła?

Kiedyś takie i inne zagrożenia nie były się w stanie przebić przez morale uczonych, ale kto dzisiaj myśli o jakimś morale wyraźnie wypartym przez ducha korpo?

Chaos zdaje się być główną cechą obecnej Akademii. W zasadzie w każdej sferze jej działania mamy do czynienia z nieprawdopodobnym rozmyciem znaczeń. Mnożenie kierunków studiów „pod klienta”, kierunków o dziwacznych niekiedy nazwach i nieokreślonej tożsamości, wielokrotnie zmieniane zasady uzyskiwania stopni naukowych czy rozmycie tytułu profesora. Niejasny jest status nazwy „uniwersytet”, przyozdabianej przymiotnikami (przyrodniczy, techniczny itd.). Tutaj chaos stał się z kolei kakofonią.

Prawdziwy chaos zapanował w sferze osiągnięć naukowych mierzonych punktami. W niektórych sprawozdaniach nie wymaga się nawet podawania tytułu publikacji, poprzestając na nazwie periodyku i liczbie punktów. Ocena naukowa od lat nie ma charakteru jakościowego, lecz ilościowy. Dochodzi tutaj do paradoksu, że pracownik występuje o grant, by w którymś z wysoko punktowanych czasopism opłacić publikację własnego tekstu, a następnie odebrać od rektora nagrodę za publikację w wysoko punktowanym czasopiśmie. Ostatnio bardzo modny jest kierunek chiński, bo tam stosunkowo tanio można opublikować tekst w języku angielskim i uzyskać za niego 100 albo 200 punktów. Uniwersytet o tożsamości korporacyjnej to akceptuje, nauka zaś doznaje strat.

Innym wymiarem akademickiego chaosu jest choroba plagiatowa. Uczelnie zupełnie sobie z nią nie radzą. Plagiaty dotyczą nie tylko prac dyplomowych czy zaliczeniowych studentów, ale również prac naukowych wykazywanych jako prace awansowe. Już na horyzoncie widać nowe potężne zagrożenie – ChatGPT. To program oparty na sztucznej inteligencji, któremu można zadać dowolny problem do rozwiązania, określić liczbę stron bądź liczbę znaków i w ciągu kilku sekund otrzymujemy tekst z przypisami, odsyłaczami i bibliografią. Mechaniczny ghostwriter. Już za chwilę o tym programie będzie bardzo głośno, gdyż jest on niewrażliwy na jakiekolwiek badanie plagiatowe, bo faktycznie tworzy nowe teksty, a nie kompilację tekstów istniejących już w sieci. Najkrócej rzecz ujmując – oszustwo jest tu niewykrywalne.

Ze wzruszeniem czytam „O dostojęństwie uniwersytetu” autorstwa Kazimierza Twardowskiego. To wykład mistrza z 1932 r. Dzisiaj odczytany brzmi jak epitafium na grobie Akademii.



JAN POSPIESZAŃSKI

Na fali podsumowań ub.r. dotarli do nas statystyki śmiertelności. Okazuje się, że najczęstszą przyczyną zgonów na świecie jest aborcja. Praktyka uśmiercania dzieci w łonie matki według WHO pochłania rocznie 73 mln istnień ludzkich. W USA blisko 20 proc. wszystkich ciąż, nie licząc poronień samistnych, kończy się aborcją – to ponad 900 tys. dzieci, którym nie pozwolono się urodzić. W Republice Federalnej Niemiec rocznie zostaje uśmierconych ok. 100 tys. dzieci.

Śledząc upiorne statystyki, próbuję sobie wyobrazić, jak wyglądałaby Polska dziś, gdyby nie ustawa o ochronie życia. Statystyczny Polak pewnie nie zdaje sobie sprawy, jak wielkim wydarzeniem w międzynarodowej skali było przyjęcie 30 lat temu ustawy znoszącej dopuszczalność aborcji na życzenie. Polska była pierwszym krajem, który w warunkach demokracji, z niedoskonałym systemem pluralizmu medialnego (a biorąc pod uwagę 1993 r., praktycznie bez pluralizmu) dokonał odwrócenia samobójczego trendu pograżającego cywilizację białego człowieka. Tak znaczące sprawy nie dzieją się same. Przyjęcie prawnej ochrony życia nastąpiło wskutek wytężonej, wieloletniej pracy polskiego Kościoła i dzięki zaangażowaniu setek tysięcy katolików. Dla wielu uczestników tej batalii, którzy

Walka o życie

Trzydzieści lat temu Polacy udowodnili, że postęp nie oznacza dehumanizacji

z wielkim wysiłkiem zabiegali o zatrzymanie dzieciobójstwa w Polsce, to było wydarzenie w kategoriach cudu.

Świadkowie, wspominając tę walkę o życie, na początku jednym tchem wymieniają osobę prymasa Wyszyńskiego i jego program Ślubów Jasnogórskich Narodu Polskiego i Wielką Nowennę. To był ogólnonarodowy program duszpasterski całego Kościoła o wielkim oddziaływaniu społecznym. Jednym z kapłanów, który z dynamizmem podjął się jego realizacji, był twórca Krucjaty Wstrzemięźliwości, a potem Ruchu Światło-Życie – ks. Franciszek Blachnicki. Wychowankowie Oazy wspominają: „Wiedzieliśmy, że najważniejszą sprawą dla Polski jest zatrzymanie »rzeki krwi i rzeki wódki«”.

Wezwanie do trzeźwości i troska o życie dzieci w łonie matki są nieustannie obecne w intencjach modlitewnych i nauczaniu duszpasterzy. Ogromny wpływ na dalszy rozwój ruchu obrony życia miał biskup krakowski Karol Wojtyła i jego współpracownica dr Wanda Półtawska. Pamiętajmy, że był to czas, gdy aborcja spowszedniała i była traktowana jako – wprawdzie dość radykalny – środek antykoncepcyjny. Z duszpasterstw akademickich z kręgów poradnictwa rodzinnego wychodzą liderzy, którzy w różnych ośrodkach rozpoczęli pracę edukacyjną i podjęli inicjatywy modlitewne. Te dwa filary – formacja i modlitwa – będą stanowić stałe motywy wszelkich działań polskiego ruchu pro-life.

Postulat obrony życia pojawił się w programie Solidarności i choć podczas obrad okrągłego stołu tzw. konstruktywna część opozycji jak ognia

bała się podniesienia kwestii aborcji (każdą wzmiankę na ten temat nazywając „wypuszczeniem szczura na stół”), to jednak gdy w 1992 i 1993 r. przyszło do głosowań, środowiska tzw. katolików otwartych opowiedziały się za życiem. Pracom nad ustawą, a potem głosowaniom towarzyszyły niezliczone akcje modlitewne i apostołskie. Wystawy, prelekcje, odczyty i projekcje filmów (m.in. „Niemy krzyk” Bernarda Nathansona) były organizowane w całej Polsce. Obok tego zwoływano pikietę i marsze, m.in. ten w Warszawie, który zgromadził ponad 100 tys. uczestników. Ta ogromna presja społeczna wspierana inicjatywami modlitewnymi sprawiła, że w końcu parlament przyjął ustawę. Nowe prawo, choć niedoskonałe, choć zawierające tzw. kompromis, znosiło jednak dopuszczalność aborcji na życzenie. Wśród ludzi, którym to zawdzięczamy i których powinniśmy wspominać z ogromną wdzięcznością, są oprócz wspomnianych wyżej – łódzki lekarz śp. Włodzimierz Fijałkowski, krakowski działacz śp. Antoni Ziemia, prawnik i późniejszy senator Walerian Piotrowski, gdański socjolog Antoni Szymański, Paweł Wośicki, ks. Stanisław Małkowski, senator Alicja Grześkowiak, polityk Marek Jurek i wielu innych. Nie sposób tu wymienić wszystkich, ale teraz, gdy oswoił się z tym faktem, pamiętajmy, że wcale nie musiało tak być.

Trzydzieści lat temu Polacy udowodnili, że postęp nie oznacza dehumanizacji, a nowoczesność nie musi oznaczać staczania się po równi pochyłej w przepaść cywilizacji śmierci.

Ogórek senatora Burego

Wydawcy niedzielnego programu w TVP „Woronicza 17” zachodzili w głowę, po co senatorowi Jackowi Buremu ogórek, który w trakcie programu położył z trzaskiem na blacie przed redaktorem Miłoszem Kleczkiem, prowadzącym na żywo dyskusję polityków. Kładąc ogórek, senator Jacek Bury mocno nadwyreżył pierwotny kształt tego niskokalorycznego warzywa. Żeby jego gest nie pozostawiał wątpliwości, dodał: „Jest pan tego rodzaju menda, proszę jest to dla pana”, co obecni w studiu przyjęli za akt zrzeczenia się prawa własności do ogórka na rzecz Miłosza Kleczka.



**Jerzy
Jachowicz**

Tym większe zdziwienie ogarnęło wydawców, kiedy Jacek Bury zjawił się niespodziewanie z powrotem w telewizji i zaczął domagać się zwrotu przedmiotu – jak go określił – „dowodu protestu przeciwko sposobowi prowadzenia dyskusji w telewizji publicznej”. Dodajmy dla rzetelności, odebranego przez wielu widzów, czemu dali wyraz w mediach społecznościowych, jako *corpus delicti* nietypowego zachowania polityka partii Polska 2050.

Niezwykły zbieg okoliczności sprawił, że ktoś przyniósł ze studia do pokoju wydawców rzeczony ogórek, który przy

jednym z komputerów leżał na spodku ozdobionym w bożonarodzeniowe akcenty – malunki gwiazdy betlejemskiej i choinek. Obrócony do góry swoim nienaruszonym bokiem wyglądał jak w pełni zdrowe warzywo. Najwyraźniej zadowolony Jacek Bury podziękował wydawcom za opiekę nad ogórkiem i jego przechowaniem. Włożył go do plastikowego pojemnika i zniknął.

Kilka dni później tajemnica się wyjaśniła. Senator Bury w jednej z komercyjnych telewizji zapowiedział, że po porozumieniu z szefem partii Szymonem Hołownią i jego akceptacji postanowił odzyskać „ogórek o historycznym już znaczeniu”, wpisującym się w batalię walki z mediami zarządzanymi przez PiS, ofiarować na rzecz Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

Jedyną przeszkodą w zrealizowaniu szlachetnego zamierzenia Jacka Burego jest kwestia, czy w ciągu dwóch tygodni uda się odtworzyć zniszczoną część ogórka, co pozwoli na jego zmumifikowanie.

Po raz kolejny potwierdza się powiedzenie, że najgorsza jest przesada.

W duecie musi być napięcie

Z aktorami Arkadiuszem Janiczkiem i Rafałem Szalajką rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Drodzy panowie, mam wrażenie, że staliście się w serialowej „Leśniczówce” najgorętszym tandemem. Jak się z tym czujecie?

Rafał Szalajko: Bardzo dobrze. Aktorski duet to tradycja filmu i teatru. Takich przeciwieństw: wyglądu, charakterów, klas społecznych (bo tu z jednej strony mamy mecenasa, a z drugiej – robotnika leśnego, „miejscowego”, jak o nim mówię) – było już trochę.

Arkadiusz Janiczek: Wiesiek Kurek i Artur Krawczyk są tak od siebie różni, że musi być między nimi napięcie, do tego jeszcze spotęgowane scenariuszowymi komplikacjami, więc przyjemnie się gra.

Ze świetnym komediowym skutkiem. Jaki był wasz pomysł na układ między bohaterami?

A.J.: Nasze postacie co miesiąc wpadają na nowe tarapaty, dużo się w ich życiu dzieje, więc trudno się z nimi nudzić. Za nami m.in. przegoda z siłownią...

R.S.: To był bardzo emocjonujący wątek (nie tylko dlatego, że dotyczył sfery uczuć, a nawet namiętności). Mecenas w nim zatonął, a ja go najpierw do tej gorącej wody wepchnąłem swoimi nietrafionymi poradami (w czym wspierała mnie moja



serialowa małżonka). Potem próbowaliśmy go dość niezdarnie ratować.

Serial serialem, ale czy wątek siłowni prywatnie was nie zainspirował?

A.J.: Gdy kilka lat temu obejrzelśmy pierwsze odcinki „Leśniczówki”, postanowiliśmy się za siebie zabrać.

R.S.: Zobaczyliśmy się na tle tych pięknych drzew i – pa-miętasz – to było przy obiedzie, chyba podali wtedy lososia, zdecydowaliśmy: czas na zmiany! Efekty na szczęście są.

Rysuje Jerzy **Wasiukiewicz**



TRENDY I OWĘDY

Prawda w oczy kole

Donald Tusk włączył się aktywnie w promocję filmu „Nasz człowiek w Warszawie”

Donald Tusk pozwał Telewizję Polską o naruszenie dóbr osobistych. Ponoć w „Wiadomościach” zniekształcano mu wizerunek. Osobnego pozwu doczekał się film Marcina Tulińskiego „Nasz człowiek w Warszawie”. Jeśli ktoś przeoczył ten dokument, to po skardze z pewnością chętnie się dowie, co tak poruszyło „króla Europy”, że nie zdzierzył, tylko postanowił poszukać „rozgrzanego sędziego”. Kto by przypuszczał, że Donald Tusk jest takim wrażliwcem.



Ryszard Makowski

W każdym razie nie ma się co dziwić. Jak zobaczył prawdę o sobie, to pękł. Każdy by pękł. Knucie z Putinem na sopockim moście, rozdzielanie wizyt z wiadomym efektem i bratanie się z kolegą z Kremla w smoleńskim błocie wywołują ciarki. A obraz jest bezlitosny. I jeszcze jeden aspekt. Czy to aby nie Donald Tusk stał za przemysłem pogardy wobec braci Kaczyńskich? Czy to nie w jego kancelarii było centrum poniżania prezydenta Lecha Kaczyńskiego? Tylko wtedy działał w białych rękawiczkach. Miał palikotousługowych na posyłki. On stał zawsze trochę zagubiony, taki z tych sympatycznych.

Słynny powrót Tuska okazał się klęską. Owszem, udało mu się zepchnąć młode wilki PO, czyli Borysa Budkę i Rafała Trzaskowskiego, na partyjne ubocze, ale na tym pasmo sukcesów się kończy.

I tu należy powiedzieć o TVP. To dzięki postawie redaktorów tej stacji społeczeństwo zna prawdziwe oblicze polityków opozycji. Ci nieskazitelni przedstawiciele... można się domyślać kogo... chcą zlikwidować TVP Info. Za co? Za prawdę o nich. Prawdę, której sami nie są w stanie znieść.

Michał Korsun prezentuje:
Szymona błagania o euro



Wycinki z przeszłości

Dziś w naszym kąciku scena z życia szlacheckiego, zamieszczona na okładce warszawskiego „Tygodnika Polskiego” zimą 1903 r. Obraz zatytułowany „Z dawnych obyczajów” wyszedł spod ręki genialnego ilustratora i malarza, miłośnika epoki szlacheckiej Michała Elwira Andriollego. Andriolli urodził się w Wilnie 14 listopada 1836 r., zmarł w Nałęczowie 23 sierpnia w 1893 r. Artysta był synem Włocha Francesco Andriollego, uczestnika wojen napoleońskich, który w 1812 r. trafił do rosyjskiej niewoli, a potem osiadł w Wilnie, i córki szlacheckiej Petroneli Gośniewskiej. Jego ilustracje do „Pana Tadeusza” ukształtowały nasze myślenie o tym utworze. Był uczestnikiem powstania styczniowego.

(mk)



Leszek Długosz

W korespondencji

Ostatnia zwrotka „Młodości” Leopolda Staffa z „Sieci” w ubiegłym tygodniu nieodparcie nasunęła mi tę napisaną dobrze 100 lat później „kontynuację”. I tak żyjemy... Ponad barierami czasu rozmawiamy.

I tak mijają ludzi twarze...
(piosenka, fragment)

Jeszcze gdzieś w szufladzie mam
Fotografię z dawnych lat
Bliskie na niej, jakże kiedyś bliskie twarze...
– Furtka w ogród pchnięta drży
Jeszcze biegnę w tamte dni
Na werandzie cień się kładzie
Późne lato, kwitną dalie
Zapach kawy
Z okna płynie na pianinie: „Für Elise”...

Boże, szepnę który raz?
Jakże to możliwe tak – z krwi i z kości
Z łez, z radości – wszystko żywe
– Jak niebyłe?
Wszystko jak zetlały film
Migotliwe cienie w nim
Czy to było, czy się śniło?
Gdzie to poszło? Gdzie to mieszka?
Gdzie to? Co dziś z tym?
I tak mijają ludzi twarze

I z wczorajszych zdarzeń cichną głosy
Wiatr roznosi po rozstajach
Koleiny dróg...
I tak mijają ludzi twarze
A oddzielnym szlakiem, ich marzenia
Gdzieś wysoko
Gdzieś tam w chmurach
– Wraz z chmurami mkną... [...]

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Wypędzeni z siebie

Ponoć film „W trójkacie” szwedzkiego reżysera Rubena Östlunda jest niezły. Nie oglądaliśmy, ale sprawdzimy. Tymczasem o czymś innym. W wywiadzie dla tygodnika „Polityka” reżyser, nazywany jednym z czołowych twórców współczesnego kina europejskiego, wspomina o kolejnym projekcie dotyczącym uzależnienia od rozrywki. Ma już roboczy tytuł: „System rozrywki padł”.

SCENARIUSZ

Pomysł jest taki: „Akcja toczy się w samolocie w trakcie wielogodzinnego lotu. Zaraz po starcie okazuje się, że cały system medialny się popsuł, więc pasażerowie, zamiast oglądać filmy albo słuchać muzyki, spędzą podróż w ciszy”.

Reżyser mówi, że dokumentując temat, natknął się na eksperyment socjologiczny ukazujący, że nie potrafimy żyć bez bodźców, nawet jeśli one są autodestrukcyjne.

Chodzi zapewne o badania, których wyniki opublikowano w czasopiśmie „Science” w 2014 r. Psycholog Timothy Wilson wraz z grupą badaczy na podstawie 11 badań psychologicznych pokazał, że zdecydowana większość ludzi nie czuje się dobrze we własnych głowach. Woleliby robić coś, nawet autodestrukcyjnego, niż nie robić nic (a dokładnie: niż zmagać się z własnym wnętrzem).

RAŻENIE PRĄDEM MNIEJ BOLI

Podczas kilku eksperymentów proszono badanych o samotne siedzenie od 6 do 15 minut w laboratoryjnych pokojach, bez telefonu komórkowego, materiałów do czytania czy przyborów do pisania, pozostawiając im do dyspozycji jedynie świat swoich myśli. Potem mieli powiedzieć, czy podobalo im się to doświadczenie i czy mieli trudności z koncentracją.

Uczestnicy eksperymentów w wieku 18–77 lat nie lubili spędzać samotnie nawet krótkich okresów czasu, w którym nie mieli nic do roboty poza myśleniem. To



*Wśród 24 kobiet, które
zapewniały, że za nic nie
dadzą się ponownie porazić,
6 jednak zaaplikowało
sobie wstrząs elektryczny.
Najwyraźniej obcowanie
z własnymi myślami
bolało bardziej*

dotyczyło także grupy, która miała przez kilkanaście minut nic nie robić, siedząc we własnych domach. Ci ostatni przyznawali, że trochę oszukiwali, np. słuchając radia. Badani zdecydowanie woleli wykonywać „czynności zewnętrzne”, takie jak słuchanie muzyki, oglądanie filmu, czytanie lub korzystanie ze smartfona niż pozostawianie we wnętrzu swoich głów. Mówili oni, że trudno im się skoncentrować i że ich umysły błądzą, choć nic nie konkurowało o ich uwagę. Badaczy zaskoczyło, że nawet starsi ludzie nie wykazywali szczególnego zamiłowania do samotnego myślenia.

W jednym z eksperymentów alternatywą dla „nic nierobienia” mogła być

niegroźna dawka wstrząsu elektrycznego. Przed eksperymentem badani otrzymali próbkę takiego rażenia. Większość stwierdziła, że jest gotowa nawet zapłacić, byleby tylko tego rażenia znowu nie doświadczyć. A jednak w grupie 18 mężczyzn, którzy wzbraniali się przed ponownym rażeniem, aż 12 poddało się co najmniej jednemu wstrząsowi elektrycznemu podczas kwadransa „nic nierobienia”. A wśród 24 kobiet, które zapewniały, że za nic nie dadzą się ponownie porazić, 6 jednak zaaplikowało sobie wstrząs elektryczny. Najwyraźniej obcowanie z własnymi myślami bolało bardziej.

JAKIE WNIOSKI?

Że żyjemy w nadmiernym zgiełku, osaczeni niepotrzebnymi bodźcami, prowokującymi, byśmy bez przerwy na coś reagowali? Że ludzie na okrągło przypięci do smartfona stracili kontakt z samymi sobą i że to jest dla nas niedobre? Ależ skąd.

Timothy Wilson raczej nie widzi związku między szybkim tempem współczesnego życia a niechęcią do „wizyty” w swojej głowie. Uważa, że urządzenia technologiczne, jak choćby smartfon, mogą być odpowiedzią na ludzkie pragnienie, by zawsze mieć coś do zrobienia.

Ale czy to jest *uniwersalne* ludzkie pragnienie, czy raczej narzucone nam przez cywilizację techniczną? Jak to było w dawniejszych epokach, np. w średniowieczu? A jak jest i dzisiaj, np. w tradycyjnych kulturach czarnej Afryki?

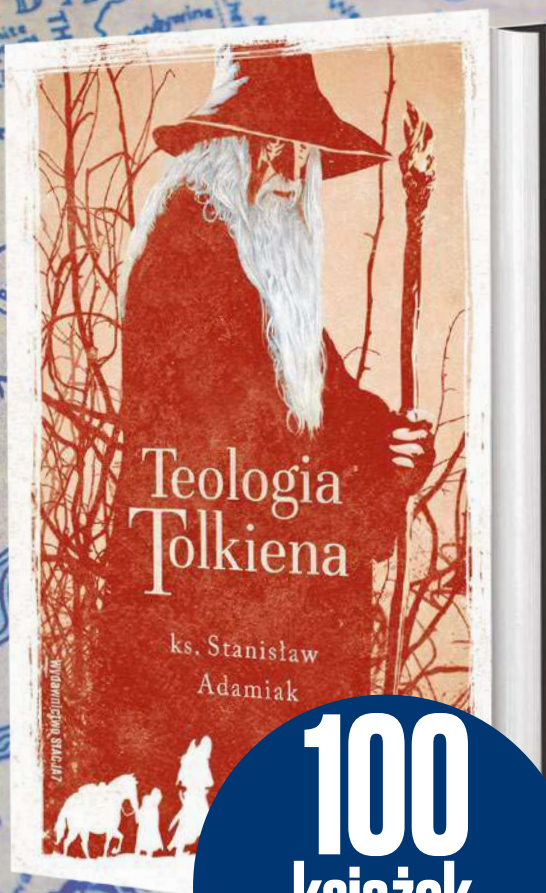
Nie wiemy, czy sprawdzono obecność wśród badanych osób wierzących, a zwłaszcza regularnie modlących się. A może ktoś już zbadał, czy takie osoby inaczej reagują na zadanie świadomego „pobytu” w swojej głowie? Czy także dla nich cisza – tylko wtedy można zajrzeć *w głąb* siebie – byłaby boleśniej niż rażenie prądem? Zobaczymy, co wyreżyseruje Ruben Östlund.

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

**wSIECI
HISTORII**



100
książek
w prezencie

„Teologia Tolkiena” ukazuje chrześcijańskie prawdy wiary ukryte w losach bohaterów Śródziemia. Miłośnicy Tolkiena poznają go jeszcze lepiej, a wielbiciele teologii dowiedzą się więcej o Bogu.

196 STR. | LEKTURA OBOWIĄZKOWA DLA FANÓW
TOLKIENA | IMPRIMATUR

Książkę „Teologia Tolkiena” otrzymasz **GRATIS**,
zamawiając roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i magazyn **HISTORII** za **295 zł**.

Zamów już dziś na: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o.,
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16



Fot. Shutterstock



SPONSOR STRATEGICZNY
POLSKIEJ PIŁKI RĘCZNEJ

GRAJMY RAZEM

Mistrzostwa Świata w Piłce Ręcznej Mężczyzn
11-29 stycznia 2023

